PRAWA DO EKRANIZACJI
SPRZEDANE!

SERIA Z PAPUGĄ
MECENAS ZUZA LEWANDOWSKA

JACEK
OSTROWSKI

BOHOMAZ

Nieludzki krzyk kobiety rozerwał ciszę nocną niczym niemiecki pocisk radziecką tankietkę. Tak oto przyszedł na świat Zygmunt Mariański, przyszły kapitan MO, największy wróg Zuzy Lewandowskiej.

SKARPA WARSZAWSKA

JACEK
OSTROWSKI

BOHOMAZ

SKARPA
WAR
SZAW
SKA

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

BOHOMAZ

Redakcja
Monika Orłowska

Korekta
Janusz Sigismund

Projekt graficzny okładki, skład i łamanie
Agnieszka Kielak

Zdjęcia na okładce
© Yuriy Shevtsov/AdobeStock, Anna Ismagilova/AdobeStock, Bennian_1/AdobeStock

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2023
© Copyright by Jacek Ostrowski, Warszawa 2023

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-83291-36-9

Wydawca
Agencja Wydawniczo-Reklamowa
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.
ul. Borowskiego 2 lok. 24
03-475 Warszawa
tel. 22 416 15 81
redakcja@skarpawarszawska.pl
www.skarpawarszawska.pl

Konwersja: eLitera s.c.

Wszystkie postacie wymienione
w tej książce są wymyślone przez autora,
a ich ewentualne podobieństwo do kogokolwiek
jest zupełnie przypadkowe i niezamierzone.

Dwudziesty czwarty grudnia dobiegał końca. Nieludzki krzyk kobiety rozerwał ciszę nocną niczym niemiecki pocisk artyleryjski radziecką tankietkę.

W oknach oficyny przy ulicy Szerokiej zabłysły światła lamp naftowych, a w niektórych, tych bogatszych, żarówek. Część sąsiadów odetchnęła z ulgą, męki ladacznicy Mariańskiej wreszcie się skończyły, bo w końcu ulęgła następnego bękarta. Reszta lokatorów była przerażona, bo każdy następny pomiot tego babsztyla pojawiający się na świecie wróżył im nowe kłopoty.

Tak oto przyszedł na świat Zygmunt Mariański, który ku zaskoczeniu wszystkich, co go znali, zrobił oszałamiającą karierę i po wielu latach nie wiadomo jakim cudem dochrapał się stopnia kapitana w komunistycznych organach ścigania. Kim byli jego rodzice? Matka, znana w Płocku prostytutka, za pieniądze nikomu nie żałowała swoich mocno wątpliwych wdzięków, żyła w ciągłym rozkroku, puszczała się na okrągło, jakby chciała prześcignąć słynną Messalinę, żonę cesarza Klaudiusza. Z naciskiem na słowo „jakby", bo ona nigdy o tamtej nie słyszała, mało tego, nawet nie wiedziała, że kiedykolwiek istniało Cesarstwo Rzymskie, jak zresztą większość lokatorów tej kamienicy. Kim był ojciec Zygmunta? Odpowiedź na to pytanie była skomplikowana, bo tak naprawdę nikt tego nie wiedział. Można by określić ogólnie, że spłodził go Kraj Rad. Podczas wojny bolszewickiej, podczas bohaterskiej obrony Płocka, Mariańska jak wiele kobiet dostała się do sowieckiej niewoli. Inne płocczanki były przez jurnych czerwonoarmistów gwałcone, ale nie ona. Ona stawiła im bohaterski opór i to ona ich brutalnie gwałciła. Długo jeszcze po odparciu bolszewików zastanawiano się, kto w istocie ich przepędził? Wojskowi czy może Mariańska? Świadkowie tych zdarzeń powiadali, że nawet Kozacy nie okazali się kozakami i wszyscy na widok Mariańskiej pierzchali nazad do Kraju Rad. Zatem wracając do sprawy ojcostwa, nic tu nie było pewne, poza tym, że plemnik był czerwony jak sztandar rewolucji.

I tak oto w brzuchu Mariańskiej zalęgła się nowa istota, krzyżówka kurwy i bolszewika, a zatem nic dobrego z tego nie mogło się wykluć. I tak też się stało, co później w całej rozciągłości potwierdziło życie.

Sam poród był bardzo bolesny, bo dziecko miało szyję owiniętą pępowiną. Trochę podduszone, z niedotlenionym mózgiem po trzygodzinnych perturbacjach

w końcu ujrzało świat, ale chyba mu się na nim nie spodobało, bo od razu rozryczało się okropnie. Chciało wracać, lecz uda Mariańskiej zatrzasnęły się przed nim niczym wrota do raju i powrotu do macicy nie było. Tak oto Zygmunt Mariański był zmuszony rozpocząć swoją długą wędrówkę przez życie. Był szóstym dzieckiem w rodzinie. Miał dwie siostry i trzech braci. Najstarszy z nich, Alojzy, wykluł się z plemnika jezuity, który przybył do Płocka na nauki. Leżał krzyżem, ale nie w kościele, tylko na Mariańskiej. Faktycznie, wiele się od niej nauczył. Pobył miesiąc i zniknął. Ponoć zamknął się w murach klasztornych i tam odprawiał pokutę. Chyba bez końca, bo nawet się nie pofatygował, żeby zobaczyć syna, nie mówiąc o łożeniu na jego wychowanie.

Drugi z braci, Stefan, wykluł się z plemnika mecenasa Roleckiego. To była chwila uniesienia na biurku adwokata, kiedy Mariańska przyszła do niego po poradę. Wtedy była jeszcze względnie ładna, młoda i wzbudzała męskie pożądanie. Z czasem było już coraz gorzej, co się odbiło i na plemnikach, ale o tym później. Choć Rolecki nie płacił, w jakimś sensie poczuł się jak ojciec i przez wiele lat za darmo był pełnomocnikiem Stefana, który już od wczesnej młodości wciąż popadał w konflikt z prawem. Trzeci brat miał na imię Józef. Tego matka spłodziła z policmajstrem Szulcem. Ponoć był z niego kawał sadysty i wielokrotnie gwałcił Mariańską swoją długą pałą policyjną. Tak mówili inni, bo sama poszkodowana wcale się na niego nie skarżyła, raczej sprawiała wrażenie zadowolonej. Policjant chłopakiem się nie interesował, a pytany o domniemane ojcostwo jedynie parsknął śmiechem. Co do plemników odpowiedzialnych za powstanie Frani i Anieli, to one pochodziły z plebsu. Wskoczyły do macicy Mariańskiej w jednej z okolicznych bram, a być może na schodach lub w korytarzu. Tego kobieta dobrze nie pamiętała, bo wtedy była mocno wstawiona. Często była wstawiona i wtedy wszystkie okoliczne lumpy korzystały z okazji i się z nią zabawiały gratis.

Zygmunt miał ciężkie dzieciństwo. Czy miał do szkoły pod górkę, nie wiadomo, bo do niej nie chodził. Rodzeństwo zorientowało się w mig, że durny jak mało kto, więc nagminnie go wykorzystywało. Zaczęło się od zabierania jedzenia, bo to był w tej rodzinie produkt coraz bardziej deficytowy. Mariańska była coraz starsza, a więc coraz mniej atrakcyjna. To przekładało się na mniejsze zarobki, a do wykarmienia była szóstka gęb. Wprawdzie starsi synowie już chadzali na szaber z mniejszym lub większym powodzeniem, ale córki jeszcze były za młode, żeby je zawodu matki nauczyć. Zygmunt, jako niedorozwój, nie był do żadnego fachu

przyuczany. Raz zabłysła dla niego nadzieja, kiedy w ich progi zawitał ksiądz dobrodziej. Pewnie się tu przypadkiem zapuścił, innej przyczyny trudno by szukać. Długo przyglądał się chłopakowi, głaskał go po główce, jego losem się interesował, ale na tym się skończyło.

Mijały lata. Alojzy i Stefan dość wcześnie przeszli na więzienny garnuszek, Józef zmarł na suchoty, Frania i Aniela w końcu poszły na ulicę zarabiać. W domu został jedynie Zygmunt, bo wciąż się do niczego nie nadawał, nawet ksiądz go nie chciał. Sąsiadki radziły, żeby go do szkół wysłać, bo skoro niezdatny do niczego, to może jakimś urzędnikiem zostanie, ale Mariańska nawet słyszeć o tym nie chciała, bo to byłyby niepotrzebne koszta. W sumie po cichu żałowała, że to Józef zmarł na suchoty, a nie najmłodszy. Tamten przynajmniej miał zadatki na dobrego kieszonkowca. Fach to ryzykowny, ale dobrze płatny. Tego syna zaś musiała utrzymywać, a z tym był coraz większy problem. Zygmunt całe dnie pałętał się bez celu po mieście i co jakiś czas wracał z podbitym okiem, rozciętymi wargami, a kilka razy z rozbitą głową. Nigdy nic nie ukradł, i to nie dlatego, że nie chciał, ale dlatego, że nie umiał. Wybuch drugiej wojny światowej początkowo niedużo zmienił w jego życiu. Wtedy kolegował się z Anzelmem Blumsteinem z dzielnicy żydowskiej. Tamtemu, tak jak jemu, matka natura nie dała zbyt lotnego rozumu i być może dlatego łatwo znaleźli wspólny język. Kiedy Niemcy zaczęli eksterminację Żydów, rodzina Blumsteinów poprosiła Zygmunta o przechowanie ich co cenniejszych rzeczy, na co chłopak się ochoczo zgodził. Pod osłoną nocy przeniesiono żydowskie dobra do piwnicy w kamienicy przy ulicy Szerokiej i tam je złożono, a Zygmunt i Anzelm dla bezpieczeństwa zamurowali wejście. Tak miało trwać aż do zakończenia wojny, ale nie trwało. Wszystko poszło nie tak. Anzelm ani nikt z jego rodziny nie wrócił do Płocka, zaś piwniczkę ktoś doszczętnie ograbił i Zygmunt jak zwykle został z niczym. Okupacja niemiecka była przełomowym okresem w życiu przyszłego kapitana milicji. Jego matkę zastrzelił wachmistrz wermachtu podczas miłosnego uniesienia, ponoć zdesperowany chciał rozstrzelać swojego penisa, ale po pijaku źle trafił. Chłopak musiał sobie teraz jakoś sam radzić, więc ruszył na szaber do byłej dzielnicy żydowskiej. Szukał złota i innych kosztowności. Jako kompana dobrał sobie niejakiego Baryłę, takiego samego przygłupa jak on, ale przy tym jeszcze okropnie pazernego. Baryła był na tyle bezczelny w swoim działaniu, że przeszukiwał mieszkania pod samym nosem niemieckich żandarmów i zawsze mu się udawało

zwiać w odpowiednim momencie. W ten oto sposób Zygmunt, przygłup i nieudacznik życiowy, z dnia na dzień się wzbogacił. Pieniądz robi pieniądz, tak powiadają i jest w tym dużo prawdy. Baryła jako ciut bystrzejszy zarządzał ich biznesem, a Mariański był od czarnej roboty. To on w piwnicach żydowskich domów kopał doły, to on wykonywał wszystkie najcięższe prace. Handlowali z Niemcami, Polakami, z kim się dało, byle zarobić. Zygmunt, jak tylko stanął na nogach, chciał ściągnąć siostry z ulicy, ale było na to za późno, bo zdążył już je syfilis zeżreć. Braci nie szukał, bo pastwili się nad nim w dzieciństwie. Niektórzy twierdzili, że nawet przysłużył się do ich śmierci, denuncjując ich do gestapo. Ile było w tym prawdy? Trudno powiedzieć. Odnośnie do gestapo, faktem jest to, że pewnego dnia policja niemiecka aresztowała wspólników, nakryto ich podczas włamania do mieszkania porucznika Abwehry Wernera Rolfa. Wydawało się, że ich los jest przesądzony, ale po trzech dniach zostali wypuszczeni na wolność, co rodziło mnóstwo domysłów, choć współpracy z okupantem nikt im nie udowodnił. Złośliwi powiadali, że Zygmunt wpadł w oko szefowi gestapo i ten w zamian za wolność po prostu go wydupczył. Inni twierdzili, że przeszli na drugą stronę i trzeba z nimi uważać. Jak było naprawdę, wiedzieli tylko Zygmunt i Baryła. Być może było jeszcze inaczej – ostro sypnęli kasą i się wykupili. Tak czy owak, po uwolnieniu działali dalej, i to ze wzmożoną intensywnością. Po zakończeniu wojny sytuacja diametralnie się zmieniła. Komuniści początkowo nad dobra materialne przedkładali ideologię, a to był już bardzo grząski grunt. Dlatego też Baryła wpadł na iście szatański plan. Kazał Mariańskiemu zgłosić się do służby w milicji, bo wtedy będzie miał na nich oko. Tak też się stało. Zygmunt dostał biało-czerwoną opaskę na rękę, pepeszę w dłoń i zaczął kłaść podwaliny pod budowę socjalistycznej ojczyzny, czyli zamykał i torturował tych, co się temu sprzeciwiali. Tak mu się spodobała ta robota, że zaczął zaniedbywać Baryłę. Ten się najpierw na niego jedynie boczył, ale z czasem jego gniew narastał i wspólnik posunął się do szantażu. Jeśli Zygmunt definitywnie nie wycofa się z ich interesu, to on go zadenuncjuje do Urzędu Bezpieczeństwa za współpracę z Niemcami, a za to w tamtych czasach była jedna kara – czapa. Mariański spanikował. Z jednej strony kusił go bardzo dochodowy, aczkolwiek ryzykowny biznes z Baryłą, a z drugiej praca, w której się odnalazł, bo tu jego mierny umysł wystarczał, mało tego, wielu milicjantów było dużo głupszych od niego, a zatem jego intelekt błyszczał na komisariacie niczym słońce w środku lata. W końcu Zygmunt podjął decyzję, wybrał służbę na rzecz nowej władzy, a zatem Baryła musiał zniknąć. I tak

też się niebawem stało. Pewnej nocy na płockim moście doszło do spotkania byłych wspólników. Było krótkie i bardzo treściwe, a zakończył je wystrzał, ale nie z butelki szampana, tylko z pistoletu, a potem głośny plusk wody. Nikt nigdy już nie zobaczył Baryły. Plotka głosiła, że uciekł na Zachód. Jeśli ciało spłynęło do Bałtyku, a prądy morskie poniosły je w stronę Bornholmu, to było w tym stwierdzeniu sporo prawdy.

I tak już bez większych przeszkód Mariański piął się po szczeblach milicyjnej kariery. Jedyną przeszkodą, na którą trafił na swojej drodze, było wykształcenie. Władza ewoluowała, krzepła i żądała coraz więcej od swoich podwładnych. Nie było rady, należało i tę sprawę jakoś załatwić. Kierownik szkoły podstawowej dostał pilne wezwanie na przesłuchanie. Wystarczyło wyrwać jeden paznokieć i zdarzył się cud: Zygmunt został jej absolwentem. Teraz mógł dostać awans na sierżanta, ale było mu mało, bo chciał zostać oficerem. Potrzebował matury. Liceum odpuścił, to były stanowczo za wysokie progi, jego spojrzenie powędrowało w stronę jednego z techników. Dyrektor był oddanym partii towarzyszem. Wystarczyła towarzyska pogawędka z perspektywą wsadzania paluchów między zawiasy drzwi w tle i matura była w kieszeni. Mariański do dziś pamiętał dzień, kiedy otrzymał awans na sierżanta. Wtedy to w galowym mundurze dumnie kroczył ulicą Tumską. W pewnym momencie zwrócił uwagę na kobietę z wózkiem. Wydała mu się podobna do Anieli Strzeleckiej, poszukiwanego wroga klasowego. Trzeba było to sprawdzić, a przede wszystkim przeszukać wózek. Być może pod niemowlakiem ukryto broń lub, co gorsza, antypaństwowe ulotki. Podszedł do wózka i wyszarpnął z niego niemowlaka, małą, może półroczną dziewczynkę. Ta, widząc przed sobą jego paskudną gębę, ze stresu zwróciła na niego całą zawartość żołądka.

Tak wyglądało pierwsze spotkanie przyszłego kapitana Mariańskiego z Zuzą Lewandowską, przyszłą gwiazdą płockiej palestry.

Ponury jesienny dzień, sala przesłuchań płockiego aresztu. Zgrzytnął klucz w zamku. Drzwi się rozwarły z okropnym łoskotem, klawisz wprowadził zatrzymanego. Przykuł go do blatu stołu i wyszedł.

Po dobrym kwadransie zjawiła się Zuza Lewandowska. Podeszła do krzesła stojącego po przeciwnej stronie stołu, zdjęła płaszcz i powiesiła go na oparciu, powoli usiadła. Z torebki wyjęła notes i długopis. Dopiero teraz spojrzała uważniej na mężczyznę. Na jej twarzy zagościł szyderczy uśmiech.

– Początkowo myślałam, że to jakiś durny żart, a kiedy się okazało, że nie, to długo się zastanawiałam, czy przyjąć to zlecenie, bo przez wiele lat marzyłam o tym, żebyś siedział w pierdlu i nigdy z niego nie wyszedł. Teraz kiedy moje marzenie może się zrealizować, mam stanąć na głowie, żeby temu zaradzić? Jak mam to wszystko pogodzić? Czemu akurat mnie wybrałeś? Jest tylu innych adwokatów.

– Bo mówią na Płocku, że jesteście najlepsi – wymamrotał.

– No proszę, i kto to mówi? Nie wierzę własnym uszom. Zuza Lewandowska jest najlepszą papugą w mieście. Kurwa mać, z wrażenia muszę zapalić.

Z torebki wyjęła paczkę ekstra mocnych bez filtra.

– Chcecie, obywatelu kapitanie, papierosa?

– Tak.

Zapalili. Zuza natarczywie wpatrywała się w swojego nowego klienta, jakby się jeszcze upewniała, czy to faktycznie się dzieje, czy może to tylko głupi sen. W końcu przygasiła peta i sięgnęła po notatnik.

– A zatem, obywatelu kapitanie Mariański – zaczęła drwiącym głosem – opowiedzcie mi wszystko, nie pomińcie niczego, bo nieraz drobny szczegół może mieć decydujące znaczenie dla sprawy. Chyba wiecie to dobrze jako szef dochodzeniówki? A właściwie jako były szef, bo o ile wiem, to was tego stanowiska już pozbawiono. – Nie omieszkała mimochodem wbić mu szpili.

Kapitan nic na to nie odpowiedział, jedynie spuścił głowę. On wiedział jedno: jego sytuacja była prawie beznadziejna i jeśli ktokolwiek mógł go z tego wyciągnąć, to tylko Lewandowska.

– A zatem? Chyba wam mowy nie odjęło? – Zuza spojrzała na niego wyczekująco.

– Nic nie wiemy – bąknął.

– Jak to nic nie wiesz? Oskarżają cię o zabójstwo i przywłaszczenie mienia ogromnej wartości, a ty mówisz, że nic nie wiesz? Co ty, chłopie? Masz mnie za idiotkę?

Kapitan rękawem zgarnął pot z czoła.

– To wszystko wina tej Pawłowicz, ona nas wrobiła. Podrzuciła nam to do biurka.

– Co ci podrzuciła? Konkretnie?

Zuza sięgnęła po drugiego papierosa. Tym razem kapitana nie poczęstowała, i to z premedytacją.

– To był złoty kielich.

Zuza zagwizdała z wrażenia.

– Proszę, proszę, co za czasy. Milicjanci piją ze złotych kielichów. A co pijecie? Pewnie bimber albo czystą z czerwoną kartką.

– To nie nasze, my to pierwszy raz widzieliśmy.

– A ta Pawłowicz to przypadkiem nie była wyrzucona z milicji? Skąd ona się tam znów wzięła? Wraca jak bumerang.

– Owszem, była wyrzucona, ale odwołała się do ministra i ją przywrócili. Ponoć jej kuzyn pracuje w Komitecie Centralnym.

– No tak, teraz wszystko jasne. – Zuza ze zrozumieniem pokiwała głową. – Ale czemu się na ciebie aż tak uwzięła, że podrzuciła ci tak cuchnący fant? Jaki miała w tym cel?

Mariański się zaczerwienił.

– No bo, chciała… – zaczął dukać. – No wiecie, to, czego baby chcą od chłopów, a ja nie chciałem.

– Co? No proszę. – Z trudem hamowała ogarniającą ją wesołość. – Nie myślałam, że ktoś może o tobie myśleć w ten sposób. Co za jurny milicjant. A tak z innej beczki. Kapitanie, powiedz mi raz jeszcze, czemu mnie wybrałeś? Nie ukrywam, że wciąż jestem tym zaskoczona. Przecież ty mnie szczerze nienawidzisz, zresztą i ja ciebie też.

Mariański milczał.

– No, powiedz. Aż tak cię to boli? – Dalej się nad nim pastwiła.

– Bo jesteście najlepsi – mruknął pod nosem.

– Mów głośniej, bo nie usłyszałam. – Chciała się tym jak najdłużej delektować.

– Bo jesteście najlepsi! – wykrzyknął.

– Wystarczy, możemy wracać do sprawy. Opowiedz mi wszystko, i to dokładnie, bo ja dotąd jedynie słyszałam plotki.

– Ale my nic nie wiemy. Nawet nie znaliśmy ofiary. Wrobiono nas.

– Skoro tak, to co, do cholery, twój pistolet robił w jej mieszkaniu? Nie wciskaj mi tu kitu, że nic nie wiesz. Tego nie kupuję. Jeśli mam być twoim adwokatem, to muszę znać prawdę.

Sięgnęła po papierosy i ponownie zapaliła. Od czasu rzekomej choroby nie mogła się nimi uraczyć do syta.

– Tetetkę zgubiliśmy, kiedy spotkaliśmy kolegę z dzieciństwa i poszliśmy do Kolorowej na kielicha.

– A tak naprawdę to ile było tych kielichów? Ile butelek opróżniliście?

– Dwie flaszki, nie więcej. Wtedy musieli nam skraść broń. Jak oprzytomnieliśmy, to kabura była pusta.

– Zawiadomiłeś przełożonych? Zgłosiłeś kradzież?

– No nie. – Mariański z zakłopotaniem podrapał się po głowie. – Woleliśmy załatwić to po cichu.

– No i wyszło jak wyszło. Podaj mi nazwisko tego kolegi i jego adres.

Kapitan spojrzał na nią zdziwiony.

– A po co? On mi jej nie buchnął, to dobry kumpel.

– Nazwisko i adres – powtórzyła Zuza beznamiętnym głosem.

– Nie znamy jego nazwiska. Przezywaliśmy go Bokser, bo był skory do bitki jak mało kto.

– Gdzie mieszka?

– Nie wiemy. Mówił nam, ale wyleciało nam to z pamięci. Chyba nie w Płocku. Może w Łodzi.

– Może w Łodzi? – Zuza smętnie pokiwała głową. Właściwie nie powinna się dziwić, to przecież kompletny idiota. – Bokser z Łodzi, powiadasz? A w dzieciństwie, to gdzie mieszkał? Może chociaż to pamiętasz? – spytała z rezygnacją.

– Na Szerokiej, w „żelaznej bramie".

– Może coś bliżej? Tam jest dużo mieszkań, to kilka sporych kamienic.

– Całe dnie wystawał w bramie.

– To mi bardzo pomoże. Bokser z Łodzi stojący w bramie przy Szerokiej. Myślę, że wszyscy go kojarzą – szydziła. – Znałeś tego zabitego, Andrzeja Błaszczaka?

– Nie, my znamy tylko notowanych.

– A znasz może Teofila Organka?

– Nie przypominamy sobie.

– On twierdzi, że wraz z tym Błaszczakiem i jeszcze jednym o do dziś nieustalonym nazwisku podczas wykonywania wykopów w miejscu, gdzie kiedyś stała cerkiew, znaleźli skrzynię pełną złotych przedmiotów. Wśród nich miał być ów kielich, który nie wiadomo jakim cudem wylądował w twoim biurku. A może ten trzeci to ten kolega o ksywce Bokser? Schlałeś się jak świnia, a on ukradł ci tetetkę i puknął z niej jednego ze wspólników? Może mieliście kiedyś ze sobą na pieńku? Przypomnij sobie. Może w piaskownicy zabraliście mu wiaderko lub, co gorsza, szpadelek?

– Nie, kumplowaliśmy się. Mówię wam, że to Pawłowicz. Odgrażała się nam.

– Poszła za wami do Kolorowej, ukradła tobie broń, zastrzeliła z niej Błaszczaka, a później złoty kielich podrzuciła ci do biurka? Mocno naiwne i bardzo naciągane. No i skąd wzięła ten kielich? To też jest bardzo ciekawa zagadka. Może od tego Organka? Już samo nazwisko mówi, że to kawał łapciucha. Przy Królewieckiej pełno ich mieszka i co drugi siedzi lub siedział w kryminale.

– Uważacie, że to my? Wciąż nie wierzycie nam! To nie my! Po co mieliśmy to robić?

Zuza wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Nieraz podejrzany do końca twierdzi, że jest niewinny, i dopiero po ogłoszeniu wyroku przyznaje się do winy, a nieraz nigdy, mimo że faktycznie dopuścił się przestępstwa. Za długo, kapitanie, cię znam, żeby bezgranicznie ci ufać. Poniucham w sprawie, popytam o tego Boksera i zobaczymy, co będzie dalej.

Teraz bardziej niż o dochodzenie martw się o swoje dupsko, bo tu nie jest bezpieczne – rzekła drwiąco, po czym zgarnęła notatnik i papierosy do torebki i podniosła się powoli z krzesła.

– Zostawicie mi papierosy? – zaskomlał Mariański.

Bez słowa rzuciła paczkę ekstra mocnych na stolik i podeszła do drzwi. Kilka razy uderzyła w nie ręką, przywołując w ten sposób klawisza.

Na ulicy Zuza natknęła się na Kolasińską, koleżankę z podstawówki. Tamta od razu ją zaczepiła.

– Dobrze, że cię widzę, mam prośbę. Oczywiście za wszystko zapłacę. Nie chcę nic za darmo, wszystko mi się wali, a to przez...

– Może powiedz w końcu, o co chodzi – weszła jej w słowo Zuza, nerwowo zerkając na zegarek, bo za pół godziny miała sprawę w sądzie. Musiała jeszcze po drodze wstąpić po togę do kancelarii, a tamta gada jak potłuczona.

– Moja mama chce przepisać dom na Kościół. Nieważne, że my się nią opiekujemy, że tam mieszkamy. Biega codziennie do kościoła i jest wpatrzona w proboszcza jak w święty obraz.

– Tylko nie mów, że do fary, bo tamtejszy szeryf wyglądem nie przypomina żadnego świętego, choć to w gruncie rzeczy porządny facet.

– Nie, to parafia u Świętego Jana.

– Czego oczekujesz ode mnie? Przepisanie domu to sprawa dla notariusza, nie dla adwokata.

– Matka ciebie szanuje i podziwia. Przyjdź do nas i z nią porozmawiaj. Może ciebie posłucha.

– A jeśli nie? Starsi ludzie są jak kaseta magnetofonowa z wyrwanym cypkiem zabezpieczającym przed skasowaniem danych. Jednym słowem: nic nowego do nich nie dociera. Możliwe, że przyzna mi rację, ale jak tylko wyjdę z waszego domu, wszystko odwoła.

– Błagam, chociaż spróbuj! Z Kościołem w sądzie nie wygramy.

– Tu się z tobą zgodzę. Ich pazerność nie zna granic. Zostaw mi swój numer telefonu, to zadzwonię i się umówimy.

– Jeszcze nie mamy telefonu. Ponoć za dwa lata mamy go dostać. Dam ci numer do pracy.

– Niech będzie.

Kolasińska na skrawku papieru zanotowała dane kontaktowe i się rozstały.

Zuza wróciła z sądu i zaraz zawołała Jolkę do siebie.

– Zrobić herbatę? Może pójść do cukierni po jakieś ciastko? – spytała aplikantka.

– Jasne, no, przecież nie ziółka. Słodycze sobie odpuść, odchudzam się. Mam dla ciebie zadanie. Wsiądź w autobus numer siedem i jedź do Gór. Dowiedz się wszystkiego o niejakim Błaszczaku: z kim się kolegował, z kim kłócił, z kim spał, komu w mordę dał, od kogo oberwał, zbierz plotki, nawet absurdalne. I jeszcze jedno, czym farbowałaś włosy?

– To farba z Pewexu, jutro przyniosę opakowanie, bo nazwa po angielsku i nie pamiętam.

– No tak, Polacy poliglotami nie są, zresztą na cholerę uczyć się języków, skoro i tak siedzimy w klatce? Żeby chociaż ona była złota jak w tej bajce. Oni nas zamknęli w klatce zrobionej z drutu zbrojeniowego, a fragmentami z kolczastego.

Dziewczyna wyszła, Zuza postawiła na biurku butelkę stocka i kieliszek. Dłonią sprawdziła temperaturę trunku, była idealna. Zerknęła na portret ojca. I znów marsowa mina, no tak, jeszcze nie ma południa, a ona sięga po alkohol. Ale on też już od rana za kołnierz nie wylewał.

– Nie przesadzaj. Prawie pół roku byłam abstynentką. Nawet nie wiesz, jak cierpiałam. To była prawdziwa droga przez mękę. Mogłam sobie golnąć jedynie we śnie.

Wypiła kielicha i od razu poczuła się lepiej. Zadzwonił telefon, to Nowak. Miała się do niego odezwać i zupełnie o tym zapomniała.

– Dobrze, że dzwonisz. Wyobraź sobie, że mam nowego klienta. Nie zgadniesz, kto to.

– Mariański.

– Cholera, skąd wiesz? – Nie kryła zawodu.

– Wszyscy wiedzą, to na komendzie chyba większa sensacja niż jego aresztowanie. Każdy wie, że on na twoim punkcie ma prawdziwą obsesję. Wasza

współpraca to tak, jakby diabeł poszedł z aniołem na wódkę.

– Dziwne porównanie. Tym bardziej że daleko mi do anioła, a jeszcze dalej do diabła. Właśnie wróciłam z aresztu i muszę powiedzieć, że sprawa wygląda ciekawie. Albo w Mariańskim obudziła się najmroczniejsza część jego duszy, albo go ktoś ordynarnie wrabia. Milicja ma mocne poszlaki, bo dowodami to bym tego nie nazwała, i trudno będzie mi je obalić. Wyobraź sobie, że ten cymbał poszedł do Kolorowej i tam się uchlał jak świnia. Miał wtedy przy sobie pistolet i ktoś mu go zwędził albo, czego nie wykluczam, po prostu go zgubił. Mógłbyś tam zajrzeć i popytać. Na pewno coś wiedzą o jego wypadzie, przecież go znają, a nie sądzę, żeby mu się często takie popijawy przytrafiały.

– A to bęcwał. Ile musiał wypić, że padł pod stół? – zdziwił się sierżant. – On słynie z mocnej głowy. Zresztą przy jego pokaźnej tuszy to normalne. Pewnie obalili z cztery flaszki.

– Nieważne ile. Ważne, że się zachlał do nieprzytomności. Ustal coś odnośnie do jego towarzysza i daj mi pilnie znać.

Zakończyła połączenie. Wtedy ktoś zapukał do drzwi.

To była jakaś kobieta. Zuza jej nie znała, przyszła tu pierwszy raz.

– Pani mecenas, szukam pomocy.

– Jak każdy, co tu przychodzi – mruknęła pod nosem Lewandowska, wskazując krzesło i sięgając po ekstra mocne. – Zapali pani?

– Nie dziękuję. Ja nie palę, mój chłop za to przypala jednego od drugiego.

Zuza spojrzała wymownie na zegarek.

– Dobra, nie będziemy tu gadać o papierosach, co panią sprowadza?

– Pani mecenas, niech pani ratuje mojego syna. Wsadzili go nieboraka do kryminału, a on niewinny.

– Jak każdy w pace – zakpiła. – A konkretnie co mu zarzucają?

– Słyszała pani o tym wypadku na Kolegialnej? Chłopacy byli na przepustce z wojska i jak to młodzi, trochę poszaleli. Wzięli naszego fiata i się nim rozbili. No i wydarzyła się tragedia, jeden z nich zginął. Oskarżają Franka, że to on prowadził i że to jego wina.

– A prowadził?

– Ależ skądże, pani mecenas, on nie ma prawa jazdy.

– To kto prowadził?

– No jak to kto? Ten, co zginął. On miał zły wpływ na mojego Franusia, to wszystko przez niego. Od kiedy zaczęli się kolegować, mój syn się zmienił.

– Czy byli po alkoholu?

– Wypili może po piwku. Co to jest na takich chłopaków?

– A może po kilka piwek?

– No nawet, ale czy to dużo? To przecież nie wódka.

– Przepis to przepis, ale zobaczę, czy da się coś w tej sprawie zrobić. Proszę podać mi wszystkie dane syna i przyjść za dwa dni.

Kiedy kobieta wyszła, Zuza natychmiast podniosła się zza biurka i podeszła do okna. No tak, paprotka gubi liście, ale jak ma tego nie robić, skoro Jolka znów jej nie podlała? Już jej się znudziło wciąż o tym przypominać aplikantce. Sięgnęła po butelkę po mleku służącą za konewkę.

Po opuszczeniu kancelarii udała się na Grodzką. Musiała koniecznie spotkać się z Piosikiem. Ostatnio widywała go pod trzynastką z jedną ze słynnych Łyzinianek z parteru.

Tak jak przypuszczała, był u tej wywłoki.

– Co sprowadza panią mecenas w moje skromne progi? Zapraszam do środka.

– Może lepiej nie – odparła, zerkając na bajzel za jego plecami. – Potrzebuję pomocy. Przed wojną przy Szerokiej, a konkretnie w „żelaznej bramie", mieszkał pewien gnojek, którego przezywali Bokserem. Dowiedz mi się wszystkiego o nim. Najlepiej zdobądź jego obecny adres. W tym podwórzu mieszka Struzik. Dlatego wolę nie kusić losu i nie chcę iść tam sama.

– Już raz mu mordę obiłem, jak się odgrażał, że panią dorwie i ukatrupi. Bydlak jeden, żeby tak gadać o pani mecenas!

– Broniłam jego kumpla, a jego pogrążyłam. Samo życie, Piosik. Masz tu dwie dychy i na wczoraj przynieś mi te informacje.

Piosik patrzył na nią z rozdziawionymi ustami i oczami, jakby mu miały za chwilę wyskoczyć z orbit.

– Pani mecenas, z całym szacunkiem, ale tych, co mieszkali tam przed wojną, to już na świecie nie ma, no to jak ja mam się dowiedzieć? Zresztą i ja urodzony po

wojnie.

– Mnie nie chodzi o ciebie, ale o tego „Boksera”. Idź tam, pogadaj, może ktoś go pamięta. On był ponoć znany na starówce.

– Ale on może nie żyje.

– Żyje, to wiem, i był niedawno w Płocku. Pewnie też odwiedził stare śmieci, tak często bywa. Znajdź mi coś o nim, a nie pożałujesz. Wiesz, że potrafię się odwdzięczyć.

– Oczywiście, pani mecenas. Praca dla pani to sama przyjemność.

Spojrzała na niego czujnie.

– A coś ty taki elokwentny? Co to za język?

– Elo co?

– Nieważne. Wiesz, gdzie mnie szukać.

Zuza po powrocie do domu pierwsze kroki skierowała do łazienki. Ostatnio nagminnie zdarzało się, że drzwi były zamknięte od środka na haczyk, co ją denerwowało. Już miała wrócić do pokoju, ale poczuła charakterystyczny zapach butaprenu. Od razu zrozumiała, w czym rzecz. A to sukinsyn!

Silnie naparła na drzwi, zamknięcie puściło i wtargnęła do środka. Tomaszek siedział na podłodze i wąchał klej. Po jego minie, bardziej debilowatej niż zwykle, zorientowała się, że sporo się już nawąchał. Wyrwała mu puszkę z ręki i chwyciła go za kark.

– A ty parszywy gnojku! – ryknęła. – Dość tego!

Chłopak chciał się uwolnić z jej szponów, ale tym razem nie dał rady, bo Zuza już odzyskała formę sprzed zatrucia medykamentami.

– Pani puści! – krzyknął.

– Puszczę cię, skurwysynku, ale najpierw zaprowadzę do matki, niech zobaczy, co za gnoja ulęgła i wychowała.

Pchnęła go w kierunku drzwi. Zabębniła w nie dłonią. W chwilę potem sublokatorka z wałkami na głowie stanęła w progu. Ze zgrozą patrzyła na Zuzę, no bo jak śmiała tak traktować owoc jej łona, jej ukochanego Tomaszka.

– Wywłoko, zabieraj mi z oczu ten swój wykolejony pomiot! Nawąchał się butaprenu jak stary ćpun. Następnym razem wezwę milicję, oni zrobią z nim

porządek.

Pchnęła ancymonka do środka, prosto w ramiona matki, i poszła do siebie. Ledwie weszła do pokoju, a już o mało nie zaliczyła upadku. To przez Wrzoda, zahaczyła o niego stopą.

– Nie plącz mi się pod nogami! – skarciła go i chwyciła smycz. Musiała wyprowadzić Borysa, a po powrocie nakarmić Zgagę. Cholera, za dużo miała tych obowiązków. Niech Geńka w końcu wróci z urlopu i na powrót zajmie się jej zwierzyńcem.

Na korytarzu spotkała pana Tadzia. Przez ramię miał przewieszoną dubeltówkę. Puścił do Zuzy oko.

– Jadę z sekretarzem partii na polowanie, może mu coś przekazać od pani? Wiem, że się kochacie.

– Tak, niech sobie ten skurwysyn w łeb strzeli. Mogę pokryć koszt amunicji, a jak trzeba, to i do pogrzebu się dołożę.

Słysząc to, roześmiał się w głos.

– Lepiej będzie, jak to przemilczę. A nie reflektuje pani na bażanta? Pewnie z kilka dziś upoluję.

– Dziękuję, tego dla mnie niech pan obdaruje życiem. Słyszał pan o Mariańskim?

– Jasne, cały Płock o tym plotkuje. Ponoć zgarnął skarb popa, a przy okazji odstrzelił wspólnika. Najwyraźniej nie lubi dzielić się zdobyczą. Pewnie pani ulżyło, wreszcie się od pani odczepi, i to na amen.

Zuza zarechotała.

– Niezupełnie, bo zostałam jego adwokatem. Najwyraźniej jestem na tego skurwysyna skazana aż do śmierci. Jedyną niewiadomą tu jest: czyjej?

– On dużo starszy od pani, więc chyba jego. Taka jest naturalna kolej rzeczy.

– I co z tego, widział pan, co niedawno się ze mną działo. Już pakowałam się w zaświaty. Historia może się powtórzyć, ale tym razem na poważnie.

Usłyszeli natarczywy dźwięk klaksonu.

– Muszę już iść, sekretarz się niecierpliwi.

Sąsiad zbiegł raźno po schodach, jakby miał czterdzieści lat, a nie prawie siedemdziesiąt. Aż mu Zuza pozazdrościła, ona by tak nie dała rady, ale jak się

godzinami biega po polach w pogoni za zwierzyną, to i kondycja dopisuje.

Na ulicy natknęła się na kierownika „Ruchu".

– Pani mecenas, proszę do mnie zajrzeć, mam dla pani worek papieru toaletowego. Jeśli nie ma pani czasu, to każę kierowcy, żeby go podrzucił.

– Sama przyjdę, postaram się jutro.

– A zatem czekam. Kłaniam się nisko.

Uchylił kapelusza i poszedł w swoją stronę. Idąc Bielską, Borys nagle szarpnął się w kierunku wilczycy. Zuza od razu poznała, że to ta z podwórka pod numerem siedem.

– Diana! Diana! – Ktoś ją przywoływał.

Suka wywaliła zęby na Borysa i zawarczała. Oj, psi Casanova najwyraźniej nie przypadł jej do gustu.

Z pobliskiego sklepu spożywczego wyszedł, chwiejąc się na nogach, jakiś mężczyzna. Zuza natychmiast go poznała. Zimny dreszcz przemknął jej przez kręgosłup. To nikt inny tylko Mateusz Szczawiński. Jakim cudem ten bandzior wyszedł z kryminału, przecież miał dożywocie? Przez te lata zmienił się, nabrał masy. Widziała więzienne tatuaże na jego twarzy. Najpierw spojrzał na Borysa, dopiero potem podniósł wzrok wyżej. Też ją poznał. Poczuła od niego alkohol.

Na jego twarzy pojawił się złowrogi uśmiech.

– Ty suko, niebawem się zobaczymy – wycedził i poszedł. Zuza stała jak skamieniała i patrzyła za nim. Czuła, jak drżą jej ręce. Zniknął w kamienicy dwa podwórza dalej, a ona nie mogła się ruszyć z miejsca.

Natychmiast odżyły wspomnienia. Miała wtedy osiemnaście lat, kończyła liceum. To było w maju, zdawała maturę. Poszła na Tumy na papierosa. Wyskoczył niespodziewanie z krzaków, na twarzy miał naciągniętą pończochę, chciał ją zgwałcić, po dłuższej walce cudem udało jej się uciec. Później okazało się, że nie była pierwsza, że było więcej napaści na dziewczyny, ale inne miały mniej szczęścia, a jedna straciła życie. Sukinsyn udusił ją, właśnie pończochą. Zuza jako jedyna widziała jego twarz, bo podczas szamotaniny zerwała mu pończochę i tylko dzięki jej zeznaniom Szczawińskiego ujęto. Na rozprawie się odgrażał, że jak wyjdzie z kryminału, to dokończy, co zaczął. Do tej pory była spokojna, bo skoro dostał wyrok dożywotniego więzienia, myślała, że nigdy do tego nie dojdzie. Jakże się myliła.

Jak tylko wróciła do domu, natychmiast zadzwoniła do Nowaka.

– Widziałam na ulicy Szczawińskiego. Odgrażał mi się. Czemu on jest na wolności?

– Jakiego Szczawińskiego? Nie znam gościa – zdziwił się.

– To rusz tą makówką. Nie pamiętasz, jak ci opowiadałam o zboczeńcu, co wiele lat temu napadł mnie na Tumach i chciał zgwałcić?

– Aaa, teraz kojarzę. Pewnie za dobre sprawowanie wyszedł przed czasem. Przez ostatnie lata było kilka amnestii i się na nie załapał.

– Kurwa mać, dożywocie to dożywocie. Co to ma być? Do cholery, o czym ty w ogóle mówisz?

– Spokojnie, zadzwonię do kumpla i popytam o niego. Pewnie jest na warunku, więc łatwo go posłać do pudła od nowa.

– Tak, jak mnie ukatrupi, wtedy go poślecie. Wiem, jak to działa w tym posranym kraju.

Nagle rozległ się potworny pisk. Zuza rzuciła słuchawkę i pobiegła zobaczyć, co się dzieje. To Wrzód, Borys chwycił go zębami za skórę na karku i dumnie wyprostowany nosił po pokoju. Po jego minie widziała, że ma przy tym sporą frajdę, w przeciwieństwie do kota, który za wszelką cenę starał się uwolnić z jego paszczęki.

Wszystkiemu przypatrywała się Zgaga i krzyczała:

– Daaawaj! Daaawaj! Daaawaj! Preeecz z koooomuną! Preeecz z Zuuuuzą!

Zastanawiające, komu kibicowała?

– Puść go! – ryknęła Zuza na psa. Cholerny sadysta! To przecież malec, a na dodatek kaleka.

Borys posłusznie rozwarł paszczęki i kociak bęcnął na podłogę. Natychmiast pokuśtykał do Zuzy i z wdzięcznością zaczął się ocierać o jej nogi.

Raptownie się odsunęła, bo nienawidziła tego.

– Wystarczy, spadaj!

Zajrzała do sypialni, a tam szafka z jej bielizną otwarta na oścież. Dobrze pamiętała, że ją zamknęła. Czyja to robota? Pewnie Wrzoda, jeśli dalej będzie tak rozrabiał, to go odda znajomemu Geńki, temu, co obdziera koty ze skóry. Już on

się nim troskliwie zaopiekuje. Lepiej niech kociak uważa. Udała się do kuchni zaparzyć sobie herbatę i zobaczyła wodę kapiącą z sufitu. Cała podłoga była zalana. Znów żona pana Tadzia nie zamknęła kranu. To zdarzało się już notorycznie, jednak ze względu na przyjacielskie stosunki z sąsiadem Zuza przełykała, choć coraz niechętniej, tę gorzką pigułkę. Zaciskając zęby, poszła na górę.

W restauracji Kolorowej kłębił się tłum klientów. Lokal od zawsze cieszył się dużym powodzeniem, szczególnie u tych, co chcieli za małe pieniądze sporo wypić i zagryźć to wszystko śledziem z beczki. Kapral Opara podszedł do baru. Był ubrany po cywilnemu w zielony, źle skrojony garnitur z krempliny. Barmanowi machnął przed oczami legitymacją milicyjną.

– Jak się nazywacie?

– Bednarek, a o co chodzi?

– My tu pytamy, nie wy. Znacie kapitana Mariańskiego?

– Tego grubego? Przychodzi tu czasem.

– Kiedy był tu ostatnio, to ktoś mu coś zapierdolił. Pytam: kto?

Barman rozłożył ręce.

– A skąd mam to wiedzieć? Widzi pan, ilu tu dziś gości? I tak jest ciągle. Nie mam czasu, żeby im się przyglądać.

– Słuchajcie, Bednarek, w waszej spelunie kapitanowi Milicji Obywatelskiej zapierdolili pistolet. Wy macie powiedzieć, kto to zrobił, bo pogadamy z wami inaczej. Zrozumiano?

– A wiecie co – zaczął barman podniesionym głosem – wy to mi możecie jedynie na chuja skoczyć. Wy mnie nie straszcie. Dobrze wiem, że ten grubas siedzi w kryminale i gówno już może. A teraz spierdalajcie, bo klienci czekają.

Opara rzucił mu wściekłe spojrzenie i wyszedł.

Górkami spacerowała młoda kobieta z małym pieskiem na smyczy. Nagle, nie wiadomo skąd, wyrósł przed nią wysoki mężczyzna w kurtce z kapturem zasłaniającym mu twarz. Kopnął psa tak, że ten podkulił ogon i głośnym z piskiem uciekł. Następnie chwycił kobietę za gardło i zaczął ją dusić. Ofiara była tak zaskoczona, że nie zdążyła nawet wykrztusić słowa, krzyknąć o pomoc.

Początkowo broniła się, szarpała, ale z każdą sekundą jej opór słabł, charczała, piana ciekła jej z ust, oczy wychodziły jej z orbit, aż w pewnym momencie poddała się. Napastnik pośpiesznie wciągnął ją w pobliskie zarośla, po czym zerwał z niej rajstopy, a później majtki. Ułożył ciało na ziemi w pozycji embrionalnej i zaczął gładzić jej włosy. Nachylił się nad nieboszczką i przez chwilę ją obwąchiwał. Nagle poderwał się do góry, splunął z obrzydzeniem, schował figi do kieszeni kurtki, poprawił kaptur na głowie i rozejrzał się czujnie, ale o tej porze roku na bulwarze próżno było szukać spacerowiczów. Tylko gdzieś w oddali wałęsał się kundelek, ciągnąc za sobą smycz. Mężczyzna wcisnął dłonie w kieszenie i pospiesznie się oddalił.

Restauracja Nowoczesna tego dnia świeciła pustkami, to był poniedziałek, tak zwany dzień bezmięsny. Wtedy sklepy mięsne, i tak zawsze puste, były nieczynne, a w restauracjach serwowano jedynie jarskie dania.

To wcale nie przeszkadzało dwóm mężczyznom, którzy przy stoliku w kącie łoili wódkę, na zakąskę mając jedynie śledzika. Byli bardzo pochłonięci rozmową, przy czym jeden z nich w konwersacji zapamiętale pomagał sobie gestami dłoni. Machał nimi niczym dyrygent batutą.

– Słyszałeś najnowsze wieści? Ten przygłup Mariański wcale nie jest takim przygłupem, na jakiego wygląda. Wiesz, kogo zatrudnił jako swojego prawnika?

– Nie mam pojęcia. Może Kowalskiego? Kiedyś widziałem ich razem w Pod Strzechą na wódce. Obaj mieli nieźle wlane. Poklepywali się i obejmowali się niczym para pijaków.

– To byłoby pół biedy, on wziął Lewandowską! Czy ty sobie to wyobrażasz?

– Kogo? Nie pierdol mi takich głupot. Przecież oni się szczerze nienawidzą, i to od zawsze. Każdy o tym wie.

– I co z tego? On wie, że tylko ona może go wyciągnąć z tego gówna.

– Ale że Lewandowska się na to zgodziła? To mnie bardzo dziwi.

– Cała ona. Trudne sprawy podniecają ją bardziej niż mężczyźni, a przy beznadziejnych dostaje swoistego orgazmu. Jej stary był taki sam. Jabłko nie pada daleko od jabłoni.

– Krótko mówiąc, nieprędko zamkniemy dochodzenie, bo będzie nam suka deptać po piętach. Swoją drogą, i tak nic nie zdziała. Mariański siedzi w tym

szambie, i to po uszy. Nawet Lewandowska nie zrobi mu dobrze, choćby dostała i stu orgazmów.

– Obyś miał rację, ale to teraz nie jest ważne. Wróćmy lepiej do naszej sprawy. Wszystko mamy pod kontrolą, fanty dobrze ukryte. Poczekamy co najmniej kilka miesięcy, a może nawet rok, i później się do tego dobierzemy. Musimy spokojnie, nie wzbudzając podejrzeń, przeczekać to całe zamieszanie.

– Witam towarzysza.

Przy stoliku stała jakaś kobieta w średnim wieku.

– Jeden z mężczyzn poderwał się z krzesła.

– Kogo moje oczy widzą? Co za niespodzianka, towarzyszka Wernikowa. Co robicie w Płocku? Siadajcie, zapraszam do stolika.

– Nie mam czasu. Przechodziłam tędy i zobaczyłam was przez witrynę. Chciałam tylko spytać, czy pamiętacie o prośbie mojej kuzynki?

– Ależ oczywiście, przecież obiecaliśmy. Ten sukinsyn siedzi w kryminale, a za pół roku będzie osądzony i po sprawie.

– Dziękuję, towarzyszu prokuratorze, wiecie, że my potrafimy się odwdzięczyć.

Rzuciła mu znaczący uśmiech i wyszła.

– Kto to był? Nazwisko nic mi nie mówi – dopytywał drugi z mężczyzn.

– Szefowa gabinetu mojego ministra, a podobno i jego kochanka – wyjaśnił ściszonym głosem pierwszy. – To ona rządzi w resorcie.

– Skąd masz takie znajomości?

– Razem studiowaliśmy. Trzeba powiedzieć, że cholernie zdolne babsko i potrafi się ustawić jak mało kto.

– Wie, komu dupy dać – skwitował jego kompan.

Parsknęli śmiechem. Rozlali wódkę do kieliszków i wypili.

– O kogo jej chodziło? Znam typa?

– O tego pacana Mariańskiego. Wszystko mu się wali, aż chwilami mi go żal. Jakże trafne jest powiedzenie, że na pochyłe drzewo wszystkie kozy skaczą.

– Zasłużył sobie, to kawał tępego chuja. Pamiętam pewne szkolenie w terenie. To było dawno temu. Każdy z funkcjonariuszy miał przy pomocy przydzielonego mu psa wytropić bandytę w lesie. On nie dość, że nikogo nie złapał, to jeszcze zgubił psa. Ale nie to było jego największą wpadką. Bodajże dwa lata później

aresztował towarzysza Kanię, kiedy tamten przyjechał do Łącka na zawody jeździeckie.

– Tego Kanię?

– Tak, tego z Warszawy, sekretarza Komitetu Centralnego. Pomylił go z jakimś elementem, co notorycznie tłukł swoją babę. Wiesz, co się wtedy działo na komendzie?

– Wyobrażam sobie. No ale niedawno przyczynił się do ujęcia seryjnej zabójczyni i zdemaskował sekretarza Gutkowskiego. Nawet order za to dostał.

– Wierzysz w to? To oficjalna wersja, a ja wiem, jak było naprawdę. Tego wszystkiego dokonała Lewandowska, nie on. Jego niesłusznie chcieli wsadzić do pierdla, a później, żeby jakoś z twarzą z tego wyjść, dali mu order.

– Teraz mu go zabiorą, a na dodatek zostanie zdegradowany.

– To jego najmniejszy problem. To będzie cud, jeśli w kryminale przetrwa miesiąc. Przez tyle lat narobił sobie tam wrogów jak mało kto. Rozedrą go na strzępy już po tygodniu.

– Wbrew pozorom to twardy osobnik, daję mu trzy tygodnie. Przyjmujesz zakład?

– Zgoda, jeśli przeżyje ponad tydzień, stawiam ci pół litra wyborowej, jeśli nie przetrwa, to ty mi stawiasz.

– Niech będzie.

Zuza czytała „Trybunę Mazowiecką", a w niej wciąż rozpisywano się o kanclerzu Niemiec Helmucie Kohlu. Komuniści najwyraźniej za nim nie przepadali. Jeden artykuł ją zaciekawił, próbowano w nim wytłumaczyć klątwę Tutanchamona. Zawsze ją interesowały takie ciekawostki. Niespodziewanie zjawił się Nowak. Rozsiadł się po przeciwnej stronie biurka i sięgnął po papierosy leżące na blacie.

– Pytałeś, czy można?! – ryknęła na niego.

– Zarobiłem na nie. Mam adres faceta, z którym Mariański zalewał robaka.

Zuza odłożyła gazetę. Spojrzała na sierżanta z podziwem.

– No proszę, jestem pod wielkim wrażeniem, tego się nie spodziewałam. Opowiadaj.

– Siedzieli przy stoliku blisko baru. Obalili cztery flaszki czystej i wyszli o własnych siłach. Chyba Mariańskiego powaliło dopiero świeże powietrze.

– Nieważne, co go powaliło, choć pewnie bardziej te flaszki, ale skąd znasz dane jego kompana?

– Barman widział go wcześniej, i to kilka razy, jak wchodził do bloku przy Kolegialnej. Pewnie tam mieszka.

Słysząc to, zasępiła się. To tylko przypuszczenie. Cały jej entuzjazm natychmiast gdzieś wyparował. Za wcześnie pochwaliła Nowaka.

– Czyli nie znasz jego nazwiska?

– No nie, ale jak wiemy, gdzie mieszka, to szybko je ustalimy.

– Może tak, a może nie – burknęła pod nosem i na powrót sięgnęła po gazetę.

Podniósł się i wyszedł bez słowa pożegnania.

Nowak był zawiedziony jej reakcją. Tego się nie spodziewał. Czemu zwątpiła w sukces jego śledztwa? Zaraz tam się uda i wszystko ustali. Przekona ją, że się myliła.

Kilka minut zajęło mu dojście na miejsce. Blok nieduży, dwie klatki schodowe, w kwadrans będzie po wszystkim, oszacował na szybko. Zapukał do drzwi mieszkania na parterze. Po dłuższej chwili otworzyła mu jakaś staruszka.

– A pan do kogo?

– Chciałem spytać o sąsiada.

– Co proszę?! – krzyknęła.

Pewnie głucha, pomyślał.

– Chodzi mi o sąsiada!

– Co sąsiada?! Kim pan jest?!

Zaczęli się przekrzykiwać, to nie miało sensu. Wycofał się i wdrapał na pierwsze piętro.

Otworzył mu mężczyzna w ażurowym podkoszulku, miał kilkudniowy zarost, tatuaże więzienne na bicepsach i butelkę piwa sierpeckiego w dłoni.

– Czego? – spytał zaczepnie.

– Potrzebuję informacji. Szukam mężczyzny w sile wieku, szpakowaty, wysoki, dobrze zbudowany, nie wymawia „r”.

– I co jeszcze? Wypierdalaj mi stąd, i to migiem, bo zaraz spuszczę cię ze schodów.

– Zapłacę za informacje. – Nowak puścił mimo uszu chamskie odzywki.

– Wypierdalaj, i to już! Za kapusia mnie masz? Poznałem cię od razu, ty psie, wsadziłeś do mamra Zenka, mojego najlepszego kumpla! Wynocha!

Nieznajomy ruszył w stronę sierżanta, wciąż trzymając butelkę w dłoni. Nowak nie miał innego wyjścia i wycofał się na korytarz. Trzasnęły drzwi zamykane z impetem.

– Więcej mi się tu, chuju, nie pokazuj – usłyszał jeszcze ostatnie ciepłe słowa pożegnania zza nich.

Udał się do drugiej klatki schodowej. Tym razem poszło mu dużo lepiej. Na parterze mieszkała bardzo gadatliwa emerytka. Od razu, nim wyłuszczył, z czym przyszedł, zalała go niezliczoną ilością płockich ploteczek. Zaparzyła herbatę i posadziła go w kuchni przy stole nakrytym kolorową wzorzystą ceratą. Sierżant cierpliwie odczekał, aż się kobieta wygada, i dopiero kiedy na chwilę zamilkła, spytał ją o nieznajomego mężczyznę. I tu zaskoczenie, staruszka wiedziała o problemach biskupa z prostatą, o niechcianej ciąży dyrektorki pobliskiej szkoły podstawowej z woźnym, o problemach alkoholowych komendanta milicji, a nie znała owego mężczyzny. Twierdziła, że nikt taki tu nie mieszka, i to z całą stanowczością.

Cholera, już oczami wyobraźni widział kpiące spojrzenie Zuzy. I znów miała rację. To chwilami było nie do zniesienia.

Zaskrzypiał klucz przekręcany w kłódce. Zakapturzony mężczyzna wszedł do piwnicy. Najpierw zapalił świeczkę, następnie sięgnął po stojącą na półce dużą skrzynię. Otworzył ją, po czym z kieszeni kurtki wyjął damskie majtki. Chwilę wwąchiwał się w ich zapach, by zaraz z obrzydzeniem schować je do owej skrzyni. Zamknął ją i odstawił na miejsce. Zgasił świecę i opuścił piwnicę.

Zuza przyniosła do domu dokumenty na temat Mariańskiego, które kilka lat temu kupiła od syna sekretarza Wiśniewskiego. Wcześniej jedynie rzuciła na nie okiem, teraz postanowiła przestudiować je bardzo dokładnie. Nie było tego dużo. Co najważniejsze, w tych papierach pojawiło się kilka nic jej niemówiących postaci.

To mógł być punkt zaczepienia w całej sprawie. Do tych ludzi postanowiła dotrzeć i coś więcej o Mariańskiego podpytać. Wciąż jedno nie dawało jej spokoju. Mieć złoty kielich wart krocie i podrzucić go komuś zamiast próbować go spieniężyć? To jej się prawie w głowie nie mieściło. Skoro ktoś zadał sobie tyle trudu i nie uległ pokusie sowitego zysku, żeby kapitana tak perfidnie wrobić, to musiał mieć bardzo poważny powód. Wszystkie nazwiska skrzętnie zanotowała, a ustalenie ich adresów postanowiła zlecić aplikantce. Ona była dobra w te klocki jak nikt inny.

Nagle gdzieś z podwórza doleciał okropny huk, w oknach zadrżały szyby. Zuza poderwała się na nogi. Co tu się, do cholery, dzieje? Chyba nie wybuchła następna wojna? Fakt, Reagan i Breżniew prężyli muskuły, ale chyba nie posunęli się do ostateczności. Podbiegła do okna. Na zewnątrz wielka chmura dymu i pyłu, ledwie cokolwiek widać. W oficynie na pierwszym piętrze zamiast balkonu widniała wielka dziura w ścianie. Dopiero po chwili rozległ się przeraźliwy krzyk przerażenia. Oby nikt nie zginął, pomyślała Zuza. Wprawdzie mieszkała tam sama patologia, ale ona nikomu nigdy źle nie życzyła, no może wyłączając sublokatorów z Tomaszkiem na czele. To nie wyglądało na amerykańską rakietę, prędzej na ruski gaz. Zapewne wybuchła butla, nie pierwsza i nie ostatnia. Wciąż się słyszało o takich eksplozjach. Pewnie zawór nieszczelny, kurek otwarty, pijany lokator i niedopałek papierosa. Prosty i bardzo skuteczny sposób na wielkie bum.

– Hurra! Hurra! Hurra! Preeecz z koooomuną! – rozkrzyczała się Zgaga.

– Zamknij ten przeklęty dziób! – zrugała ją Zuza, po czym chwyciła płaszcz i wybiegła z mieszkania. Na korytarzu o coś się potknęła. Spojrzała pod nogi i wrzasnęła przestraszona: – Co to jest?! – Cofnęła się krok. – Do cholery, to szczur!

Prawdziwy mutant, tak był wyrośnięty. Sam ogon miał z trzydzieści centymetrów długości. Nie ruszał się.

Wyglądał na zdechłego. Trup sam tu nie przyszedł. To znów robota Tomaszka. Kiedyś ubije tego skurwysynka, to pewne. Ominęła zwierzę wielkim łukiem. Tak na wszelki wypadek, gdyby jeszcze dychał i przed oddaniem ostatniego tchnienia spróbował wbić zębiska w jej łydkę.

Na dole zebrał się już tłum sąsiadów, bliższych i dalszych. Skąd oni się wzięli? Kiedy nastała zima stulecia i trzeba było odśnieżyć podwórze, to kamienice były jak wymarłe. Nikt nie kwapił się do roboty. Akurat z gruzowiska ktoś wyniósł jakąś kobietę. Położono ją na ziemi, wyglądała na nieprzytomną. Na tym skończyła się pomoc. Zuza przedarła się przez gapiów i nachyliła nad nią. Wtedy poczuła tak

silny odór wyrobów perfumeryjnych, że aż się odsunęła. Kobieta pewnie nażłopała się wody brzozowej lub innego wynalazku. Na ciele nie miała żadnych widocznych urazów i od razu wszystko stało się jasne. To nie eksplozja, tylko te świństwa pozbawiły ją przytomności. Wynieśli drugą osobę, mężczyznę, pewnie kompana tamtej od picia. Już na pierwszy rzut oka było wiadomo, że więcej się razem nie napiją, że to była ich ostatnia wspólna libacja, fizycznie byłoby to niemożliwe, bo urwało mu głowę. Więcej poszkodowanych nie znaleziono. Wreszcie po dobrym kwadransie przyjechała karetka i zabrała kobietę. Po nieboszczyka jak zwykle w takiej sytuacji miał się zgłosić Ludwicki. W końcu pojawili się strażacy i rozpoczęli penetrację gruzowiska w poszukiwaniu głowy, żeby skompletować trupa. Zuza na efekt ich poszukiwań nie zamierzała czekać, bo w swoim życiu aż za dużo odciętych głów widziała. Wróciła do siebie. Szczura już nie było. Tomaszek widocznie przestraszył się i usunął dowód swojego przestępstwa. To i tak mu w niczym nie pomoże, stwierdziła. Niebawem znów się spotkają sam na sam, ale tym razem nie wzbudzi w niej ani krzty litości.

W mieszkaniu awantura na całego. Zgaga nie wiadomo jak znów uciekła z klatki i latała po pokoju. Co chwila nurkowała w dół niczym niemiecki sztukas podczas drugiej wojny światowej, próbując za wszelką cenę dopaść Wrzoda. Ten mimo swojego kalectwa robił zręczne uniki i dziób papugi jedynie przecinał powietrze, aż w końcu zaklinował się w rogu kanapy. Papuga straciła właściwości aerodynamiczne i zaliczyła twarde lądowanie. Wtedy do akcji wkroczył Borys. Chwycił ją wpół i zaczął biegać w kółeczko po pokoju.

– Preeecz! Preeecz! Skuuuuurwysyn! Skuuuurwysyn! – krzyczała, ale pies był głuchy na jej wołania. Zuza rzuciła się Zgadze na pomoc, ale zaczepiła o coś nogą i wylądowała na podłodze.

– Kurwa, ja z wami chyba zwariuję! – zaklęła, masując biodro i starając się wstać. Borys tymczasem wcisnął papugę do swojej miski i przycisnął ją łapą tak skutecznie, że ta nie mogła się nawet poruszyć, a tym bardziej kłapać dziobem. Jedyne, co mogła zrobić, to rzucać mu wściekłe spojrzenia. Wrzód, dumnie unosząc łeb, dokuśtykał do papugi, po czym z wściekłością wbił zęby w jej najdłuższe pióro w ogonie i zapierając się łapami, silnie je pociągnął. To na chwilę zdekoncentrowało Borysa, co Zgaga natychmiast wykorzystała i uwolniła się z jego łap. Niestety, pióro zostało na polu bitwy. Zuza chwyciła papugę w locie i na powrót umieściła ją w klatce. Sytuacja w końcu była opanowana. Najgorsze, że

wciąż bolały ją bark i lewa ręka. To na niej się wsparła, kiedy upadała. Po kwadransie zaczęła puchnąć. Cholera, pewnie złamana, trzeba ją prześwietlić. Zuza zadzwoniła po Nowaka, bo o taksówce na telefon to można było tylko pomarzyć. Na urazówce zeszło im do północy, najpierw długa kolejka do lekarza, później rentgen, następnie od nowa kolejka do gabinetu. Diagnoza: zwichnięcie, mogło być gorzej. Później usztywnienie ręki aż do łokcia i powrót do domu. Dobrze, że to lewa, bo inaczej byłby spory kłopot. Prawą dało się nalać koniaku do kieliszka i podnieść go do ust, jak i zapalić papierosa.

Wracając ze szpitala, zostali zatrzymani przez milicję. Okazało się, że przed godziną nieopodal ulicy Medycznej znaleziono martwą młodą kobietę. Zostali wylegitymowani i pojechali dalej.

Był późny wieczór, zazgrzytał klucz w kłódce, skobel puścił, zaskrzypiały stare, dawno nieoliwione zawiasy, drzwi do piwnicy otworzyły się na oścież. Ktoś wszedł do środka. Przez chwilę słychać było trzask pocierania zapałką o draskę, mały płomyczek przeniósł się na świeczkę. W pomieszczeniu zrobiło się widniej. Zakapturzony mężczyzna podszedł do regałów stojących przy ścianie. Zdjął z półki skrzynię. Tym razem dostępu do jej zawartości strzegła potężna stalowa kłódka. W świetle świecy błyszczała nowością. Przekręcono inny klucz i wieko się uniosło. Przybysz wyciągnął zza pazuchy jakieś zawiniątko i je rozłożył. To były koronkowe majtki. Nieznajomy zatopił w nich nos, ale zaraz go odsunął. Na jego twarzy pokazał się grymas niezadowolenia. Pospiesznie schował majtki do skrzyni, zamknął ją i odstawił na półkę. Nagle kopnął coś lewą nogą. Rozległ się przeraźliwy pisk. Butem trafił w szczura, który nic sobie nie robił z jego obecności i plątał mu się u nóg. Zgasił świeczkę i opuścił piwnicę.

Zuza wstała wcześnie rano i pierwszą rzeczą, którą zrobiła, było podejście do okna, by odchylić firankę i wyjrzeć na podwórze. Widok za szybą był okropny, wszędzie mnóstwo gruzu, ściany oficyny podparto drewnianymi drągami, inaczej budynek rozpadłby się na kawałki. Pewnie niebawem go rozbiorą. Lokatorów próżno szukać, zapewne już ich przekwaterowali na Cholerkę. Tam z reguły przesiedlano tak zwany element. Wczoraj w całym tym rozgardiaszu zupełnie zapomniała o swoim samochodzie zaparkowanym nieopodal garażu pana Tadzia, a mógł przecież ucierpieć w wyniku wybuchu. Od razu zauważyła, że coś z nim jest nie

tak. Przyjrzała mu się dokładniej. Co za cholerne bydło. Pojazd od eksplozji nie ucierpiał, ale zniknęły koła, wyparowały. Samochód stał na cegłach, pewnie na tych z gruzowiska. Złodzieje wykorzystali zamęt i pozbawili jej fiata jego podstawowego atutu, czyli mobilności. Tak oto czara goryczy się przelała. Zuza postanowiła, że natychmiast go sprzeda, od proboszcza wynajmie garaż i dopiero wtedy kupi nowy samochód. Nie będzie więcej sponsorować złodziejskiej hołoty, mowy nie ma. Ubrała się i zbiegła na dół. Na podwórzu natknęła się na pana Tadzia. Stał z kubłem na śmieci obok jej auta i znacząco kręcił głową.

– Dobrze, że mam garaż, bo jakby to mnie skroili, jak nic dostałbym zawału.

– Widocznie mam mocniejsze serce. Jeśli dopadnę tego, co to zrobił, to mu jaja urwę. Nie ma pan może kupca na tego mojego rzęcha? Już na niego patrzeć nie mogę.

– Bez kół? Kto go kupi?

– Sprzedam bez nich, sporo opuszczę cenę.

Pan Tadzio z zafrasowaniem podrapał się w głowę.

– No nie wiem, czy znajdzie się chętny, no bo jak tym jeździć?

– Panie sąsiedzie, ale tuż za progiem pierwszy listopada, czyli najlepszy moment na sprzedaż. Wtedy Polacy z obłędem w oczach kupują samochody, żeby z fasonem zajechać na cmentarz, żeby sąsiadów skręciło z zazdrości. Sam pan wie, że jak ktoś dobrze pokombinuje, to i koła zdobędzie. Swoją drogą też ich poszukam.

– Postaram się, popytam, ale niczego nie obiecuję. Pogadam z kolegami samochodziarzami. A co się stało z pani ręką? Złamana?

– Zwichnięta, to przez ten mój zwierzyniec. Łapałam papugę i zahaczyłam o coś nogą. I to cała historia.

Wróciła do mieszkania i od razu chwyciła za telefon. Musiała poruszyć niebo i ziemię, żeby zdobyć te przeklęte koła. Zadzwoniła do kilkunastu osób i teraz pozostało jej czekać na efekty.

Idąc do pracy, zobaczyła młodego mężczyznę siedzącego na grubym kocu na schodkach prowadzących do kawiarni Hortex. Na kolanach miał blok rysunkowy, w ręku trzymał węgiel i niczym profesor Zin pewnymi ruchami dłoni kreślił rysunek. Z ciekawością zerknęła mu przez ramię. Zobaczyła portret kobiety

stojącej w kolejce do delikatesów. Podobieństwo postaci było uderzające. Zdolny sukinsyn, pomyślała i poszła dalej.

W kancelarii tłum interesantów. Z trudem dopchała się do swojego pokoju. Zaraz przybiegła do niej Jolka.

– Co tu się dzieje? Kowalski sprzedaje następną przedpłatę na samochód czy co? – zwróciła się do niej Zuza.

– Tym razem chce odstąpić książeczkę mieszkaniową z pełnym wkładem i dobrym miejscem w kolejce na przydział.

– Nie ma gdzie tego robić? Jak mam tu pracować? Przecież się nie da.

– Kazał panią przeprosić, ale on całe dnie siedzi w kancelarii, a do domu nie chce tych ludzi sprowadzać, żeby nikt mu nie przejrzał kątów.

– No tak, cały on. A sam to nie może tego zrobić, musi wszystko załatwiać przez posłańców? We łbie mu się przewraca. Co masz dla mnie? Dowiedziałaś się czegoś o tym… jak mu tam?

– Błaszczak.

– No właśnie. Masz coś ciekawego na jego temat? Tylko konkrety!

Aplikantka skrzywiła się, jakby napiła się soku z cytryny. To już na wstępie źle wróżyło.

– Z tym będzie problem. Skryty, nie wdawał się w żadne rozróby, nie szlajał się z kolegami po knajpach, co niedziela szedł do Radziwia do kościoła na poranną mszę. Stary kawaler, mieszkał z matką, którą się opiekował.

– To wszystko? – Zuza nie kryła rozczarowania.

Jolka teatralnie rozłożyła ręce.

– Niestety.

– A co ludzie mówią o jego zabójstwie? Jak je komentują?

– Wszyscy są w szoku. Jeden z sąsiadów powiedział mi, że Błaszczak lubił się wałęsać na starówce po budowach i szukać jakichś staroci. Ponoć kiedyś chciał iść na archeologię, ale maturę oblał i nic z tego nie wyszło. W domu miał pełno różnych znalezisk, ale milicja już wszystko zarekwirowała. Podobno to własność narodu.

– I to go zgubiło. – Zuza pokiwała smętnie głową.

– Myśli pani, że to on znalazł ten skarb?

– Być może, ale jednego jestem pewna. Zginął przez swoje hobby. Powiadasz, że z nikim się nie przyjaźnił? A w ogóle, to gdzie pracował?

– Nigdzie, był na rencie inwalidzkiej.

– A na co chorował?

– Gruźlica, ale nie jestem do końca pewna. Jedna sąsiadka twierdziła, że miał suchoty, a druga, że miał znajomości i sobie rentę załatwił.

– Takich, co są na lewych papierach, jest mnóstwo. Konowały biorą łapówki i wypisują zaświadczenia. U Nowaka w rodzinie to wszyscy na lewych rentach prócz niego. On, mimo że chory, długo się o nią starał. Czego się jeszcze dowiedziałaś?

– To już naprawdę wszystko.

Ktoś zapukał. Drzwi się uchyliły i obie zdębiały, bo zobaczyły Murzyna. Szeroko się do nich uśmiechnął, demonstrując okazały garnitur śnieżnobiałych zębów.

– Ja do pani Lewandowsky – rzekł.

Kobiety spojrzały po sobie; jak by nie było, czarnoskóry w Płocku to rzadki widok.

– A o co chodzi? – spytała Zuza.

– Ale ja do pani Lewandowsky, to prywatny sprawa. Czy to pani?

– Zgadza się.

– Pójdę zaparzyć herbatę. – Aplikantka podniosła się z krzesła i wyszła.

– Proszę usiąść. Co pana sprowadza?

Przyglądała mu się z zainteresowaniem. Młody, sylwetka wysportowana, gęste, kręcone, kruczoczarne włosy, których mogła mu pozazdrościć niejedna kobieta, a już ona na pewno. Ubrany elegancko: dobrze skrojony jasny garnitur, błękitna koszula i krawat w grantowe kropki.

– Ja być pani brat – wypalił prosto z mostu.

Zuza ze zdziwienia wybałuszyła oczy, dosłownie zatkało ją z wrażenia, wcisnęło w fotel. W pokoju zapanowała grobowa cisza. Dopiero po dłuższej chwili pierwsze emocje opadły.

– Co proszę? Chyba źle usłyszałam. Czyim jest pan bratem? – wydukała.

– Ja być pani brat. Ja mieć na imię Eduardo.

– To jakaś pomyłka, pan mnie z kimś pomylił. Ja nie mam brata, a tym bardziej… – urwała zakłopotana.

– Muziny? – dopowiedział.

– Moi obydwoje rodzice byli biali, więc nie mogę mieć brata o innym kolorze skóry. To jest na pewno jakieś nieporozumienie. Lewandowski to bardzo popularne nazwisko. W samym Płocku jest ich mnóstwo.

– Tak, tak, Lewandowsky jest jak mrówków, jak wy to mówić – przytaknął jej ochoczo – ale ja się nie pomylić. Ty być moja siostra. Moja matka pochodzić z Kuby. Pracować w ambasada w Warszawa i tam poznać nasza tata.

Spojrzał na portrety wiszące na ścianie.

– O, nasza tata! – Wskazał palcem podobiznę Ambrożego. – Mama mieć jego fotografia.

Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął z niej portfel, a z niego stare, pożółkłe zdjęcie. Podał je Zuzie.

Zawahała się. Ostrożnie wzięła je w palce i zerknęła na nie. Jakby w nią piorun strzelił. Zbladła jak płótno. Gdyby nie siedziała w fotelu, to pewnie by upadła.

Niemożliwe! Kurwa mać, to przecież on. Ambroży Lewandowski przytulał jakąś Afroamerykankę. Myślała, że nic w życiu już jej nie zaskoczy, ale jak widać srodze się pomyliła. Siedziała jak skamieniała i nie była w stanie wydusić z siebie słowa.

– Wiem, że to dla ciebie wstrząs, ja się zatrzymać w hotela PTTK.

Skłonił się i wyszedł.

Zuza ani drgnęła, w głowie czuła wielką pustkę. Tego chyba było już za wiele nawet na nią. To przerastało wszelkie pojęcie.

– Jolka! – nagle ryknęła na całą kancelarię.

Aplikantka zjawiła się błyskawicznie, przerażona jej krzykiem. Jeszcze bardziej się wystraszyła jej wyrazem twarzy.

– Boże, co się stało?

– Masz wódkę, czystą wódkę?

– No mam, ale pani pija stocka.

– Dziś koniak to stanowczo za mało – wyszeptała. – Nalej mi szklankę, i to migiem.

Jolka wróciła po chwili z butelką wyborowej i dwoma szklankami. Rozlała po pół szklanicy.

– Do pełna! – rozkazała pryncypałka głosem nieznoszącym sprzeciwu.

Posłusznie dolała trunku. Zuza wypiła duszkiem. Aplikantka nie zamierzała być gorsza i poszła w jej ślady. Jednak jej gardło nie było tak wprawione i potem dłuższą chwilę łapała powietrze.

– Co się stało? Kim był ten człowiek? Szantażysta? – powtórzyła pytanie, wbijając w Zuzę natarczywe spojrzenie. Jak by nie było, jej zachowanie zasadniczo odbiegało od tego, do czego była przyzwyczajona.

Zaległa grobowa cisza. Zuza zapaliła ekstra mocnego. Dopiero po dłuższej chwili zdołała wydukać:

– To ponoć mój brat, przyrodni brat.

Jolka sądziła, że się przesłyszała.

– Kto? On? Czyj brat?

– Głucha jesteś? To ponoć mój brat! – ryknęła na nią Zuza. – Mam czarnego brata. Myślałam, że już wszystkie trupy wyleciały z szafy Ambrożego, a tu na koniec mamy takiego rodzynka. Tatuś zrobił sobie dzidziusia z jakąś czarną Kubanką.

– To świetnie, nieraz pani narzekała, że nie ma rodziny. A w ogóle to on jest całkiem przystojny. Jak ma na imię?

– Eduardo. Czemu nic o nim nie wiedziałam i czemu zjawia się akurat teraz, po tylu latach?

– Musi go pani przepytać. Może siedział tam na tej Kubie i nie mógł wyjechać, tak jak pani nie może odwiedzać tej znajomej w Ameryce?

– Tak zrobię. A może to jakiś oszust? Może chce pieniędzy?

– Wyglądał sympatycznie, nie wyglądał na oszusta.

– Sama już nie wiem. Przez te wszystkie lata nauczyłam się nie ufać ludziom. Skoro pojawia się znikąd i tak niespodziewanie, to coś w tym musi być. Pójdę do hotelu i wezmę tego całego Eduarda na spytki. Jeśli liczy na kasę, to srodze się zawiedzie.

– Ale za co miałby chcieć pieniędzy?

– Jak to za co? Za zniknięcie z mojego życia. W tym kraju posiadanie brata Murzyna jest źle widziane. Może w Warszawie to by jakoś uszło, ale tu na prowincji? Będą go palcami pokazywać na ulicy. Nie pamiętasz sprawy Edyty, córki aptekarki, co zrobiła sobie bachora z jakimś studentem z Sudanu. Dla dobra dziecka musiała się wynieść z Płocka.

– Od kiedy pani się przejmuje ludźmi? – Aplikantka się zaśmiała.

– Ja się nie przejmuję, ale on o tym nie wie. Zobaczymy, co zezna w przesłuchaniu. Idę tam, niech mam to już za sobą.

– Może pójść z panią?

– A po co? – Zuza spojrzała na nią zdziwiona. – To sprawa rodzinna, być może rodzinna – zaraz się poprawiła. – Sama sobie poradzę.

Na mieście zaczepił ją prokurator Marciniak. To on prowadził śledztwo w sprawie zabójstwa Błaszczaka.

– Witam szanowną koleżankę. I jak układa się współpraca z nowym klientem? – zakpił.

Nie cierpiała typa i nie zamierzała dać mu pożywki do nowych żartów.

– Nie narzekam, powiem, że wręcz znakomicie – odparła z szerokim uśmiechem. – Dziwię się koledze, że mając takie doświadczenie w zawodzie, na tak kruchych fundamentach buduje oskarżenie. Właściwie powinnam być mu wdzięczna, bo to mi bardzo ułatwi odniesienie następnego sukcesu, przypięcie nowego skalpu do pasa. – Zerknęła wymownie na jego łysą glacę. – Choć tym razem nędznego – dodała zgryźliwie.

– Jeśli szanowna koleżanka myśli, że to będzie mój skalp, to się bardzo zdziwi. Tym razem to ja pozwolę sobie przytroczyć skalp szanownej koleżanki. Zebrane przez prokuraturę dowody są nie do obalenia. Szczerze mówiąc, dziwię się koleżance, że podjęła się tak szalonej misji, a tym bardziej że wszystkim w Płocku są znane animozje między oskarżonym a szanowną koleżanką. Przy okazji proszę zajrzeć do mnie, mam już całą teczkę grypsów, które podejrzany Mariański wysłał do swojego byłego podkomendnego, kaprala Opary.

– Gdy idzie o pracę, wszystko inne odkładam na bok. Jestem profesjonalistką, chyba kolega o tym wie?

– Owszem, ale zapewne trudno jest koleżance bronić śmiertelnego wroga? To taka walka z samym sobą.

– Tak, to po trosze pewna forma masochizmu, ale każdy z nas jest po trosze zboczony, taka już ludzka natura. Postaram się jutro zajrzeć do pana i zerknąć na te wypociny. Miłego dnia. – Puściła do niego oko i poszła.

Eduarda w hotelu nie zastała, szkoda, bo chciała wszystko załatwić na gorąco. Wróciła do domu. Na klatce schodowej przed jej drzwiami stał jakiś mężczyzna. Nie znała typa, a jego fizjonomia nie budziła za grosz zaufania. Poczuła niepokój, ale zaraz wszystko się wyjaśniło, to był kupiec na jej fiata, i to bez kół, znajomy pana Tadzia. Trzeba przyznać, że sąsiad spisał się na medal. Zuza wzięła z domu kluczyki i zeszli na dół. Mężczyzna obejrzał gablotę i od razu okazał wielki entuzjazm dla transakcji, a zatem wszystko szło zgodne z planem. Umówili się na następny dzień w kancelarii na podpisanie umowy. Zuza wielce rozanielona wróciła do mieszkania.

– Hurrrra! Hurrrra! Zuuuza! Kuuuurwa maaać! – krzyczała Zgaga. Jak zwykle znalazła się odpowiednio.

– Owszem, masz rację, też mam ochotę krzyczeć z radości.

Spojrzała na Borysa.

– A co z tobą? Jesteś jakiś markotny. Pewnie tęskno ci do tych twoich panienek. No nie wiem, czy po tym postrzale byłyby z ciebie zadowolone, z jednego jajka wypłynęło żółtko, a drugie wygląda niewiele lepiej, bo jakby w nie trafił szrapnel.

Wzięła smycz z wieszaka. Wrzód otarł jej się o nogi.

– Ty, koleś, zostajesz. Ze swoim kalectwem to na zewnątrz nie masz żadnych szans na przeżycie, pierwszy lepszy bezpański pies by się udławił twoim mięsem.

To była krótka przechadzka, bo aura nieprzyjemna, zimny wiatr i siąpił drobny deszczyk. Po kwadransie Zuza na powrót stanęła przed drzwiami swojego mieszkania. Chciała chwycić za klamkę i wtedy zobaczyła, że coś na niej wisi. Od razu poznała. To przecież jej majtki. Te, których szukała ostatnio. Do cholery, skąd one się tu wzięły? Natychmiast przypomniało jej się zdarzenie sprzed kilku dni, kiedy po powrocie z kancelarii zastała bieliźniarkę otwartą, a część garderoby walającą się po podłodze. Wtedy o ten bałagan podejrzewała Wrzoda. Czyżby niesłusznie? Czy to możliwe, że ktoś był w jej mieszkaniu podczas jej nieobecności i grzebał w jej bieliźnie? Czemu miało to służyć? Zboczeniec czy raczej żartowniś? Nie wiedziała, co o tym myśleć. Tak czy owak, jeśli ten ktoś sądził, że ją przestraszy, to się srodze zawiedzie. Nie takie rzeczy podrzucano jej pod drzwi,

jak choćby ludzką głowę. Pierwszą rzeczą, którą zrobiła po wejściu do środka, był telefon do ślusarza. Czego jak czego, ale szwendania się bez jej wiedzy po jej mieszkaniu tolerować nie będzie. Teraz wziął majtki, a co zabierze następnym razem?

– Myślałam, że jesteś moim obrońcą – zwróciła się do Borysa, nie kryjąc żalu. – Kiedyś mogłam na ciebie liczyć, a teraz wpuszczasz nieznajomych do mieszkania. Czym cię przekupił? Kiełbasą, a może salcesonem?

Psisko chyba zrozumiało te przemowę, bo spuściło łeb i poczłapało na swoje posłanie. Zuza natomiast poszła do kuchni po tabletki z krzyżykiem, bo silny ból głowy już od samego rana nie dawał jej żyć. Połknęła od razu trzy i popiła je wodą sodową z syfonu. Dopiero wtedy z paczką żyletek Polsilver w dłoni udała się do łazienki na golenie nóg. Nie spieszyła się z pozbywaniem nadmiaru owłosienia, słyszała zza drzwi nerwowe ruchy sąsiadów, dobijanie się i przekleństwa rzucane pod jej adresem, ale się tym w ogóle nie przejmowała. Jak ich przyparło, to niech walą w wiadro. Pewnie zanim się tu wprowadzili, czynili to na co dzień. Nikt ich tu do jej rodzinnego mieszkania nie zapraszał.

To był spokojny wieczór, zakłócony jedynie myślami o Eduardzie Lewandowskim i jednym mało znaczącym telefonem. Jakiś świr zadzwonił, żeby posapać do słuchawki. To już nie robiło na niej żadnego wrażenia. Chyba nie zliczyłaby sapiących dewiantów, gróźb karalnych i wyzwisk, których przez te lata wysłuchała. Tak naprawdę tylko dwie z tych osób okazały się dla niej zagrożeniem. Jedna już nie żyła, a druga miała odsiadywać dożywocie, ale właśnie znalazła się na wolności. Sądząc po głosie, to nie był on. Zuza słuchała Niemena, czytała książkę, przerywając lekturę jedynie kolejnym papierosem czy też kieliszkiem stocka. W końcu sen ją zmorzył na kanapie z *W poszukiwaniu straconego czasu* Prousta w ręku.

Rano, i to skoro świt, zerwała się z łóżka. Ubrała się i wybiegła z domu. Na klatce schodowej przemknął jej młody mężczyzna. Wchodził na trzecie piętro. To pewnie ten student, który od niedawna mieszkał u pana Tadzia na stancji. Studiował na politechnice inżynierię wodną czy coś podobnego. Najważniejsze, że nie chemię, bo ci studenci niekiedy mają ciągotki do eksperymentów pirotechnicznych. Twarz wydała jej się znajoma, ale pewnie kiedyś natknęła się na niego gdzieś na mieście.

Na ulicy spotkała proboszcza. Ubrany galowo, mknął tak szybko jak mu tusza pozwalała do jakiejś duszyczki zamierzającej oddać ostatnie tchnienie. Też ją zobaczył. Machnął jej ręką w geście powitania, krzyknął: „Zajrzyj do mnie na kielicha!" i pomknął dalej.

W barze mlecznym było pusto i cicho jak makiem zasiał. Powód był prozaicznie prosty – skisiło się mleko i nie było czego serwować klientom. Czekano teraz na nową dostawę z mleczarni. Wzięła więc jajecznicę i herbatę, a właściwie lurę w niczym jej nieprzypominającą poza nazwą w cenniku.

Jak zwykle, zanim rozpoczęła konsumpcję, rozłożyła przed sobą „Trybunę Mazowiecką". Już na pierwszej stronie rzucił jej się w oczy komunikat ostrzegający kobiety przed chodzeniem wieczorami w pojedynkę. Ponoć po Płocku grasował psychopata. Napadał na kobiety, dopuszczał się na nich czynów lubieżnych, zabijał je, a na koniec zabierał majtki ofiary niczym jakieś trofeum. Zuza od razu pomyślała o swoim przypadku, ale zaraz odrzuciła to podejrzenie. Zboczeniec wyszukiwał młode kobiety, a ona już jakiś czas temu wypadła z tego grona. Poza tą informacją zainteresował ją artykuł o nowej zaporze na rzece Parana. Od razu przypomniały jej się powieści Arkadego Fiedlera i Alfreda Szklarskiego, książki jej dzieciństwa.

– Pani mecenas – usłyszała Piosika.

Z nieskrywaną niechęcią złożyła gazetę.

– Czego znów chcesz?

– No jak to czego? Przecież kazała mi pani zasięgnąć informacji na temat tego Boksera – rzekł z wyrzutem w głosie.

Faktycznie, zupełnie o tym zapomniała. To wszystko przez tego Eduarda, czy jak mu tam naprawdę. No bo jak w takiej chwili myśleć o czymś innym? Właśnie zaraz po śniadaniu wybierała się do hotelu, żeby się z nim ostatecznie rozmówić. Po długich nocnych przemyśleniach stanowczo odrzucała ich domniemane pokrewieństwo. Zdjęcie zapewne było fotomontażem. To pewnie następny podstęp bezpieki, żeby wyrwać od niej archiwum Wiśniewskiego. Dość tego, wydarzenia z ostatnich miesięcy kazały jej zachować szczególną ostrożność. Nie da się zrobić w balona.

– Mam teraz inny problem i dlatego mi to z głowy wyleciało.

– Pewnie chodzi o tego Murzyna?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Skąd ty to wiesz?

– No jak to skąd? Wszędzie rozpowiada, że jest pani bratem. Chwali się tym.

– Wszędzie to znaczy gdzie?

– Stoi na placu Narutowicza i pozwala się ze sobą fotografować.

– Głupiec – warknęła. – Nic się nie szanuje.

– Nie taki z niego głupiec, pani mecenas, bo on bierze za to szmal, i to spory. Raczej tamci to głupcy.

– I są na to chętni?

– Jeszcze się pani pyta! Kolejka do niego jest dłuższa niż u rzeźnika za mięsem. Kobiety aż piszczą, jak je obejmuje i pozuje z nimi do aparatu, szczerząc te swoje kły.

– Teraz też tam jest?

– Nie wiem, ale pewnie już od rana łupi dzieciaki idące do szkoły. Dogadał się z fotografem z „Antypodkowy", on pozuje, a tamten robi zdjęcia...

– I razem kręcą lody – dopowiedziała Zuza. – A wracając do Boksera, czego się o nim dowiedziałeś?

– Niedużo. Jakaś staruszka go pamięta, i to ledwie. Wyjechał podczas wojny, a może tuż po niej, i wszelki ślad po nim zaginął. Jego krewni dawno nie żyją i nie ma kogo więcej spytać.

– Czyli nie widziała go lub nie poznała. Przez te lata musiał się sporo zmienić. Krótko mówiąc, to był ślepy trop – rzekła z zawodem w głosie.

– Jeszcze popytam o niego po melinach. Może ktoś go widział – zaproponował Piosik, widząc jej minę.

– Postaraj się, choć nie robię sobie dużych nadziei.

– Poczęstuje pani fajką? Kasa mi się skończyła – zaskomlał, wbijając w nią błagalne spojrzenie.

Sięgnęła do torebki.

– Masz paczkę radomskich, a jeśli znajdziesz coś na temat tego Boksera, to kapnę ci trochę gotówki. Postaraj się.

– Robię co mogę. Zresztą pani mecenas mnie zna i wie, że może na mnie polegać.

– Jajecznica raz! – wydarła się nagle kucharka.

– Wiem, a teraz daj mi w spokoju zjeść śniadanie.

Zuza podniosła się od stołu i poszła po posiłek.

Jak tylko uwinęła się z jedzeniem, udała się na plac Narutowicza. Od razu rzuciło jej się w oczy małe zgromadzenie. Dziwne, że milicja go jeszcze nie rozpędziła, było nie było, wciąż obowiązywał zakaz zgromadzeń. Podeszła bliżej i już się nie dziwiła. Właśnie kapral Opara, szeroko się uśmiechając, obściskiwał się z Eduardem, a fotograf uwieczniał to na kliszy. Domniemany brat zobaczył ją i pomachał do niej.

– Co ty wyczyniasz?! – zrugała go. – Robisz pośmiewisko z siebie i ze mnie. Chodź ze mną! – Pociągnęła go za rękę. Coś szepnął wspólnikowi do ucha i posłusznie poszedł za nią. Weszli do kancelarii i zamknęli się w pokoju.

– Siadaj! – Wskazała mu krzesło.

Tak też uczynił i spojrzał na nią wyczekująco, wciąż się uśmiechając.

– Co ty wyprawiasz? Nie jesteś zwierzątkiem w zoo. Jesteś człowiekiem tak jak ja i ci wszyscy. Czemu się poniżasz? Dla pieniędzy? Ile potrzebujesz? Dam ci szmal i najlepiej wyjedź z Płocka. I tak już sporo namieszałeś.

– Ja nie rozumieć ciebie – zdziwił się. – To być uczciwy interes. Oni płacić, i to dobrze. Ja nie kraść, ja tylko sprzedawać swój wizerunek.

– Ale oni cię traktują jak jakiś fenomen, jak dziwoląga, jak kucyka.

– Bo oni być głupi. Ja wybrać wszystkie zdjęcia z blondynkami i ja je wywieźć na Kubę i tam sprzedawać. Tam tak samo głupi ludzie i oni traktować te blondynki jak wy Muzina. Ja mieć na studiach kolegę z Wietnamu, on kupić ode mnie reszta zdjęć i on je sprzedać u siebie.

Zuza parsknęła śmiechem.

– To ty jesteś prawdziwym kapitalistą. Tak jak ja nie pasujesz do systemu. Co studiujesz?

– Prawo na Uniwersyteta Warszawa. Właśnie ja go skończyć, i to z wyróżnienia – odparł, dumnie prężąc pierś.

Zuza sięgnęła po papierosy.

– Zapalisz? Pewnie nie, ty zapewne palisz cygara. Tego ci zazdroszczę, kubańskie są najlepsze.

– Mnie nie stać na nie – zaoponował. – Moja mama być teraz biedna kobieta. Ona sama mnie wychować, a z cygarami u nas jest tak jak u was z kiełbasa, polska najlepsza, ale nigdzie jej nie kupić.

– Kurewskie uroki komunizmu. Czemu dopiero teraz mnie odnalazłeś?

– Ja się wahać, ja nie wiedzieć, jak ty mnie przyjąć. No wiesz, wy Polaki to dziwni ludzia. Szczerzycie zęby do Muziny, poklepujecie po plecach, ale mieć w rodzinie, to nie. To wielki wstyd.

– Głupoty opowiadasz – żachnęła się. – Dla mnie kolor skóry nie ma znaczenia.

– Ja się cieszyć, że ty taka, ale ja nie wiedzieć wcześniej. Ja długo wahać. Za miesiąc ja wracać do Hawana i chcieć cię poznać. Ty moja bliska rodzina, ty moja siostra.

Zuza patrzyła na niego z coraz większą sympatią. Rozbrajał ją swoją szczerością, takich ludzi stanowczo za rzadko spotykała. Tak naprawdę to nie było między nimi biologicznego pokrewieństwa, ale nie mogła mu tego wyjawić. Zresztą, stwierdziła, on i tak już wyjeżdża i niech żyje ze świadomością, że w dalekiej Polsce ma siostrę.

– Opowiedz mi o swojej matce.

– Była piękna kobieta. Sam ambasador kochać w niej.

– Czym się zajmowała?

– Ona prawnik, tak jak tata. Poznać się na jakaś kolacja i od razu kochać. Mama chcieli zostać w Polska, ale nasze władza nie pozwolić i mama musieli wyjechać do Hawana. Tam ja urodzony.

– Dziwne, że nic o tym nie wiedziałam. Ojciec przed śmiercią długo ze mną rozmawiał, przekazywał swoje sprawy, zdradzał ostatnie tajemnice. Powinien i o tym wspomnieć.

– Mama pisać długi listy do Polski i bez odpowiedzi.

– Żadnych listów w domu i w kancelarii nie znalazłam. Może wasza bezpieka je skonfiskowała i nie dopuściła, żeby do ojca dotarły.

Eduardo nerwowo rozejrzał się po pokoju, co nie uszło Zuzy uwadze.

– Spokojnie, tu nie ma podsłuchów. Możesz śmiało mówić.

– U nas na Kuba jest mnóstwo policja polityczna. Oni mieć oko na każdy człowiek.

– To tłumaczy wszystko. Zapewne ojciec nie wiedział o twoim istnieniu i dlatego tak się zachował. Inaczej stanąłby na głowie, żeby was sprowadzić. Tym bardziej że moja mama już nie żyła. Masz jakieś zdjęcia mamy?

Mężczyzna chwilę pogrzebał w kieszeni kurtki i wyjął z niej plik odbitek. Najwyraźniej był przygotowany na twego rodzaju prośbę. Były zdjęcia z młodości, były i obecne. Zuza zwróciła uwagę na szlachetne rysy twarzy kobiety mimo jej już statecznego wieku.

– Ładna. Szkoda, że tak to się skończyło – rzekła, oddając fotografie.

Eduardo uśmiechnął się promiennie.

– Tak, mama to śliczna kobieta. Tata być w niej zakochany. Nie mogło inaczej się skończyć, nie żałuj ty. My Muzina nie mieć tu życia, a tata jechać na Kuba to ty nie mieć tata. Też źle.

– Mówisz, że wy jesteście bardziej tolerancyjni?

– U nas od wieków dużo biała i czarna człowiek razem mieszkać. U was robić sobie zdjęcia z Muzina, i to za duża pieniądze.

– Niestety, tu muszę ci przyznać rację. Może za kilkanaście lat to się zmieni.

– Mozie.

Eduardo spojrzał na zegarek.

– Ja musi już iść. Ja mieć autobus do Warszawa.

– Nie zostaniesz dłużej? – Nie kryła zawodu. Chciała go też podpytać o życie na Kubie. Ani trochę nie wierzyła telewizyjnej propagandzie, że za rządów Fidela Castro ta wyspa stała się krainą mlekiem i miodem płynącą. To za nic nie pasowało do komunizmu.

– Ja mieć dziewczyna w Warszawa, ona zaraz wyjechać do swojego kraja, do Bulgaria. Ja chcieć się z nią pożegnać.

– Jedź, ale wróć. Opowiem ci o twoim ojcu. Przecież po to tu przyjechałeś.

– Dobra, ja wracać do Płock, ale jutro lub jutro jutro.

Ledwie Eduardo wyszedł, zjawiła się Dębicka, klientka. Zuza od lat prowadziła jej sprawę. Chodziło o sporny mur na granicy z sąsiadem, przypadek podobny do tego z *Zemsty* Aleksandra Fredry. Czasy się zmieniają, ludzie nie. Kobieta była bardzo zdenerwowana.

– Co tam, pani Dębicka? Co się stało?

– Pani mecenas, diabła widziałam – wydukała przerażona.

Zuza od razu domyśliła się, że chodziło o Eduarda.

– Nie widziała pani nigdy Murzyna?

– No, widziałam, ale tylko w telewizji.

– Taki sam człowiek jak pani i ja. Zresztą on jest prawnikiem.

– Pani mecenas, jeśli on miałby prowadzić moją sprawę, to ja, choć nie chcę, to idę do mecenasa Kowalskiego. Nie chcę takiego antychrysta.

Kobieta przeżegnała się ostentacyjnie.

Zuza tylko głęboko westchnęła, choć siarczyste przekleństwo już się jej sunęło na język.

– Proszę usiąść i powiedzieć, z czym pani przyszła.

Zuza już blisko dwie godziny siedziała w gmachu sądu i prokuratury, przeglądając akta sprawy Mariańskiego. Nie wszystko się kupy trzymało, tak jak twierdził prokurator Marciniak. Na kielichu znalezionym w biurku kapitana nie stwierdzono jego odcisków palców, a właściwie żadnych nie stwierdzono, bo ktoś je skrzętnie usunął. Nigdzie w papierach nie natknęła się na informację, czego porucznik Pawłowicz szukała w biurku Mariańskiego. Może miał rację, twierdząc, że babsztyl go wrabia? Na pistolecie znaleziono jego odciski, ale trudno, żeby ich nie było, skoro to była jego broń. Prócz tego w aktach znajdowały się protokoły przesłuchań kilku świadków, którzy zeznali, że widzieli Mariańskiego i Błaszczaka, jak się kłócili. Zuza skrzętnie spisała sobie ich personalia, Jolce zleci zasięgnięcie informacji na ich temat. Jeśli ktoś Mariańskiego wrabia, to i świadkowie będą lipni, a zatem ich zeznania łatwe do obalenia. Pozostawała jeszcze sprawa skarbu. Czy odzyskano całość, czy tylko jakąś jego część? Nie znalazła też nic na temat zdjęcia odcisków palców z tych przedmiotów. To wszystko było mocno zastanawiające, bo aż takie wpadki zdarzały się organom ścigania bardzo rzadko. Zanim opuściła prokuraturę, zajrzała do Marciniaka. Poczęstował ją herbatą, trzeba przyznać, że przedniego gatunku. Prokurator wyjął z szafy pancernej szarą papierową teczkę. To były więzienne grypsy kapitana Mariańskiego.

– Nie wiem, czy się śmiać czy płakać – skomentował krótko.

– To znaczy? Czemu śmiać się, to wiem, ale czemu płakać? – Zuza rzuciła mu zdziwione spojrzenie.

– Ten człowiek dochrapał się stopnia oficerskiego, a myślę, że to nieodosobniony przypadek.

– Tu podzielam pańską opinię. Ten ćwok powinien przez całe życie tkwić na ulicy i pałować chuliganów, tam jego miejsce, bo to szczyt jego możliwości. Przy okazji chciałabym wrócić do sprawy. Bardzo wnikliwie zapoznałam się ze wszystkim i widzę, że mocno naciągnęliście fakty do waszej kruchej hipotezy o winie mojego klienta.

– To znaczy? Co koleżanka ma na myśli?

– Czemu nie zdjęliście odcisków palców z innych przedmiotów? Czemu na kielichu nie ma śladów linii papilarnych mojego klienta? Czy to nie jest dziwne? Tyle zaniedbań w jednej sprawie? Można pomyśleć, że to nie jest przypadkowe.

– Mariański jest głupi, ale nie aż tak, żeby je zostawić. Starł je.

Zuza, słysząc to, parsknęła śmiechem.

– Ale jednak na tyle, żeby trzymać tak cuchnący fant na komisariacie w biurku i pozwolić niejakiej porucznik Pawłowicz na cudowne go odnalezienie.

– Czy koleżanka coś mi tu insynuuje?

– Ja? – udała zdziwienie. – Ależ skąd. Czuję jedynie wielki smród wokół całej sprawy. Zastanawia mnie tylko, komu mój klient się tak naraził, bo uważam, że ktoś go wrabia. I jeszcze jedno. Jak wyczytałam w aktach, skrzynia znaleziona przez Błaszczaka była jedynie do połowy pełna. A może były dwie skrzynie? Pytam, gdzie podziała się reszta skarbu? Czy próbujecie to ustalić?

– Jaka reszta? O czym szanowna koleżanka mówi? To była cała jej zawartość.

– Czy aby na pewno?

Marciniak nic nie odpowiedział, co jej zbytnio nie zdziwiło. Wiadomo było, że niektórym śledczym często się różne rzeczy przyklejają do łap, a tu tyle złota.

Zuza zajrzała do teczki. Było w niej sporo małych pomiętych karteczek zapełnionych niewyraźnymi bazgrołami. Od razu poznała niezdarny charakter pisma Mariańskiego. Sięgnęła po pierwszą z nich.

Opara, ślećcie Pawłowicz, ta suka nas w to wropiła. Ja bendę miedź oko Lewandowską wesmę ją na swoiego atwokata. Ićcie do knaipy Kolorowej i rospytaicie o moją tetetkię. Kto jo zajebał? Postrażcie

barmana, jak trzeba to dajcie mu po ryju.

Z trudem hamowała ogarniającą ją wesołość.

– Niezłe – skomentowała krótko.

– Te grypsy znaleźliśmy podczas przeszukania w szafce kaprala Opary. Wiem, że to się czyta tak ciężko jak dzieła Prousta.

– Proszę nie obrażać Prousta, którego notabene akurat pochłaniam. – Zuza zaśmiała się i oddała mu teczkę.

– Moja sekretarka specjalnie dla koleżanki zrobiła kopię tych bazgrołów, to taki prezent ode mnie. Wiem, że to poniekąd łamanie przepisów, ale czy taki bełkot może być dowodem w sprawie? Trzeba by to najpierw przetłumaczyć na język polski.

Marciniak podał jej kilka kartek zapełnionych pismem maszynowym.

– Dziękuję. Z przyjemnością poczytam te grypsiki, tak do wieczornego koniaczku. Myślę, że dodatkowo umilą mi te chwile.

Zuza, jak tylko opuściła prokuraturę, skręciła w ulicę Kościuszki. Od jakiegoś czasu dokuczał jej kaszel i chciała w pobliskiej kwiaciarni kupić aloes. Sok z jego liści ponoć bardzo skutecznie leczył tę przypadłość. Zanim doszła na miejsce, jej uwagę przykuło zbiegowisko w podwórzu kamienicy róg Kościuszki i Tumskiej tak zwanej płockiej Dziekanki.

– Co tam się stało? – zapytała najbliższego gapia.

– Znów zabił ten świr, co zabija kobiety i zabiera im majtki. Strach po mieście chodzić, a milicja nie robi nic.

– Chyba panu nic nie grozi, pan zapewne damskich fig na tyłek nie wciąga – zakpiła. Teraz dopiero zobaczyła Ludwickiego. Patolog też ją zauważył i przywołał gestem dłoni.

– A ten czego znów chce? – mruknęła pod nosem i zaczęła przeciskać się w jego kierunku. Chwycił ją za mankiet i odciągnął na bok.

– Ofiara miała w dłoni kartkę z twoim nazwiskiem, będziesz następna – szepnął jej do ucha.

– Co ty, pajacu, bredzisz?

– Jak to co? Nic nie wiesz? Ten seryjny czubek za każdym razem w dłoń ofiary wciska kartkę z nazwiskiem następnej. Tym razem to twoje. Stół sekcyjny już na ciebie czeka. Zabawimy się jak nigdy dotąd. – Zarechotał.

– Ty pojebie! – ryknęła na niego, wyszarpnęła się i zaczęła przeciskać przez gapiów w stronę ulicy.

– Poczekam na ciebie! Mam czas! – krzyknął za nią, śmiejąc się w głos.

Była tak wściekła, że zapomniała o kwiaciarni i o aloesie, i udała się w stronę kancelarii.

Ledwie weszła na Tumską, zderzyła się z Pawłowicz targającą torbę zakupów. Pewnie miała w niej jedynie bułki i salceson. Tamta zmierzyła ją nienawistnym spojrzeniem i potoczyła się dalej.

Zuza nie zdążyła się rozsiąść za biurkiem, gdy zjawił się Nowak. Ostatnio rzadko się widywali. Miał problemy z młodszym synem. Chłopak postanowił rzucić naukę i zostać wojskowym. Teraz ojciec za wszelką cenę chciał mu to wyperswadować. Pomagał mu przy lekcjach, przepytywał go i starał się z nim wspólnie przebrnąć ten kryzys.

– I jak, lekcje odrobione? – spytała z drwiną.

Machnął ręką z rezygnacją.

– Już lepiej nic nie mów. Cztery godziny siedziałem nad rysunkiem technicznym. Jak ma się czegoś nauczyć, kiedy myśli o czymś innym?

– Dobrze, że chociaż myśli, bo to czynność zupełnie obca większości społeczeństwa. Słyszałeś może coś więcej na temat tego szajbusa, co zabija kobiety? Czemu was, chłopów, nie zabijają, tylko nas, ten lepszy gatunek? Możesz mi to wytłumaczyć?

– Wiem, że ofiarom zabiera majtki, pewnie je kolekcjonuje. Był już taki szajbus, bodajże w Warszawie. Tylko tamten ofiary traktował łomem, a ten dość kulturalny, bo dusi.

– A słyszałeś coś o kartkach z nazwiskami następnych ofiar w dłoniach nieboszczek?

– Pierwsze słyszę – zdziwił się. – Skąd to wiesz?

– Ludwicki tak twierdzi. Dziś znaleziono następnego trupa, a przy nim ponoć karteluszek z moim nazwiskiem.

– To zwykły blef, on ciebie nie cierpi i chciał cię postraszyć. Wiedziałabym o czymś takim.

– No nie wiem. Lepiej to sprawdź, będę spokojniejsza. A tak z innej beczki. – Wyjęła z torebki plik kartek. – Poczytaj sobie dla poprawy humoru.

– Co to jest?

– Więzienne grypsy kapitana Mariańskiego. Bardzo ciekawa lektura.

Sierżant sięgnął po pierwszą kartkę.

Opara, macie poszukadź chakuw na nijakiego Lendziona, imie hyba Antoniego. Zamkłem go hyba tszy lata temu za rozbuj. On nam teras grozi rze nas wyruha. Ja nie hce, żeby on mnie wyruhał. Szukaidzie hakuw i to pilnie zanim się do nas dobieże!

Zuza tymczasem zapaliła papierosa i wrzuciła zapałkę do popielniczki. Nowak odłożył maszynopis na biurko.

– No i jak ci się podobało? – spytała.

– Nigdy nie myślałem, że mogę mieć tak sprzeczne odczucia dotyczące jego osoby.

– To tak jak ja. – Zuza pokiwała głową. – Zawsze marzyłam, żeby ten stary chuj wylądował w kryminale i żeby go gwałcili dzień i noc, i to bez przerwy, a teraz kiedy tam siedzi i być może dojdzie do tego wszystkiego, to mi się zrobiło go żal. Jest z niego kawał skurwysyna, ma sporo na sumieniu i powinien siedzieć, ale czy powinien dostać się w łapy zboczeńców? Nawet jeśli uda mi się go wyciągnąć z kryminału, to nie dziś ani jutro. W każdym razie dziewicą już nie będzie, bo na pewno ten Lendzion, czy też inny popierdolony złamas, zdąży go dorwać. Pójdę porozmawiać z naczelnikiem więzienia, może dadzą mu izolatkę, choć szczerze w to wątpię. Problem w tym, że Mariański mocno z nim zadarł wtedy, kiedy był jeszcze szefem dochodzeniówki, i trudno teraz liczyć z jego strony na specjalne względy. Napijesz się ze mną koniaku? Tylko po małym kieliszeczku, tak dla zdrowotności.

– Tak patrząc na twoją wieloletnią terapię alkoholową, to powinnaś być zdrowa jak koń, a ja tu słyszę niepokojący kaszel. Chyba jednak ta terapia jest do dupy.

– Błagam, tylko nie wysyłaj mnie na prześwietlenie, już to przerabiałam i wiesz, jak się to skończyło.

– Nawet bym nie śmiał proponować. Nalej po kielichu, pobudźmy trunkiem komórki nerwowe i skończmy ten temat.

– Bardzo mądre słowa. Czasem dobrze mówisz.

Zuza sięgnęła do szuflady po stocka.

Zazgrzytał klucz w zamku.

– Mariański, prysznic!

Kapitan leżał na pryczy i nawet nie drgnął.

– Mariański, prysznic! Ile razy mam powtarzać?!

– Ja nie chcę! Nie chcę prysznica!

– Nikt was nie pyta, co chcecie. To nie sanatorium. Ruszcie tę tłustą dupę z pryczy i marsz pod prysznic! – Klawisz się zdenerwował.

– Nie ma mowy. Tam będzie ten Lendzion!

– I co z tego?! Jesteście w kryminale i macie wypełniać moje polecenia! Ja tu rządzę! Zrozumiano?! Chyba że chcecie iść do karceru?

– Nie ma mowy! Nie pójdę!

– Terlecki i Kurski, ruszcie tego wieprza!

Dwóch osiłków w więziennych uniformach wkroczyło do celi. Złapali delikwenta pod pachy, a ten chwycił się krawędzi pryczy. Chwilę się szarpali, aż w końcu wyciągnęli kapitana na korytarz i zaczęli popychać go w stronę łaźni.

W Nowoczesnej tego wieczoru trudno było znaleźć wolny stolik. Młoda kobieta bezradnie rozglądała się po lokalu. Umówiła się tu ze swoim byłym chłopakiem, ale nigdzie na sali nie mogła go dojrzeć. Zapewne się spóźni, co jej zbytnio nie zdziwiło. On od zawsze taki był i pewnie już się nie zmieni. Jej uwagę zwrócił stolik przy oknie. Siedział przy nim młody mężczyzna. Sądząc po prawie pustym talerzu, kończył konsumpcję i pewnie zaraz zwolni miejsce. Podeszła do niego. Uniósł wzrok i spojrzał na nią. Uśmiechnął się przyjaźnie.

– Przepraszam, czy pan już kończy? Czy stolik będzie wolny? – bąknęła nieśmiało.

– Proszę usiąść. – Wskazał jej krzesło.

Z wahaniem skorzystała z propozycji. Teraz mu się dokładniej przyjrzała; ładny, gęste włosy blond, oczy niebieskie, usta duże, zęby śnieżnobiałe. Ten mężczyzna mógł zawrócić w głowie każdej kobiecie. Odsunął talerz na bok i sięgnął do teczki wiszącej na oparciu krzesła. Wyjął z niej szkicownik i kilka ołówków.

– Czy mogę namalować pani portret? – spytał niespodziewanie. – To nie zajmie dużo czasu.

– Proszę nie żartować. Chyba to nie najlepszy pomysł – wydukała, zaskoczona propozycją.

– Dlaczego? To tylko rysunek. Nie będzie bolało. Pani twarz jest niepospolita. Rysy ma pani szlachetne, kształt nosa niemal doskonały, co za rzęsy, a brwi? Oczy czarne niczym węgielki. A zatem? Nalegam.

Spojrzał na nią wyczekująco. Cały czas uśmiech nie schodził z jego twarzy.

Kobieta na szybko analizowała sytuację. Właściwie dlaczego miałaby się nie zgodzić? Faktycznie, przecież to nie boli. I tak czeka na Janusza, przynajmniej czas nie będzie jej się dłużył.

– Zgoda, choć wciąż uważam, że są inni, bardziej godni portretu.

– Ale ja myślę inaczej – odparł mężczyzna i ochoczo wziął się do roboty.

Trudno było nie zauważyć, że ma dużą wprawę, a przy tym, patrząc na efekty, i spory talent. Ołówek pewnie ślizgał się po papierze, zostawiając po sobie zgrabne smugi grafitu. Kobieta siedziała nieruchomo, co chwila nerwowo zerkając w kierunku wejścia. Wiedziała, że Janusz wciąż jest chorobliwie o nią zazdrosny i trudno przewidzieć jego reakcję na tę sytuację. Wreszcie go zobaczyła. Pojawił się w progu sali i szukał jej spojrzeniem. Machnęła ręką w jego stronę. Ujrzał ją i podszedł do stolika. Zerknął nieprzyjaźnie na rysownika. Jeszcze chwila i dojdzie do awantury. Tamten natychmiast zorientował się, w czym rzecz, uśmiechnął się przyjacielsko do Janusza, energicznym ruchem wyrwał kartkę ze szkicownika i podał ją kobiecie.

– To taki prezent ode mnie – rzekł, podnosząc się z miejsca. – Czas na mnie. Miłego wieczoru.

– Dziękuję – bąknęła zaskoczona.

Mężczyzna wziął swoją torbę i opuścił restaurację.

Janusz usiadł na jego krześle.

– Kto to był? Jakiś twój znajomy? – W jego głosie wyczuła z trudem hamowaną złość.

– Bliski znajomy – odparła z premedytacją.

Dopiero teraz uważniej spojrzała na rysunek. Piękny, to słowo cisnęło jej się na usta. Wszystko trwało chwilę, a od efektu jego pracy nie mogła oderwać wzroku. Nieznajomy wykazał się wielkimi umiejętnościami.

Odwróciła kartkę, żeby i Janusz to zobaczył. Zerknął na nią i parsknął śmiechem.

– Anka, to ty? Niemożliwe!?

Kobieta poczuła wzbierającą w niej złość. Zmarszczyła groźnie brwi.

– To znaczy? Co masz na myśli? Jestem brzydsza w rzeczywistości? To chciałeś powiedzieć?

– No właściwie nic. – Mężczyzna szybko się zreflektował, że palnął gafę. – Wyglądasz ciut inaczej. To pewnie przez to, że ten rysunek jest czarno-biały. Ty masz szare oczy.

– Tak? To ciekawe, bo zawsze miałam piwne. No tak, ty nigdy tego nie widziałeś. Przejdźmy jednak do celu naszego spotkania. Czemu chciałeś się ze mną widzieć, i to akurat w takim miejscu? Chcesz mi postawić kolację? Jeśli tak, to nic z tego, bo od lat kolacji nie jadam. Tego też nie wiedziałeś?

– Chciałbym porozmawiać o twojej koleżance Jolce, tej prawniczce, co pracuje u mecenas Lewandowskiej. Chciałbym, żebyś nas spiknęła.

– A co? Wpadła ci w oko? – spytała kpiąco. – Taki macho potrzebuje pomocy byłej dziewczyny? Rozśmieszasz mnie.

– Nie o to chodzi. Mam pewien problem prawny i potrzebuję pomocy.

– To idź do jej szefowej. Jolka dopiero aplikuje, a mecenas Lewandowska jest w Płocku najlepsza. Za dobrze cię znam, żebym kupiła te brednie. Lowelas od siedmiu boleści. Sam się z nią spiknij. Idę już, bo mam w telewizji ulubiony serial i szkoda by było przegapić odcinek. Cześć.

Zrolowała rysunek, chwyciła torebkę i podniosła się z krzesła.

– Poczekaj! – Chwycił ją za rękę, ale wyszarpnęła mu się i lawirując między krzesełkami, poszła do wyjścia.

Janusz patrzył za nią. Był wściekły.

– Jeszcze mnie, suko, popamiętasz – wyszeptał złowieszczo.

Więzienna łaźnia, a w niej kilkunastu osadzonych. Większość z nich wytatuowana, wśród nich wyróżniało się kilku potężnych muskularnych drabów. Uwaga wszystkich skupiła się na Mariańskim stojącym na uboczu i rzucającym im wystraszone spojrzenia.

– Ej, kapitanku, daj dupy! – krzyknął któryś z więźniów, czym wywołał ogólną wesołość.

– Zostaw go, dziś moja kolej – odezwał się inny. – Ja go przecweluję.

– Dobra, dobra, jego dupa nie z mydła i się nie wymydli. Poczekam w kolejce.

Współwięźniowie najwyraźniej dobrze się bawili. Jeden z nich nagle ruszył w kierunku kapitana.

Mariański, cały drżąc ze strachu, przy akompaniamencie salw śmiechu wymknął się z łaźni. Pierwszy raz żałował, że tak nieskutecznie strzelił sobie w głowę. To, co go teraz czekało, było najgorszym koszmarem, jaki mógł mu się przytrafić.

W przychodni przy ulicy Miodowej jak zwykle był tłum pacjentów i zdobycie w poczekalni wolnego krzesełka graniczyło z cudem. Jedno z nich okupował młody mężczyzna ze szkicownikiem w dłoni. Co chwila zerkał nachalnie w stronę kobiety z dzieckiem na kolanach. W końcu to zauważyła.

– Co się pan tak na mnie gapi? – spytała zaczepnie.

– Szkicuję pani portret – odparł spokojnym głosem, szeroko się do niej uśmiechając.

– Że co? Pojeb jeden!

– Portret, podobiznę.

Odwrócił szkicownik i pokazał jej swoje dzieło. Kobiecie najwyraźniej szkic nie przypadł do gustu, na jej twarzy pojawił się grymas niezadowolenia.

– To niby ja? Zupełnie niepodobna. Weź się pan lepiej do porządnej roboty, a nie robisz mi tu takie gryzmoły. Jakbym była pana żoną, tobym pana tak popędziła, że odechciałoby się panu zaczepiać obce kobiety.

Wtem drzwi do gabinetu lekarskiego rozwarły się z hukiem.

– Wojciechowska!

Kobieta zerwała się z krzesła i weszła do środka, tym samym kończąc rozmowę. Mężczyzna rozejrzał się po oczekujących, ale widząc same wrogie spojrzenia, schował szkicownik do plecaka i wolnym krokiem udał się do wyjścia.

Na rynku przy ulicy Królewieckiej ruch jak zwykle był spory. Stragany uginały się od płodów rolnych, owoców, niektórzy sprzedawcy handlowali jajkami, białym serem, a jeszcze inni kwiatami od doniczkowych po cięte. Przy jednej z bocznych alejek na skrzynce po jabłkach siedział mężczyzna w kapturze na głowie, w jednej ręce trzymał szkicownik, a w drugiej ołówek. Co chwila zerkał na młodą kwiaciarkę, dziewczynę o smukłej sylwetce, burzy czarnych loków na głowie, rzadkich w tym regionie południowych rysach twarzy i to, co widział, natychmiast przenosił na papier. W końcu dziewczyna go zauważyła, zarumieniła się. Pewnie myślała, że ją podrywa, bo jakkolwiek by patrzeć, chłopak był niczego sobie. Trwało to dobre pół godziny. Wreszcie portret został ukończony. Mężczyzna podniósł się ze skrzynki, podszedł do kobiety i pokazał jej swoje dzieło. Nie wypowiedział przy tym ani jednego słowa.

– O! Jakie piękne! – krzyknęła entuzjastycznie, zauroczona rysunkiem.

Nic na to nie odparł, uśmiechnął się zagadkowo, zrolował szkic, schował go do plecaka i poszedł. Kwiaciarka zdumiona, a jeszcze bardziej zawiedziona, długo za nim spoglądała, bo nieczęsto spotykała takich przystojniaków, nie wspominając o tym, że miała chrapkę i na portret.

Zuza już dobry kwadrans czekała na Mariańskiego. Zdążyła w tym czasie wypalić trzy ekstra mocne. Co chwila nerwowo zerkała na zegarek, bo dziś wyjątkowo miała bardzo napięty grafik. W końcu zazgrzytał klucz w zamku i klawisz wprowadził kapitana. Kiepsko wyglądał, a na dodatek kulał na lewą nogę. Od razu domyśliła się, w czym rzecz. W końcu go dopadli, tego można było się spodziewać. Cóż, Mariański podczas swojej wieloletniej służby przysłużył się wielu ludziom i teraz karma wracała. Z trudem usiadł na krześle, na twarzy widać było liczne obrażenia, łuk brwiowy świeżo zszyty, opuchliznę wokół oka. Jeśli zostanie skazany, stwierdziła Zuza, to długo nie pożyje. Albo znajdą go powieszonego w celi, albo dostanie kosą pod żebro. Tak kończyli milicjanci, którzy narazili się organom ścigania. Oddawano ich w łapy ich ofiar, a te nie miały dla nich litości.

Teraz po pobiciu kapitan został przeniesiony do izolatki. Pytanie tylko: na jak długo?

– Kiepsko wyglądacie, kapitanie. Pewnie źle sypiacie. Materac niewygodny? – pozwoliła sobie zakpić z niego.

Nic na to nie odparł.

– Chcecie zapalić?

Wyjęła z torebki papierosy i go poczęstowała. Zapalili.

– Co dzieje się w naszej sprawie? Przycisnęliście tę Pawłowicz? Przyznała się, że nas wrabia?

– O ile wiem, to ty ją przyciskałeś, i to tak skutecznie, że się jej to spodobało. Chciała więcej, a ty jej tego odmówiłeś i teraz masz problem. Tyle lat chodzisz po tym świecie i nie wiesz, że z babami się nie zadziera? Na chwilę odstawmy tę sukę na bok. Tak czy owak, wiem jedno: ktoś cię wrabia, i to bezczelnie. Z kim na komendzie masz najbardziej na pieńku? Komu tak, kapitanie, zalazłeś za skórę, że zrezygnował ze sprzedaży złotego kielicha wartego zapewne fortunę, żeby cię pogrążyć? Komu podłożyłeś najtłustszą świnię, komu zaszkodziłeś najmocniej? To może być stara sprawa. Ludzie nie zapominają poczynionych im świństw. Być może ta osoba nie miała wcześniej możliwości dokopać wam po jajach. Skup się i sobie przypomnij. Jestem twoim adwokatem i obowiązuje mnie tajemnica. Możesz mi wszystko powiedzieć jak księdzu na spowiedzi.

– Nie chodzimy do kościoła i do spowiedzi.

– To wiem. To była taka przenośnia.

Kapitan w zamyśleniu pocierał ręką czoło.

– No nie wiem – zaczął niepewnie. – Może Krawczyk, a może Siemion? Był też niejaki Dubielak i Kiełbasa. Nie, oni nie, raczej Świtalski, ale jego powiesili, to może Tomczak. On nam się odgrażał. A może Dąbrowski…

– I wielu innych – przerwała mu Lewandowska. – Jednym słowem do niczego nie dojdziemy, bo lista jest stanowczo za długa. Sporo się wam nazbierało, towarzyszu Mariański – zakpiła.

– Jesteśmy niewinni, ktoś nas wrabia – wyszeptał.

– I co z tego? Więzienia są pełne niewinnych i nikt się tym nie przejmuje, a tym bardziej tacy jak wy. Sami ich tam, towarzyszu, wsadzaliście. Palce w zawiasy drzwi i każdy się przyznał do wszystkiego.

– Wzięliśmy was, żebyście mnie stąd wyciągnęli. Obiecaliście.

– Tego nie obiecałam, ale wyciągnę cię. Musisz jeszcze tu trochę pobyć, bo potrzebuję czasu.

– Oni nas zatłuką, nie damy rady – wydukał płaczliwym głosem.

– Tylko nie zacznij mi się tu mazać. Taki twardziel z ciebie? – zadrwiła, przypalając papierosa. – Rozmawiałam z naczelnikiem więzienia i zapewnił mnie, że będzie cię traktował specjalnie, choć i w jego oczach zobaczyłam nieskrywaną nienawiść. Czym mu się tak naraziłeś?

– Zamknęliśmy jego brata.

– Był winny czy poszliście, jak to mówią księgowi, na pasówkę? Dopasowaliście fanty, prokurator to przyklepał, a sędzia miał zły dzień?

Spojrzał na nią tępym wzrokiem.

– O czym mówicie?

– No, czy sfabrykowaliście dowody, a może nagięliście fakty?

Mariański nie odpowiedział, jedynie spuścił głowę. No tak, wszystko było jasne. Wcale by się nie zdziwiła, gdyby naczelnik napuścił na niego innych więźniów. Musiała się spieszyć, bo klient nie doczeka uwolnienia, a już na pewno procesu.

Na ławeczce na placu Obrońców Warszawy siedziała młoda kobieta i pozowała mężczyźnie wykonującemu jej portret. Ona nic nie miała przeciwko temu, mało tego, czuła się wyróżniona. Nikt nigdy nie powiedział jej, że jest ładna, że jest godna portretu. Ten nieznajomy sam ją zaczepił, był zachwycony jej urodą i koniecznie chciał ją uwiecznić na papierze. Twierdził, że nie ma brzydkich kobiet, są tylko kobiety źle ubrane, źle uczesane, słowem – zaniedbane. Kiedy wspomniała mu o swojej dość pokaźnej tuszy, od razu ripostował, że to kwestia gustu i mody. Były czasy, kiedy kobiety szczupłe uznawano za niekształtne. Wspomniał też o Rubensie, wybitnym malarzu malującym tylko kobiety obfitych kształtów. Kiedy skończył, pokazał jej rysunek. Bardzo jej się spodobał. Chciała go zdobyć na własność, nawet za niego zapłacić, ale nie zgodził się. W każdym razie nie teraz. Już niebawem w domu kultury miała zostać zorganizowana wystawa jego prac, na którą ją zaprosił.

Zuza dziś postanowiła posłuchać rad aplikantki i zrobić sobie dzień wolny. Zaraz po śniadaniu udała się do zoo. W „Tygodniku Płockim" wyczytała, że tutejsza aligatorzyca Marta w tym roku obchodziła pięćdziesiąte drugie urodziny. Jakkolwiek by było, to jeden z najstarszych przedstawicieli tego gatunku w Polsce. Zuza darzyła ją wielkim sentymentem, w pewnym sensie towarzyszyła jej przez całe jej życie, bo kiedy była mała, to coroczne wizyty w płockim zoo należały do rodzinnej tradycji. Po drodze, na ulicy Kościuszki, ponownie natknęła się na Szczawińskiego. Siedział na schodkach jednej z kamienic w towarzystwie innego oprycha i sądząc po butelce stojącej obok nich, łoili jakiś wynalazek.

– O, idzie cizia, której łeb ukręcę – rzekł do kompana tak głośno, żeby usłyszała.

– Niedoczekanie twoje, sukinsynu. Mam nadzieję, że niebawem, śmieciu, wrócisz do pudła i tam zgnijesz – odparła z szerokim uśmiechem na twarzy.

Bandzior raptownie poderwał się do góry, ale zaraz na powrót usiadł, bo zobaczył zbliżający się patrol milicji. Najwyraźniej ten widok mocno schłodził mu głowę.

– Niebawem się spotkamy – rzucił półgębkiem.

– Nie radzę.

Poszła dalej. Długo jeszcze czuła na plecach spojrzenie Szczawińskiego, chwilami aż ją paliło. Wiedziała, że nie może tych gróźb lekceważyć i z tego powodu należy ograniczyć wieczorne eskapady, w tym wyprowadzanie Borysa za potrzebą. Mijając szpital, zauważyła Ludwickiego. Stał na dziedzińcu i z kimś rozmawiał, mocno przy tym gestykulując. Czynił tak zawsze, kiedy emocje brały u niego górę nad rozsądkiem. Być może źle zszył trupa, a może zostawił w nim kawałek jedzonej akurat kanapki. Do dziś nie mogła odżałować, że z tym obleśnym typem poszła kiedyś do łóżka. No cóż, przyświecały jej wtedy szlachetne intencje. Chciała dobrze, a wyszło jak zawsze.

Tak jak zwykle, w budynku z akwariami panował półmrok. Zimno na dworze, jesień, więc zwiedzających było niewielu. Ledwie garstka dzieci z opiekunką, młodą i ładną dziewczyną. Na ławeczce siedział mężczyzna ze szkicownikiem w dłoniach i co chwila zerkał na kobietę. Zuza podeszła zaciekawiona i zajrzała mu przez ramię.

– Podobna, ale chyba powinna być grubsza.

– Myślę, że nie będzie mieć o to pretensji – odparł ze śmiechem.

– Ma pan talent. Samouk czy wyuczony profesjonalista?

– Studiuję na Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie.

– To co pan tu robi? Chyba rok akademicki trwa w najlepsze.

– Jestem na urlopie dziekańskim. Nie zaliczyłem roku przez język rosyjski. Mam odruch wymiotny, kiedy przyjdzie mi się go uczyć.

– To taka nasza cecha narodowa. Te czerwone skurwysyny skutecznie nam go obrzydziły.

Nagle przyszła jej pewna myśl do głowy.

– Może i mnie pan sportretuje? Co pan na to?

– Jasne, proszę poczekać, jak skończę ten szkic. Zajmie mi to jeszcze kilka minut.

– Źle mnie pan zrozumiał. Chodzi mi o duży olejny obraz. – Rozmarzyła się. Oczyma wyobraźni widziała swój portret obok podobizny Ambrożego Lewandowskiego. Czyż nie byłoby przyjemnie co i raz spoglądać na swoją podobiznę?

Malarzowi aż oczy zabłysły, tak zapalił się do tego projektu.

– Świetnie, kiedy mam zacząć?

Cholera, to przecież narcyzm w czystej formie, zaraz się zreflektowała. Kowalski chyba pękłby ze śmiechu, zaś Nowak pewnie by nie skomentował. Chwilami odnosiła wrażenie, że się jej boi.

– Nie, rozmyśliłam się. To był głupi pomysł. Nie było propozycji.

– Szkoda. – Mężczyzna wyraźnie był zawiedziony. Co tu dużo mówić, takie zlecenie to spore zasilenie portfela, a jak powszechnie wiadomo, studenci z reguły groszem nie śmierdzą.

– Ma pan jakąś wizytówkę? Może kiedyś zmienię zdanie.

– Nie, ale niedługo w domu kultury będzie wystawa moich szkiców. Koniecznie proszę przyjść.

– Postaram się, jeśli czas mi na to pozwoli. Choć tak naprawdę to ostatnio nie mam go na nic.

Podeszła do szyby odgradzającej ją od aligatorzycy Marty. Nic się zmieniła od poprzednich odwiedzin, mało tego – wydawało się, że przez ten czas nawet nie drgnęła. Co ona ma za życie? Makabra.

Zuza wróciła do domu i z butelką stocka oraz teczką zawierającą grypsy Mariańskiego usiadła na kanapie. To był najlepszy zestaw dla poprawy humoru.

Opara kórwa mać. Czekam na rapordy. Macie w końcu coś na tego Lendziona? Znaić mi na niego chaki jusz nie daje rady, bo inaczei on mnie wyrucha. On mi grozi. Postaraicie się, bo wam się do duby dobierzemy.

Zuza, czytając to, pokładała się ze śmiechu.

Był środek nocy. Zazgrzytał klucz w zamku, zaskrzypiały zawiasy otwieranych drzwi. To obudziło Mariańskiego. Wystraszony zerwał się na nogi. Do celi wtargnęło dwóch dryblasów. W półmroku nie widział dokładnie ich twarzy, ale wydały mu się nieznajome. Jeden z nich rzucił się na kapitana, przewrócił go i ciałem tak przydusił na pryczy, że ten ledwo zdołał złapać powietrze.

– Już po tobie, skurwysynu. Zapłacisz za wszystko. Mówiłem ci kiedyś, że cię zapierdolę – szeptał mu do ucha.

Drugi z mężczyzn zaczął przywiązywać do kraty w oknie grubą linę uplecioną z podartych prześcieradeł.

Kapitan starał się bronić, wyrwać spod napastnika, ale to przerastało jego siły.

– Ratunku! Ratunku! – krzyknął resztką tchu i stracił przytomność.

Mniej więcej o tej samej porze zakapturzony mężczyzna siedział na starej skrzynce i przy świetle świecy przeglądał damskie figi. Ktoś z hukiem otworzył inną piwnicę. Mężczyzna w popłochu schował majtki do skrzyni, zamknął ją, zgasił świeczkę, po czym znieruchomiał. Wsłuchiwał się w odgłosy zza ściany.

– Jest tam ktoś? – dobiegło z sąsiedniego pomieszczenia.

Cisza, mężczyzna ani drgnął.

Zabrzęczały odstawiane słoiki, wyraźnie było słychać, jak ktoś wsypuje węgiel do wiadra, potem zamyka drzwi, a po chwili wszystko ucichło. Mężczyzna już nie zapalał od nowa świeczki, tylko się pospiesznie ulotnił.

Zuza przewracała się z boku na bok, nie mogąc zasnąć. To wszystko przez sprawę Mariańskiego, bo jej śledztwo nic a nic nie posuwało się do przodu i wciąż tkwiła w martwym punkcie. Nagle usłyszała jakiś stukot. Myślała, że się przesłyszała. Nie,

znów wychwyciła jakiś dziwny dźwięk dochodzący z drugiego pokoju. Normalnie Borys by zareagował, ale dziś nie wrócił z wieczornej eskapady. Od jakiegoś czasu hołdował starym nawykom, a zatem postrzał mu zbytnio nie zaszkodził i psisko dalej rozsiewało swój materiał genetyczny po okolicy. Jego ojciec pewnie byłby z niego dumny, ale Zuza już niekoniecznie. Po cichu podniosła się z łóżka, chwyciła pogrzebacz, który od ostatniego napadu miała zawsze pod ręką, i trzymając go kurczowo w dłoni, uchyliła drzwi. Od razu zobaczyła, w czym rzecz – ktoś stał nachylony przy jej biurku i przyświecając sobie latarką, szperał w papierach. Nie zauważył jej, ona zaś widziała jedynie jego plecy i tył głowy. Jak tu wszedł i czego ten sukinsyn szuka? Jakim prawem grzebie w jej rzeczach? Powoli, na palcach zaczęła się skradać w jego stronę. Kiedy był już na wyciągnięcie ręki, uniosła pogrzebacz i walnęła nim prosto w głowę włamywacza. Mężczyzna bez przytomności zwalił się na podłogę, nawet nie jęknął. Zuza zapaliła światło, po czym podbiegła do szafy i wyjęła z niej zwój sznura do wieszania bielizny oraz nożyczki. Pocięła sznur na kawałki i spętała nim włamywacza. Zmęczona, ciężko dysząc, usiadła w fotelu. Teraz pozostało tylko poczekać, aż mężczyzna oprzytomnieje. Widziała go pierwszy raz w życiu, tego była pewna, bo miała świetną pomięć do twarzy. Gęba prostacka, włosy krótko przystrzyżone, niewysoki, krępa sylwetka, mógł mieć z czterdzieści lat, chyba nie więcej. Czego ten skurwiel u niej szukał? Papiery, które przeglądał, dotyczyły Mariańskiego. To były jej notatki. Czyżby włamywacz maczał palce w tej sprawie?

Hałas i światło zbudziły papugę.

– Miiiliiicja! Miiiliiicja! Kurrrwa maaać! Kurrrrwa maaać! – rozwrzeszczała się na całe mieszkanie.

Wrzód jedynie się przeciągnął i dalej spał.

Zuza zapaliła ekstra mocnego i sięgnęła po stocka. Wypiła kieliszek jednym haustem, nalała sobie drugi i czekała. Po dobrym kwadransie włamywacz się ocknął. Zaczął się miotać po podłodze, najwyraźniej nie bardzo wiedząc, co się wydarzyło. Chwilę trwało, nim zdał sobie sprawę ze swojego położenia. Wbił w Zuzę wściekłe spojrzenie i chciał coś powiedzieć, ale go ubiegła.

– Co, sukinsynu, robisz w moim domu?

– Uwolnij mnie! I to już!

To u niej jedynie wywołało wesołość.

– Bo co mi zrobisz? Cała drżę ze strachu – kpiła.

– Nie wiesz, z kim zadzierasz!

– Z chęcią się dowiem.

Podniosła się z fotela i podeszła do niego, Nachyliła się i zaczęła przeszukiwać mu kieszenie kurtki. Od razu wpadł jej w ręce portfel.

– Zaraz będę wiedziała, z kim zadarłam. Już sikam ze strachu – dalej drwiła. – Otworzyła go, a tam… Aż zagwizdała z wrażenia. – Major Kowalczyk. No proszę, pod swoim dachem goszczę taką szychę. Chyba podłożę ci poduszeczkę pod główkę, kochanieńki. Nie znam cię, skąd jesteś?

– Gówno ci do tego – warknął.

– Góóówno! Góóówno! – zawtórowała mu Zgaga.

Milicjant zachowywał się tak, jakby to Lewandowska była jego więźniem, a nie na odwrót.

– Sukinsynu – Zuza podniosła głos – chyba masz problem. Radzę ci być ciut grzeczniejszym. Z adwokatami się nie zadziera, bo oni znają mnóstwo szemranych typków, którzy gratis pomogą im pozbyć się takiego łajna jak ty. Czego tu szukałeś, majorze Kowalczyku? – spytała, wbijając w niego świdrujące spojrzenie. – Gadaj, i to już!

– Gówno ci do tego – powtórzył.

– Góóówno! Góóówno! – znów zawtórowała mu Zgaga.

– Chciałam po dobroci – odparła Zuza spokojnym głosem i sięgnęła po telefon. Wykręciła do Nowaka.

– Słucham. – Po chwili usłyszała jego zachrypły głos poprzedzony kaszlem.

– Tu Lewandowska, Franek, zorganizuj trzech kumpli, duży dywan, folię i transport. Znów mam delikwenta. Tylko migiem, bo chcę się szybko pozbyć tego łajna. – Spojrzała wymownie na jeńca.

– Jaki Franek? O czym ty bredzisz? – słyszała zdziwiony głos sierżanta.

– Tak, jeśli nie macie dużego dywanu, to weźcie piłę, byle ostrą – mówiła do słuchawki. – W takim razie trzeba będzie go skrócić.

– Zuza, dobrze się czujesz? Może dziś już więcej nie pij?

– Będziecie za godzinę? Dopiero? No dobra, to czekam. Aha, trylinka też może się przydać.

Odłożyła słuchawkę, tym samym kończąc połączenie. Kowalczyk był blady jak trup. Czyżby skruszał jak zabity zając wywieszony za oknem na mrozie? Jeśli tak, to w ekspresowym tempie, a zatem jej fortel się udał.

– Czego tu szukałeś? Pamiętaj, że jak oni tu przyjadą i zobaczysz ich twarze, to już nie będzie odwrotu. Wtedy nawet mnie nie posłuchają.

Zadzwonił telefon.

– Co się dzieje? – usłyszała zaniepokojony głos Nowaka. – Mam przyjechać?

– Nie – warknęła i trzasnęła słuchawką.

Znów zadzwonił.

– Powiesz mi w końcu, o co chodzi? Martwię się o ciebie.

– Nie!

Znów przerwała połączenie, a na widok zalęknionego spojrzenia majora rzekła spokojnie, jakby go informowała o prognozie pogody:

– Pytają mnie, czy mają rozczłonkować całe ciało czy jedynie odciąć głowę? Tak jakby to robiło jakąś różnicę.

– Powiem wszystko, ale ich odwołaj – zaczął drżącym głosem. – Dostałem rozkaz, żeby sprawdzić, co wiesz na temat Mariańskiego.

– Kto ci wydał rozkaz?

Zawahał się, ale widząc minę Zuzy, wolał nic nie ukrywać.

– Mój szef, generał Tarnowski.

– W Płocku, o ile wiem, nie ma generała. Skąd jesteś? Z Warszawy?

– Tak, z Komendy Głównej, z Wydziału Wewnętrznego.

– Kurwa mać, czegoś tu nie rozumiem. Co ma wasz wydział do tej sprawy? Mariański to zwykły idiota.

– Podejrzewamy płockiego szefa drogówki o machloje. Dostaliśmy cynk i wyjaśniamy sprawę. Ponoć ma to mieć związek ze sprawą tego kapitana. Chcieliśmy wiedzieć, co ty wiesz na ten temat. Góra nie chce dopuścić do rozgłosu.

– Nie przekonałeś mnie. – Udawała, że się waha, zapaliła papierosa, wolno puszczając kółeczka z dymu.

– Obiecałaś! Ja dotrzymałem umowy, teraz twoja kolej.

Nagle znów chwyciła słuchawkę, wykręciła do Nowaka i nie czekając, aż się odezwie, rzuciła:

– Odwołuję akcję!

Po czym zakończyła połączenie i na wszelki wypadek dyskretnie wyłączyła telefon, bo nietrudno było zgadnąć, że sierżant zaraz do niej oddzwoni i znów będzie dopytywał, o co chodzi.

Usłyszała szczek Borysa dochodzący z korytarza. Poszła wpuścić go do środka. Psa zastała tuż przed drzwiami. Najeżony niczym jeżozwierz osaczył Tomaszka przy ścianie. Tamten blady i trzęsący się ze strachu niczym osika, stał przytulony do niej i bał się ruszyć. Zuza w innej sytuacji pewnie by odpowiednio wykorzystała tę sytuację, ale dziś nie zaprzątała sobie głowy tym wykolejonym wyrostkiem. Chwyciła Borysa za obrożę i wciągnęła do mieszkania.

Pies na widok sponiewieranego milicjanta leżącego na podłodze wyrwał się Zuzie i wskoczył na niego jak na sukę, próbując go zgwałcić.

– Ty niewyżyty erotomanie! Precz! – zrugała go.

Odciągnęła zwierzaka od ofiary i przywiązała go na smyczy do drzwiczek pieca. Chyba ich nie wyrwie, pomyślała, inaczej będzie kłopot, bo zaprzyjaźnionego zduna wczoraj zawieźli do szpitala, i to na sygnale, z zapaleniem ślepej kiszki. Ponoć jest w stanie krytycznym. Jeśli nie wydobrzeje, to będzie musiała poszukać innego, co będzie trudne. Ten fach w dobie bloków zaczynał powoli wymierać.

Dopiero teraz uwolniła majora i oddała mu portfel. Wyszedł bez słowa pożegnania, ale czuła, że jeszcze ich drogi się skrzyżują, wszak nie wypełnił swojego zadania. Będzie krążył wokół niej niczym ruski satelita wokół ziemi dotąd, aż zdobędzie to, po co przyszedł. Tak oni działali. Włączyła telefon i nie zdążyła odejść od aparatu, jak się rozdzwonił. W słuchawce usłyszała głos naczelnika więzienia. O tej porze taki telefon? Poczuła niepokój. Coś się musiało wydarzyć. Tak też było.

Małe, zagracone niemiłosiernie mieszkanko na Żoliborzu. Czego tu nie było? Stare samowary, szable wiszące na ścianach, halabardy o nie oparte, kufry ze srebrnymi i posrebrzanymi naczyniami. Na pierwszy rzut oka bardzo przypominało to jaskinię rozbójników z baśni o Ali Babie. Przy biurku siedział przygarbiony starszy mężczyzna o długich siwych włosach spływających mu na ramiona, zapewne

gospodarz, i za pomocą dużej lupy oglądał złoty kielich. Jego pracę w napięciu obserwował młody mężczyzna w rozpiętym płaszczu siedzący po drugiej stronie biurka. Krótko przycięte włosy, wyprostowana wojskowa sylwetka, idealnie wyczyszczone oficerki mogły sugerować powiązania ze służbami.

Nagle starzec podniósł wzrok znad przedmiotu, który trzymał w ręku, i spojrzał czujnie na gościa.

– Skąd go macie?

– Nieważne. Lepiej nieraz nie wiedzieć – padła opryskliwa odpowiedź.

– Ładna robota. Chciałbym poznać tego twórcę, bo zdolny jest jak mało kto. Teraz takich mistrzów się już nie spotyka. Zawód umiera, dziś wszystko robią maszyny i przez to nowo wytworzone przedmioty nie mają duszy, są tylko zwykłymi przedmiotami i niczym więcej.

– To jest stare, to pewnie już dawno nie żyje.

– Może i nie żyje, ale to nie jest stare.

Właściciel kielicha nerwowo się poruszył.

– Jak to nie jest stare?

– Nie stare i nie złote. Owszem, kielich jest grubo pozłacany i wielu może dać się nabrać na tę mistyfikację. Tak czy owak, jest to małe dzieło sztuki i za dwieście, trzysta lat pewnie będzie warte krocie.

– Co pan opowiada? To przecież niemożliwe. To jest oryginał.

– Chciał pan uczciwą ekspertyzę, to ją pan ma – rzekł ekspert.

– To ile lat może to mieć? Może być przedwojenny?

– Nie sądzę. Miałby jakieś rysy, przytarcia, ślady brudu, naloty w zagłębieniach. Tu nic nie widzę. Owszem, można oczyścić przedmiot prawie idealnie za pomocą kąpieli w różnych preparatach, ale słowo „prawie” czyni tę różnicę, którą dojrzy każdy fachowiec. Ten kielich ma góra kilka lat, nie więcej, a raczej bym stawiał na świeżą produkcję. Patrząc na wykończenia, twórca bardzo się spieszył, jest sporo niedoróbek. O, proszę tu zobaczyć. – Wskazał palcem jakieś miejsce na nóżce kielicha.

– Cholera! – zaklął właściciel przedmiotu.

– Przykro mi, ale z faktami się nie dyskutuje. Mogę go od pana odkupić, ale sądząc po pana minie, to pana nie zadowoli, bo spodziewał się pan czegoś

zupełnie innego. Zresztą może i lepiej, że jednak nie złożę panu tej propozycji.

– Owszem. Nie zamierzam się go pozbywać. A ile byłby wart, gdyby był stary i cały ze złota?

– Jeśli bardzo stary i co najmniej tak samo wykonany, to pewnie byłby bezcenny.

Twarz właściciela kielicha pokryła się bladością.

– Kurwa mać. Ktoś nas bezczelnie wykiwał.

Zuza mijała plebanię kościoła na Górkach. Widziała kilkoro dzieci, jak wchodziły do środka. W dzisiejszych czasach Jaś i Małgosia czują się bezpieczniej w chatce Baby Jagi niż na plebanii, pomyślała. Koło pomnika Broniewskiego siedziała grupka pijaczków i sączyła wino marki Wino. Sądząc po ich wieku, kilku z nich mogło kiedyś w dalekiej przeszłości popijać z poetą.

Zatrzymała się przy nich.

– Znaliście go? – spytała, wskazując ręką obelisk.

– Władka? Pewnie, że znałem – odezwał się chyba najstarszy z nich, na takiego w każdym razie wyglądał, choć mogło to być mylące, bo tani alkohol niszczy ludzi bardziej niż najgorsze plagi. – Oj, on łoił jak mało kto. Miał kasę, to pił gorzałę. Nieraz poczęstował. Był w porządku. Pogadał, popalił, nie wywyższał się, że z niego jakiś gość. Raczycho go wpierdoliło. Napijesz się z nami, laluniu? – Wyciągnął w jej stronę butelkę.

– Nie, dziękuję, nie piję – skłamała. Jeszcze tak nisko nie upadła, żeby na ulicy wciągać alkohol, a tym bardziej tanie wino. Poszła dalej.

Z komitetu partii przy Kościuszki wyjechała czarna wołga. Na tylnym siedzeniu Zuza dojrzała nowego pierwszego sekretarza, poprzedni awansował, przeszedł do Warszawy. Sukinsyn przez szybę patrzył na nią natarczywie. Znali się od lat, jeszcze z czasów, kiedy był dyrektorem w Mostach. Rozwodziła jego żonę, więc znała jego życie od podszewki, a tego nikt nie lubi. Łajdaczył się jak mało który i nawet się z tym zbytnio nie krył. Kiedyś byłoby to nie do pomyślenia, bo partia bardziej dbała o moralność swoich towarzyszy niż kościół o to samo u księży i zakonników. No cóż, czasy się zmieniają. Powiadają, że pycha kroczy przed upadkiem, ale tym razem zepsucie. W każdym razie taką miała nadzieję. Święcie wierzyła, że Solidarność się odrodzi i w końcu obali komunistów. Tylko co wtedy?

Pewnie to, co zawsze, po latach Solidarność zgnije od środka i zabawa rozpocznie się od początku. Tak to już się kręci, i to od wieków.

Wstąpiła do kwiaciarni i kupiła paprotkę. Zresztą nie było nic innego prócz paproci i ciętych goździków. One były zawsze i na każdą okazję, tak jakby nie można było hodować innych kwiatów.

Z doniczką w dłoni wkroczyła do kancelarii. Kowalski akurat nachylał się nad blatem biurka Jolki i coś jej opowiadał. Stary alfons stroszył do niej piórka. Na widok Lewandowskiej poderwał się do góry, a jego zakłopotana mina tylko utwierdziła ją w jej domysłach.

– Jak miewa się twoja papuga i jej ofiara? – spytała prowokacyjnie, bo wiedziała o zdarzeniu sprzed tygodnia, kiedy to jego ara uwolniła się z klatki i zaatakowała cizię, którą sprowadził sobie na noc. Ranna, przerażona i na dodatek półnaga kobieta wypadła z jego domu, robiąc raban na całą okolicę, a za nią biegł Kowalski z jej ubraniem w dłoni. Pół dzielnicy miało wielki ubaw.

– Dobrze – odburknął i wrócił do swojego pokoju.

– Uważaj na tego erotomana – rzekła Zuza do aplikantki i poszła do siebie. Usiadła w fotelu i spojrzała na ścianę z portretami poprzedników. Było miejsce na jeszcze jeden obraz. Oczyma wyobraźni zobaczyła tam swoją podobiznę, z dostojnie zadartą brodą, w todze, z marsowym obliczem. Po chwili zjawiła się Jolka i przyniosła herbatę.

– Masz coś dla mnie? – spytała Zuza. – Nic nie posuwa się do przodu sprawa tego skarbu. Milicja nie ma nikogo poza Mariańskim i tym… jak mu tam? Zapomniałam nazwisko. Jeśli nie będzie przełomu, to marny jest los mojego klienta. Wydupczą nam kapitana, i to bez dwóch zdań, a na koniec zarżną go jak prosiaka.

– No właśnie, słyszałam, że o mało nie zginął.

– Owszem, życie zawdzięcza czujności jednego z klawiszy, który dopuścił się wobec niego grzechu sumienności.

– To znaczy? – zdziwiła się aplikantka. – Jakiego grzechu?

– Czego znów nie rozumiesz? Mariański siedział w celi pojedynczej. Jakim cudem w środku nocy weszli tam współwięźniowie? Ktoś musiał ich tam wpuścić, a tylko klawisze mają takie możliwości. Teraz będzie dochodzenie, a to co niektórych wkurwi. Na miejscu tego klawisza zmieniłabym pracę, bo może mu się

coś przytrafić. Ci, co pilnują, nie są dużo lepsi od pilnowanych. Przynieś mi akta sprawy Glińskiego i Cackowskiego. Muszę je na szybko przejrzeć.

Kiedy aplikantka wyszła, Zuza zajrzała do grypsów Mariańskiego, tak dla poprawienia sobie samopoczucia.

Opara, kórwa mać gdzie som raporty? Czekamy na chaki na Pawłowicz? Dorfij w końcu te suke. Załatf mi faiki, bo nie mam co palidź.

– Co za debil – mruknęła pod nosem i schowała teczkę do szuflady.

Ktoś zapukał do drzwi. Po chwili uchyliły się i do pokoju zajrzała jakaś kobieta.

– Szukam pani mecenas Lewandowskiej.

– O co chodzi? – spytała Zuza.

– Potrzebuję ratunku, pomocy.

– Jak wielu, proszę wejść.

Nowo przybyła nieśmiało spoczęła na krzesełku. Zuza sięgnęła po papierosa i zapaliła.

– Słucham panią?

Przypatrywała jej się z uwagą. Wypielęgnowane ręce świadczyły, że nie pracowała fizycznie, nienaganna fryzura i ubiór mówiły zaś o tym, że pochodzi z wyższej klasy społecznej. Mimo że komuniści wciąż uparcie twierdzili, iż proletariat to ta najwartościowsza grupa Polaków, Zuza miała w tej kwestii zupełnie odmienne zdanie. Uważała, że robolem może zostać każdy, a człowiekiem kulturalnym, wykształconym, elokwentnym już niekoniecznie.

– Nazywam się Sokołowska, jestem nauczycielką w liceum imienia Władysława Jagiełły. Mój syn Michał ma kłopoty. – Kobiecie głos drżał z emocji. – Studiował na politechnice i był wzorowym studentem. Niestety, zaczął kolportować ulotki antyrządowe. Mówiłam mu, żeby tego nie robił, że komuniści to bestie i jeśli go złapią, to się nie będą z nim cackać, ale mnie nie słuchał. Tak jak przepowiadałam, złapali go, wyrzucili ze studiów, a po tygodniu dostał powołanie do wojska, a konkretnie do marynarki aż na trzy lata. On jest słaby psychicznie i tam sobie nie radził. Na dodatek cierpiał na klaustrofobię, a oni zamknęli go na okręcie podwodnym. Kilka miesięcy jakoś dawał radę, aż w końcu coś w nim pękło i strzelił do dowódcy. Na szczęście tylko go niegroźnie ranił. Wczoraj był u mnie

prokurator wojskowy i mnie przesłuchiwał, ponoć Michałowi grozi długoletnie więzienie. Całe życie ma przekreślone. Proszę, niech pani go ratuje! Zapłacę każde pieniądze, mam działkę w Grabinie, jak będzie potrzeba, to i ją sprzedam, tylko niech pani go stamtąd wyciągnie. To moje jedyne dziecko.

Zuza smętnie pokiwała głową.

– Słyszałam o tej sprawie, a stąd, że syn znajomej służy na tym samym okręcie. Dowódca to kawał skurwysyna, ale żeby do niego strzelać? Do cholery, co mu odbiło? Nie mam żadnych argumentów na obronę. Kilka razy uczestniczyłam w takich procesach, a w ogóle to nie będą chcieli mnie do niego dopuścić, będą zasłaniać się tajemnicą wojskową. Jesteśmy na straconej pozycji, no chyba że uda nam się pani syna skierować na badania psychiatryczne. Może wtedy da się wykonać jakieś ruchy. Lepiej posiedzieć dwa lata u czubków niż dwadzieścia pięć w wojskowym więzieniu. Nie chcę straszyć, ale tam jest ponoć gorzej niż w zwykłym kryminale.

Jej słowa zrobiły na Sokołowskiej piorunujące wrażenie, co można było z łatwością odczytać z jej twarzy. Zrobiła się trupio blada.

– Mój syn nie jest wariatem! – krzyknęła oburzona.

Zuza wzruszyła ramionami, nie kryjąc zdziwienia jej reakcją.

– A uważa pani, że po dwudziestu pięciu latach kiblowania to będzie normalny? Jeden taki krąży ostatnio wokół mnie niczym zepsuty ruski sputnik i w każdej chwili może mnie dopaść. W sytuacji, w jakiej znalazł się pani syn, Tworki czy Gostynin to najlepsze rozwiązanie, powiem więcej: to przedszkole. Problem w tym, że prokuratura zna te wszystkie kruczki i za wszelką cenę będą nam chcieli uniemożliwić takie posunięcie, a mnie jako cywilnego prawnika zablokować. Dlatego też będą chcieli przeforsować obrońcę z urzędu, czyli prawnika wojskowego, który nic nie zrobi w sprawie pani syna, mało tego, dodatkowo pogrąży Michała.

– Jeśli pani tak mówi, to niech tak będzie, ale nie zamkną go tam na stałe?

– Spokojnie, najpierw wywalczmy prawo do reprezentowania syna, a później zobaczymy, co da się zrobić. Tak czy owak, potrzebuje jakiejś terapii, no bo nikt przy zdrowych zmysłach nie strzela do dowódcy, chyba że w samoobronie.

– Dobrze, niech pani robi to, co uważa za stosowne. Ja tylko nie wiem, co powiem mężowi. On się wścieknie, że z syna robimy wariata.

– Milczenie jest złotem, na razie niech pani mu nic nie mówi. Jeśli nam się wszystko uda, to postawimy go przed faktami dokonanymi i kropka. Proszę teraz pójść do mojej aplikantki i wypełnić odpowiednie papiery, a od jutra bierzemy się do tej sprawy.

– Dopiero jutro?

– Tak, ale z samego rana.

Płocka katedra w samo południe. W świątyni modliło się kilkoro parafian, a wśród nich w jednej z pierwszych ławek wyróżniająca się urodą młoda kobieta. Zgrabna, twarz o szlachetnych rysach, duże ciemne oczy, długie rzęsy, gęste i długie czarne włosy upięte w kok. Kilka metrów dalej w bocznej ławie siedział mężczyzna ze szkicownikiem w dłoni. Co chwila zerkał na nią, a jego ręka uzbrojona w ołówek z wielką wprawą mknęła po papierze, zostawiając po sobie trwały ślad, artystyczną smugę.

– To jest świątynia. Co pan robi?

Za plecami rysownika niespodziewanie pojawił się proboszcz.

– Nie widzi ksiądz? – odparł zaczepnie artysta. – Rysuję.

– Tu można się jedynie modlić, proszę skończyć albo wyjść.

– Myśli ksiądz, że Bóg się o to obrazi? Że mu to przeszkadza?

– To nieważne, proszę natychmiast opuścić świątynię! – Duchowny podniósł głos. Bliżej siedzący wierni przerwali modlitwę i zaintrygowani spojrzeli w ich kierunku.

– I tak już skończyłem.

Mężczyzna pokręcił głową, wyraźnie zniesmaczony, po czym zamknął szkicownik, ołówek schował do kieszeni kurtki, podniósł się i niespiesznym krokiem poszedł do wyjścia.

W Staromiejskiej przy śledziku i wódeczce siedziało dwóch mężczyzn. Zajęli stolik pod ścianą, na uboczu, żeby uniknąć przypadkowych uszu.

– Powiedz mi, co tu jest grane? Byłem w Warszawie u eksperta i wyśmiał mnie. To nie jest złoto, to zwykła podróbka. Ktoś nas w chuja zrobił. Pytam: kto?

– Przecież nie ja. Chyba mnie nie podejrzewasz? Wszystko razem załatwialiśmy, znamy się od dziecka. Nie wywinąłbym ci takiego numeru.

Drugi z mężczyzn wyraźnie poczuł się urażony słowami kolegi.

– Nie mówię, że to ty, ale w takim razie kto? Pisnąłeś komuś coś na ten temat? Wiem, że jak wypijesz, to nie panujesz nad językiem. Może po pijaku coś wypaplałeś? Pomyśl. Skup się, do cholery. Musimy dorwać tego skurwysyna i odzyskać to, co nasze. – Energicznym ruchem odstawił kieliszek.

– Może to Piotrowski? Tydzień temu przyłapałem go, jak mi grzebał w biurku. Ciekawe, czego szukał? Widząc mnie, bardzo się speszył. Bąknął, że szukał akt Grabarczyka, takiego tam drobnego opryszka, ale kłamał, bo to nie moje dochodzenie i on dobrze o tym wiedział.

– To nie ma sensu. Przecież nie szukał tam naszej zdobyczy. Nawet Mariański by nie wpadł na taki pomysł. Ta prowokacja z nim była szyta zbyt grubymi nićmi.

– Ale mimo to się udała.

– Chwilowo tak. Tego chuja nikt nie lubi i wielu by wykorzystało byle sposobność, żeby się go pozbyć. Nieważne, czy mu coś udowodnią, faktem jest, że na pewno już ten tępy ubecki chuj nie wróci do roboty, i to powinno każdego cieszyć.

– Słyszałem, że chcieli go ukatrupić w areszcie.

– To by rozwiązało sprawę, i to definitywnie, ale nie gadajmy teraz o tej gnidzie, tylko dorwijmy sukinsyna, co nas okradł. Tak czy owak musiał mieć do naszego złota swobodny dostęp, na dodatek przez dłuższy czas, bo zapewne porobił zdjęcia, później znalazł rzemieślnika, zresztą nie byle jakiego, ale mistrza w tym fachu, który na podstawie samych fotografii zrobił kopie. Znasz kogoś takiego?

– W Płocku? Chyba sobie kpisz? Tu trudno o dobrego szewca, nie wspominając już o zegarmistrzu. Takiego fachmana prędzej znajdziesz w stolicy.

– Mam kumpla w centrali, zadzwonię do niego, może wiedzieć o kimś takim. Jeśli znajdziemy tego artystę, pójdziemy jak po nitce do samego kłębka. Ty popytaj w mieście, a szczególnie w okolicach portu, może ktoś coś słyszał lub widział. Kłódka była nienaruszona, a to nie była zwykła kłódka. Może ten ktoś wynajął jakiegoś speca? Który jest tu najlepszy?

– Mówią, że Piosik.

– Ta łajza z Grodzkiej? Nie pomyślałbym.

– Przez kilka lat siedział w jednej celi z Dworczykiem, mistrzem w tym fachu. Tamten ponoć przekazał mu całą swoją wiedzę.

– I mając takie umiejętności, pałęta się po ulicach i prosi o fajki? To się we łbie nie mieści.

– Ponoć się zresocjalizował. W więzieniu dali mu ostro popalić i postanowił tam nie wracać.

– Wszyscy tak mówią, a i tak wracają. Pogadaj z nim, a jeśli trzeba, to go ostro przyciśnij. Chyba nie muszę mówić w jaki sposób? Wypijmy.

Sięgnął po butelkę i rozlał wódkę do kieliszków.

Zuza, wracając z pracy, wstąpiła na plebanię. Będąc jeszcze przed drzwiami, usłyszała bębny, a zatem proboszcz był u siebie. Na jej widok odłożył pałeczki i wyjął z barku stocka.

– Mam twój ulubiony trunek. To tak na rozgrzewkę, bo na dworze zimno jak cholera. Pewnie zima będzie sroga. W telewizji mówili, że niedźwiedzie są grube jak nigdy, a to zły znak. Będzie mroźno i śnieżnie.

– Proszę nie krakać, jakiś sukinsyn ukradł mi cały węgiel ze stajenki i muszę pilnie od kogoś odkupić przydział, bo inaczej czarno to widzę. Nie cierpię marznąć.

Proboszcz spojrzał uważnie na Zuzę.

– Co cię sprowadza do mnie? Nie sądzę, że tylko względy towarzyskie i rozmowy o węglu.

– Chcę wynająć garaż. Ksiądz nie ma samochodu, więc go nie potrzebuje.

– Ty też nie masz. Widziałem, jak go sprzedawałaś.

– Owszem, ale kupuję nowy i nie chcę, żeby mi go hołota zniszczyła. Mam dość tego złodziejstwa, wandalizmu i chuligaństwa. Od lat ich półdarmo bronię, wyciągam z kryminału, a oni nie okazują mi za grosz wdzięczności. Dobrze zapłacę.

Proboszcz podrapał się w głowę, wyraźnie zakłopotany.

– Wiesz, że mój szef krzywo patrzy na naszą znajomość. Kilka razy dał mi do zrozumienia, że właśnie dlatego nie dostaję lepszej parafii.

Zuzę zdumiały jego słowa. Co proboszcz miał na myśli?

– To znaczy? Prosiłabym jaśniej.

– No wiesz, bogatsi parafinie, wyższe datki i tym samym większe możliwości.

– Więcej kasy do przegrania w pokera – dodała zgryźliwie.

– To było brzydkie – odparł z pretensją w głosie. – Kto z nas jest wolny od grzechu?

– To jak z tym najmem? – zmieniła temat.

– Biskup się wścieknie, jak się dowie, ale niech tam. – Machnął ręką.

– To mi się podoba. – Roześmiała się. – Swoją drogą chciałabym zobaczyć jego wściekłość.

– No tak, tylko boki zrywać – dopowiedział, patrząc na Zuzę z wyrzutem.

Poczęstował ją ekstra mocnym i rozlał koniak. Uniósł kieliszek i wzniósł toast.

– Za naszą transakcję!

– Za naszą transakcję! – powtórzyła, nie kryjąc zadowolenia.

Zuza weszła do mieszkania i stanęła zdumiona w progu. Wrzód z dzikim piskiem wskoczył na nią, odbił się od jej piersi i wylądował na stole, przewracając wazon. Następnie zeskoczył na podłogę i pobiegł do kuchni. Pokój wyglądał tak, jakby przeszło przez niego jakieś tornado. Wszędzie pełno skorup po potłuczonych wazonach, przewrócone krzesła, serweta ściągnięta z ławy, popielniczka na dywanie, a wokół niej mnóstwo rozsypanych petów. Teraz dopiero zobaczyła Borysa. Siedział skulony w kącie. Co tu się, do cholery, dzieje? Tylko jeszcze Zgagi tu potrzeba. Chyba te słowa wypowiedziała w złym momencie, bo do pokoju wefrunęła papuga.

– Kuuurwa maać! Kuuurwa maać! Zuuuza raaatuj!

Powrócił i Wrzód. Skakał do góry, chcąc chwycić ptaka i ściągnąć go na podłogę. Do cholery, co mu odbiło? Pewnie wścieklizna! Dużo słyszała o wściekłych lisach pojawiających się w okolicach Płocka, ale jak kot mógł się nią zarazić, skoro nie opuszcza mieszkania? Ostrożnie i powoli zbliżyła się do telefonu. Wykręciła numer lecznicy weterynaryjnej. Odebrał technik weterynaryjny Wójcicki, od razu poznała go po głosie.

– Panie Sławku, tu mecenas Lewandowska, mój kot się wściekł. Musi pan tu szybko przyjechać i coś z nim zrobić.

– Będę za godzinę.

– Kurwa mać, za godzinę to i ja się wścieknę. Proszę być natychmiast, bo nie ręczę za siebie.

Trzasnęła słuchawką o widełki. Palant! Wrzód tymczasem jakby się uspokoił. Zgaga niespodziewanie usiadła właścicielce na ramieniu, co czyniła wyjątkowo rzadko. Jak trwoga, to do Boga, pomyślała Zuza. To był długi kwadrans. Weterynarz w końcu się zjawił. Był ubrany tak, jakby wchodził w środek czynnego reaktora atomowego, a nie zwykłego mieszkania. Włożył długi biały fartuch, na nogi gumowce, na głowie miał kaptur, na oczach dziwne okulary. Dłonie skrywały mu gumowe rękawice. W prawej ręce dzierżył długi drąg zakończony pętlą.

– Dzień dobry, pani mecenas.

– Niezbyt dobry, niech pan zobaczy, co ten sukinsyn zrobił z moim mieszkaniem.

Mężczyzna zaczął się uważnie rozglądać naokoło.

– No faktycznie, kiepsko to wygląda. Gdzie to wściekłe kocisko?

– Tam! – Wskazała kierunek palcem.

– Niech się pani nie rusza, z wścieklizną nie ma żartów. Ja to załatwię.

– Robił pan to już kiedyś?

– Nie, ale dam sobie radę.

– Nieźle się zapowiada – mruknęła pod nosem.

Weterynarz tymczasem krok po kroku posuwał się w kierunku kuchni. Nagle zjawił się Wrzód i z głośnym piskiem wyskoczył w górę, zdzierając Wójcickiemu maskę z twarzy. Mężczyzna wypuścił kij z ręki i trzymając się za policzek, z głośnym krzykiem zrejterował z mieszkania.

Zuza, widząc to, jęknęła załamana; znów została sam na sam z wściekłym kociskiem. Nie było rady, w pojedynkę musiała sobie poradzić z zagrożeniem, zresztą nie pierwszy raz i pewnie nie ostatni. Chwyciła szczotkę i asekurując się nią, ruszyła do ataku. Wrzód, o dziwo, jednak nie zamierzał podnieść rękawicy. Podszedł do swojej miseczki i zaczął chłeptać mleko. Dziwne, bo przy wściekliźnie jest wodowstręt. Tak w każdym razie powiadano. No, ale mleko to jednak nie woda, Zuza nie słyszała nic o mlekowstręcie. Dotarła do kuchni i tak jak się spodziewała, tam też zastała okropny bałagan. Nawet pojemnik z lekarstwami nie został oszczędzony. Jej uwagę zwróciła jedna z buteleczek, była przewrócona i jej zawartość rozlała się na blacie. Lewandowska wzięła ją w dłoń i przeczytała

etykietę: „waleriana”. Teraz wszystko było jasne. Wrzód się tym świństwem opił i stąd jego dziwne zachowanie, to nie wścieklizna, lecz jedynie reakcja na lekarstwo. Odetchnęła z ulgą. W pierwszym odruchu chciała zadzwonić do lecznicy i poinformować o tym Wójcickiego, żeby przypadkiem nie szczepił się przeciw wściekliźnie, ale zaraz poniechała tego zamiaru. Za swoją „bohaterską” postawę zasłużył na karę, a wiedziała, że te zastrzyki są wyjątkowo bolesne. Powie mu dopiero po fakcie. Już oczyma wyobraźni widziała jego zaskoczoną minę i od razu zrobiło się jej lżej na duszy. Teraz czekało ją sporo pracy. Z kąta wyciągnęła szczotkę i udała się po miednicę. Drzwi do łazienki znów były zamknięte. Pukała i nic, nikt nie odpowiadał. Ze środka dochodził przez szparę obrzydliwy odór jakichś chemikaliów. Wsunęła ostrze noża w szczelinę między drzwiami a futryną i podważyła haczyk. Następnie wkroczyła do łazienki.

Widok był wstrząsający.

– Co za debil! – wydarła się prawie na pół kamienicy. – Chcesz nas spalić, gnojku?!

Na sedesie stała kuchenka elektryczna, na niej patelnia, na której smażyła się jakaś smrodliwa substancja. Po zapachu domyślała się, że to płyn do prania Tri. Skąd on go wytrzasnął, przecież wycofano go z produkcji? Na posadzce leżał Tomaszek i nie dawał oznak życia. Wyrwała wtyczkę z gniazdka i nachyliła się nad chłopakiem. Od razu zorientowała się, że żyje i jest jedynie zamroczony trującymi oparami. Sukinsynek jedzie po równi pochyłej. Niebawem zastanie go ze strzykawką w żyle, to już tylko kwestia czasu. Wyszła z łazienki i poszła po jego matkę. Niech sama zobaczy swój pomiot. Może to nią na tyle wstrząśnie, że się w końcu za niego weźmie.

Zabębniła pięściami w drzwi. Zaskrzypiał klucz w zamku i zobaczyła sublokatorkę. Jak zwykle miała na głowie wałki.

– Kobieto, zamiast kręcić na łbie te papiloty, rusz dupę i idź do łazienki zająć się tym swoim synalkiem ćpunem, bo leży tam prawie nieżywy. Przy okazji nie zapomnij po nim posprzątać.

To był męczący dzień. Zuza poczuła głód, zrobiła sobie kanapkę z żółtym serem, wzięła butelkę stocka i usiadła na kanapie. Zerknęła na leżący na ławie stos książek, ale zadzwonił telefon. Z niechęcią sięgnęła po słuchawkę.

– Zuzanna, to ja, twój brata.

Od razu poznała głos Eduarda. Czemu dzwoni o tak późnej porze?

– Słyszę. Co u ciebie? Nie masz kiedy dzwonić?

– Ja przepraszać. Ja zapomnieć. U nas w Hawana to dzień.

A co mnie obchodzi Hawana? – mruknęła w myślach.

– Dzwonisz z Kuby? Już wyjechałeś?

– Nie, ja dzwonić z Warszawa. Ja jutro być u ciebie. Ja cię zaprosić do restauracja na obiad.

Zerknęła na zegarek.

– Chciałeś powiedzieć, że dziś, bo już po północy.

– Północy? Co to znaczyć? Ja nie rozumieć.

– Nieważne. Idę spać, zadzwoń w dzień, dobranoc.

Odłożyła słuchawkę, dopiła koniak, z szafki wyjęła paczkę żyletek i udała się do łazienki. Postanowiła jeszcze przed snem wypowiedzieć kolejną wojnę kłakom, choć wiedziała, że stoi na przegranej pozycji. Niemniej jednak nie poddawała się.

Kapitan Pawłowicz siedziała w swoim pokoju i pocztówką z Kołobrzegu wydłubywała sobie z zębów resztki jedzenia. Nagle drzwi się rozwarły z impetem i do środka wkroczyła Zuza.

Milicjantka spojrzała na nią zdumiona.

– Kto obywatelkę tu wpuścił?

– Mam swoje dojścia nawet tu, w gnieździe największych sługusów komuchów – odparła Lewandowska, a na jej twarzy pojawił się wielki szyderczy uśmiech.

Rozsiadła się bezceremonialnie na krześle naprzeciw Pawłowicz.

– Mój klient oskarża was, poruczniku, o to, że go chcecie wrobić w zabójstwo i kradzież złotych precjozów.

– Jestem kapitanem.

– Nie znam się na dystynkcjach. Kapitan Mariański twierdzi, że zrobiliście to z zemsty.

– A za co miałabym się mścić na waszym kliencie, obywatelko adwokat?

– Za odrzucenie waszych prostackich zalotów. Mój klient twierdzi, że go nękacie, że jesteście nienasyconą erotomanką. To nie przystoi oficerowi milicji.

Zuza z trudem hamowała się, żeby nie wybuchnąć śmiechem, bo cała sytuacja była co najmniej komiczna.

Twarz Pawłowicz pokryła się purpurą. Stwierdzić, że zdenerwowały ją te słowa, to tak jakby nic nie powiedzieć; ona była wściekła.

– To jest bezczelne pomówienie! Myślicie, że możecie tu tak wejść i nam naubliżać? Ja sobie wypraszam!

– Ja was nie obrażam, ja tylko przekazuję to, co twierdzi mój klient. Chciałam zaznaczyć, że w sądzie będzie o tym mowa. Mój klient będzie opowiadał, i to ze szczegółami, o waszych kontaktach. Zastanówcie się, czy aby na pewno tego chcecie. Narazicie się tylko na kpiny. Może warto dojść do jakiegoś porozumienia?

– Wynoście się! – ryknęła Pawłowicz. – A jemu powiedzcie, że jeśli to zrobi, to wyprę się wszystkiego, mało tego, powiem, że to on się na mnie rzucił. Że chciał mnie zgwałcić tym swoim małym fiutkiem, ale mu nawet nie stanął.

– Przecież wiecie dobrze, że skłamiecie.

– I co z tego? A kto mi to udowodni? A kto udowodni mi, że podrzuciłam mu ten kielich? Owszem, podrzuciłam mu go i co z tego? Nikt mnie nie złapał za rękę. Wszystkiego się wyprę. A teraz wynocha, bo wezwę dyżurnego oficera, żeby was usunął.

Zuza, słysząc to, uśmiechnęła się skrycie, po czym podniosła się z krzesła i wyszła bez słowa pożegnania. Jak tylko opuściła komendę, głęboko odetchnęła z ulgą. Z torebki wyjęła magnetofon i cofnęła taśmę. Usłyszała głos Pawłowicz, i to bardzo wyraźnie. Udało się! Mam cię, ty stara kurwo. Kocham te nowoczesne wynalazki, pomyślała i poszła w stronę baru mlecznego. Ssało ją w żołądku z głodu, bo jeszcze nie jadła śniadania.

Pawłowicz sięgnęła do szuflady, wyjęła z niej bułkę udekorowaną grubym plastrem salcesonu i z pasją wbiła w nią zęby. Była zdenerwowana i musiała jakoś odreagować, a nic tak nie uspokajało jej nerwów jak jedzenie i seks. Kiedy sobie z nią poradziła, wzięła się do następnej. Dopiero kiedy skończyła, zawołała Oparę.

Ten stanął przed nią i wyprostował się jak struna.

– Macie śledzić niejaką Lewandowską, adwokat. Wiecie, która to?

Jedynie skinął głową. Był zawiedziony, myślał, że pod nowym dowództwem sporo się zmieni, a on wciąż musiał śledzić Lewandowską. Tak się nie dało

pracować. Ona już mu się nawet po nocach śniła. Przychodziła z długą zomowską pałką i tłukła go nią po plecach.

– Macie znać każdy jej krok i mi to raportować. Jesteście żonaci?

– Tak, jestem, obywatelko kapitanie – odparł szybko, czując, do czego jego zwierzchniczka zmierza. Od dawna wszyscy po kątach szeptali, że Mariański się pośliznął na własnym chuju, bo wzgardził zalotami Pawłowicz.

– Nie szkodzi. Podejdźcie tu bliżej.

Opara wpadł w panikę, bo w jej oczach dojrzał kurwiki. Dobrze wiedział, co to znaczy.

– No, podejdźcie! – niecierpliwiła się.

Podszedł bardzo powoli, czuł, jak pot spływa mu po czole. Oby tylko się nie rzuciła na niego, bo będzie musiał się bronić, a wtedy skończy w szambie, tak samo jak Mariański.

– Jesteście całkiem przystojni. Ile macie lat?

– Czterdzieści sześć.

Nagle drzwi się otworzyły i wszedł dyżurny.

– Kapitanie, komendant was wzywa.

– Nie mogliście zadzwonić? – odburknęła, wyraźnie niezadowolona, że jej przeszkodził.

– Macie źle odłożoną słuchawkę.

Opara odetchnął z ulgą, dziś mu się udało, ale strach pomyśleć, co wydarzy się następnym razem.

Zuza rozsiadła się przy stoliku. Wcześniej zamówiła jajecznicę i czekając na wezwanie do okienka, wzięła się do lektury „Trybuny Mazowieckiej". Zaczęła jak zwykle od nekrologów. Od razu rzuciły się jej w oczy dwa z nich. Dotyczyły młodych kobiet. Domyśliła się, że to ofiary seryjnego zabójcy, który od jakiegoś czasu grasuje po Płocku. Oby go w końcu ujęli, bo strach chodzić wieczorami po mieście. Wprawdzie nie jest tak młoda jak one, ale w nocy, w ciemności łatwo się pomylić. Na pierwszej stronie gazety zobaczyła informację, że towarzysz Breżniew poczuł się lepiej. Zaraz pod tym przeczytała, że towarzysz Wojciech Jaruzelski odwiedził jakąś fabrykę mebli. Na dole strony informowano, że górnicy z kopalni

„Wujek” przekroczyli plan wydobycia węgla. Co ją to obchodzi? Chyba nigdy już nie kupi tego szmatławca.

– Jajecznica raz! – usłyszała. Złożyła gazetę i podniosła się z krzesła. Wtedy ktoś chwycił ją za mankiet.

– Pani mecenas!

To Piosik, był bardzo zdenerwowany.

– Mam kłopoty. Milicja mnie nachodzi.

– Tyle razy ci mówiłam, żebyś przestał handlować trefnymi fantami, że w końcu się doigrasz.

– To nie to. Pani mecenas, oni mnie próbują wrobić we włamanie na jakąś barkę. Twierdzą, że coś z niej wyniosłem. W ogóle nie wiem, o co chodzi.

– Na pewno? Spójrz na mnie. Nie wciskasz mi tu kitu, kochanieńki?

– Słowo, pani mecenas, zaklinam się na moją matkę.

– Piosik, tyle razy ci mówiłam, żebyś się na nią nie zaklinał, bo jej nawet nie znałeś. Bez powodu cię nie podejrzewają. Ktoś cię tam widział?

– Nie, ja na Radziwiu to od roku się nie pokazywałem. Nawet nie wiem, co to za pierdolona barka.

– Wiesz, jaką masz przeszłość, to nie dziw się, że jak jest włamanie, to najpierw idą do ciebie. To jest normalna procedura.

– To nie to, pani mecenas. Tu chodzi o coś innego. To jakaś grubsza sprawa. Ponoć na drzwiach była kłódka firmy Steinback.

– No i co z tego? Mnie to nic nie mówi, nie znam się na kłódkach.

– Jajecznica raz! Ile razy mam powtarzać?!

– Poczekaj, muszę odebrać jedzenie, bo pani Hela z kuchni znów się na mnie wkurwi.

Zuza po chwili wróciła z talerzem i na powrót usiadła przy stoliku.

– No i co z tą kłódką, bo nie rozumiem? Gadaj!

– Taka kłódka kosztuje kupę szmalu. One są nie do otworzenia.

– Ale ktoś ją otworzył? Dobrze rozumuję?

– No właśnie. To musiał być fachowiec jakich mało.

– Zaraz, zaraz. Ja mam wprawdzie stajenkę, a nie statek, ale jak się ktoś włamuje, a takich nieproszonych gości to miałam przez te lata na pęczki, to nie bawi się w otwieranie kłódki, tylko łomem podważa skobel i wchodzi do środka.

– Tam i skobel był odporny na takie włamy.

– Skąd wiesz? A jednak tam byłeś.

– No tak, właśnie stamtąd wracam. Nigdy nie widziałem drzwi tak zabezpieczonych, nawet w mieszkaniach…

– A to tylko zwykła łajba – dopowiedziała Zuza. – Po co ktoś tak ją zabezpiecza? Co zginęło?

– No właśnie tego mi nie chcieli powiedzieć. Pytali mnie o zleceniodawcę. Kto mnie wynajął.

– Co to byli za milicjanci? Rzuć mi nazwiskami.

– Nie znam ich, byli po cywilnemu. Dali mi czas do jutra, bo inaczej ze mną pogadają.

– Na co dali ci czas? Na wyjawienie nazwiska zleceniodawcy?

– Tak mówili. Byli bardzo wkurwieni, oni nie żartują, czuję spore kłopoty.

– A czyja to barka? Jakiej firmy?

– Nie podali. Nie mam pojęcia, ale mogę popytać.

– Ty się tam lepiej już nie pokazuj, a co do tej kłódki, ty byś ją otworzył?

Piosik zakłopotany podrapał się po brodzie.

– Dałbym radę.

Zuza pokręciła głową z podziwem.

– Zaskoczyłeś mnie. Nie myślałam, że jesteś takim fachowcem. Nie znałam cię od tej strony. Gdzie się tego nauczyłeś? Od kogo?

– Siedziałem przez cztery lata w jednej celi z prawdziwym mistrzem. Dla niego nie było zamków, które by się oparły jego palcom. Wołali na niego Leonardo.

– To czemu siedział? Powinien stamtąd nawiać.

– Tak też zrobił, którejś nocy zniknął. Pani nawet nie wie, co wtedy się działo. Cały kryminał przewrócili do góry nogami, zajrzeli dosłownie wszędzie, ale jego nie znaleźli. Ponoć siedzi teraz w Niemczech. Jeden z moich kolesi dostał od niego kartkę.

– Zorientuję się, o co w tym wszystkim chodzi. Ty tymczasem zniknij na jakiś czas. Najlepiej wyjedź z Płocka. Masz dokąd?

– Mam siorę cioteczną w Łodzi. Może mnie przechowa.

– I bardzo dobrze, w dużym mieście jest się najłatwiej ukryć. A teraz już idź, bo mi jedzenie stygnie. Nie ma nic gorszego niż zimna jajecznica.

Zuza weszła do kancelarii i od razu sięgnęła po słuchawkę. Musiała koniecznie porozmawiać z Nowakiem. Od razu odebrał.

– Mam prośbę, pogadaj z kumplami z komendy i dowiedz się, co wiedzą o włamaniu na jakiejś barce na Radziwiu sprzed kilku dni.

– Od kiedy zajmujesz się takimi bzdetami? – Nie krył zdziwienia.

– Być może to jest grubsza sprawa – odparła tajemniczo.

– A co, ukradli pięć ton węgla? – zakpił.

– Przestań. – Zdenerwowała się. – A jeśli nawet, w dzisiejszych czasach zdobycie pięciu ton węgla graniczy z cudem, a do tego ta cena. Proszę cię, rusz dupę i zasięgnij języka w tej sprawie, i to pilnie.

Odłożyła słuchawkę na widełki. W drzwiach pojawiła się Jolka.

– Zaparzyć pani herbatę? – spytała.

– Tak i przynieś kieliszki, bo tu ich nie widzę. Napijemy się po jednym tak na rozgrzewkę, bo zmarzłam cholernie.

– Był tu pani brat i pytał o panią.

– A to już przyjechał? Co ja mam z nim zrobić? Chyba muszę go wziąć do Nowoczesnej na obiad. To wstyd, żeby to on mnie zapraszał.

– Może lepiej do Petropolu, nie będą go sobie palcami pokazywać, bo tam zatrzymują się różni z zagranicy.

– Mądra uwaga, tak zrobię – pochwaliła ją Zuza i otworzyła akta dotyczące dzisiejszej sprawy. Spojrzała na zegar, na przygotowanie się miała godzinę. Jak nikt jej nie będzie dupy zawracać, to zdąży.

– Hello! – dobiegło z holu. To znaczyło jedno: nie zdąży. Znów będzie musiała improwizować. W końcu sędzia Nowak się na nią wścieknie.

Eduardo wkroczył do pokoju z szerokim uśmiechem na twarzy i wielkim bukietem goździków w dłoni.

– To dla moja siostra kochana! – Wręczył jej wiązankę.

– Dziękuję – wydukała, mocno zaskoczona. – Wybacz, ale muszę biec do sądu i nie mam czasu, żeby z tobą porozmawiać.

– Ty nie martwić się, ty pracować i ja to rozumieć. Ty dać mi klucz do twój dom, ja przygotować ucztę, bo ja wracać na Kuba. Ja się wszystkim zająć.

Zuza wyjęła klucze z torebki i mu je wręczyła.

– Pamiętaj, że mam psa, papugę i kota. Musisz na nie uważać. One są nieobliczalne – ostrzegła go.

– Ja kochać zwierzaka. One kochać mnie. Pa, siostra!

I nim zdążyła coś odpowiedzieć, wymknął się z kancelarii.

Aplikantka przyniosła herbatę i kieliszki.

– Siadaj! – rozkazała Zuza i sięgnęła po stocka.

Jolka spojrzała rozmarzona na bukiet.

– Mnie brat nigdy nie kupił kwiatów.

– To tylko goździki, mógł się bardziej postarać – odparła Zuza ze zgryźliwym uśmiechem na twarzy. – Lepiej napijmy się. Masz może dropsy anyżkowe? Wolałabym, żeby sędzia nic ode mnie nie wyczuł. Ten sukinsyn jest obrzydliwym abstynentem.

– Zaraz przyniosę. – Jolka podniosła się z krzesła.

– Wracaj! Spokojnie, nie pali się, najpierw wypijmy. Za co wznosimy toast?

– Może za pani brata? Wie pani, że on wraca na Kubę?

– Wiem. No i dobrze. Czy mógłby żyć w kraju, gdzie pokazują go palcem jak jakieś indywiduum? Gdzie życzy się nielubianemu sąsiadowi, żeby jego córka skurwiła się z Murzynem? Nie, moja droga, on tu nie miałby życia.

– Szkoda, on taki przystojny. Na tej Kubie to jest gorzej niż u nas. Panuje tam okropny terror i za byle co zamykają w więzieniu.

– Ale cały rok mają lato, a ja nie cierpię marznąć. Wczoraj znów Geńka zapomniała napalić w piecu. Kurwa mać, już mam tego dość, w końcu przegnie i ją wywalę.

– Zawsze pani tak mówi, ale jej nie wywala – zauważyła Jolka ze śmiechem.

– Owszem, ale dzban póty wodę nosi, póki mu się ucho nie urwie. Ostatnio wciąż mi podpada. A to nie wyprowadzi Borysa, a to u Zgagi nie posprząta, nie

mówiąc o opróżnieniu kuwety Wrzoda.

W Teatrze Płockim trwały próby przed spektaklem. Na widowni prócz reżysera i jego asystenta siedział mężczyzna ze szkicownikiem w dłoni. Co chwila zerkał na scenę i za pomocą ołówka kreślił wizerunek Marty Błażejczak, jednej z aktorek. Nagle próbę przerwano.

– Kto pana wpuścił? – Niespodziewanie zjawił się przy nim jeden z aktorów. – Osobom postronnym nie wolno tu przebywać. Proszę opuścić teatr.

Spojrzenia wszystkich skierowały się na rysownika.

Mężczyzna nic na to nie odrzekł, jedynie dziwnie się uśmiechnął. Powoli schował ołówek do kieszeni marynarki, zamknął szkicownik, podniósł się z krzesełka i wyszedł bez słowa. Po chwili próbę wznowiono.

Zuza, wychodząc z sądu, o mało nie wpadła na Nowaka. Zrobiła błyskawiczny unik i tylko dzięki jej refleksowi nie doszło do zderzenia.

– Szukałem cię. Dowiedziałem się kilku ciekawostek na temat tej barki zakotwiczonej w porcie. W pierwszej chwili myślałem, że kumple mnie w coś wkręcają, ale nic z tych rzeczy.

– Przejdź w końcu do sedna sprawy. Czas to pieniądz.

– W domku jednorodzinnym najbliżej portu mieszka prokurator Popławski, a ta tajemnicza łajba znajduje się może z pięćset metrów dalej. Ponoć od lat dzierżawi ją od właściciela. Dwa lata temu zrobił jej generalny remont, uszczelnił kadłub, wzmocnił ściany, założył wszędzie nowe drzwi, które dodatkowo obito grubą blachą. Są właściwie nie do sforsowania. Mało tego, na skoblu wisi kłódka nie do otworzenia. Podobno kosztowała krocie.

– Wszystko można otworzyć. Właśnie niedawno ktoś ponoć sforsował te zabezpieczenia i coś stamtąd ukradł. Ciekawe, co to było, że teraz jest taka zadyma?

– To musiał być prawdziwy włamywacz artysta. W Płocku takiego nie znajdziesz.

– A to się zdziwisz. Wyobraź sobie, że podejrzenie padło na Piosika.

– Na kogo? – Sierżant zdumiał się. – Chyba sobie żarty stroisz? Nie wierzę, każdy, ale nie on. To jest zwykła łajza, która może kłódkę zaatakować co najwyżej

łomem.

– Ja też nie wierzyłam, ale jak sobie przypomnę wszystkie sytuacje, kiedy prosiłam go o otworzenie jakiegoś zamka czy też kłódki, to czynił to w try miga. Widocznie nie docenialiśmy należycie jego talentu.

– Myślisz, że to on się włamał?

– Właśnie, że nie. Przyznał mi się, że poradziłby sobie z tą kłódką, ale nawet nie wiedział o istnieniu tej barki. Tu mu wierzę, on się nigdy nie zajmował marynistyką, sklep to owszem, nim nie pogardził. Wiele razy częstował mnie różnymi fantami, jeszcze ciepłymi.

– Czyli jest jeszcze ktoś równie dobrze przeszkolony.

– Taki wniosek sam się nasuwa. Być może to ktoś na gościnnych występach. To musiało być włamanie na zlecenie. Taki fachowiec prędzej zajmie się sejfem u jubilera, chatą bogatego fabrykanta, a nie jakąś starą łajbą w prowincjonalnym miasteczku. A jakie plotki krążą po komendzie na ten temat?

– Wszyscy nabrali wody w usta i to jest zastanawiające. Boją się, a to znaczy jedno: któryś z szefów wydziałów jest w to umoczony. Wiesz, którego mam na myśli?

– Tego biznesmena, co ma skrywane udziały w pawilonie z ciuchami w Nowym Rynku? Myślisz, że to on wynajął włamywacza?

– Raczej że on tam coś przechowywał razem z prokuratorem Popławskim. Nie jest tajemnicą, że się kumplują. Ktoś ich obrobił i teraz go intensywnie szukają.

Zuza parsknęła śmiechem.

– A zatem swój trafił na swojego. Aż mnie skręca z ciekawości, co zginęło. Czy ostatnio doszło w Płocku lub w okolicy do jakiejś spektakularnej kradzieży? Przypominasz sobie coś takiego? – spytała.

– Ostatnio słychać jedynie o tym psychopacie, co morduje młode kobiety. Nie sądzę, że to ma jakiś związek z twoją sprawą.

– Podzielam twoje zdanie. Później wrócimy do mojej sprawy, bo teraz biegnę do aresztu porozmawiać z Mariańskim.

– Słyszałem, że kilka dni temu o mało nie doszło do samosądu, że współwięźniowie chcieli go powiesić.

– Dziwisz się? Bo ja wcale. To jest kawał skurwysyna, ma tam wrogów na pęczki. Jeśli go skażą, to w kryminale nawet miesiąca nie przeżyje.

Wyszedłszy na ulicę, Zuza natychmiast zauważyła Oparę czającego się w cieniu budynku Hortexu. Sądząc po grypsach Mariańskiego, nie on mu to zlecił, a zatem kto? Na schodkach kina Przedwiośnie siedział Szczawiński. Przypadek czy i on ją śledził?

Przed delikatesami zakręcona kolejka na całą szerokość Tumskiej. Z trudem przebiła się przez gromadę potencjalnych kupców lepszej wędliny, bo takową przed chwilą przywieźli. Kilkunastu szczęśliwców wyjdzie z pełnymi siatami, a reszta jak zwykle obejdzie się smakiem.

Kapitan wyglądał źle. Twarz opuchnięta, ślady zadrapań, duże sińce pod oczami, lewa ręka na temblaku. Ubranie dosłownie wisiało na nim, tak schudł. Poczęstowała go ekstra mocnym.

– Błagam, zróbcie coś, żeby nas wypuścili – skomlał. – Oni nas tu ukatrupią. Wszyscy się na nas uwzięli, naczelnik nas nienawidzi, klawisze nami pomiatają, a ci kryminaliści odgrażają się, że nam gardło poderżną.

– Po drugiej stronie masz nie mniej wrogów, a wśród nich prym wiedzie Pawłowicz. Jej propozycji się nie odrzuca. To było z twojej strony nieroztropne. Nie wiem, gdzie jest bezpieczniej – zakpiła. – Staram się i jest szansa na zwolnienie z aresztu, ale musisz jeszcze trochę tu posiedzieć. Obecnie masz izolatkę i specjalną ochronę, więc nikt ci krzywdy nie zrobi, no chyba że sam zrobisz rachunek sumienia i postanowisz skończyć ze sobą. Przyszłam do ciebie z nadzieją, że może sobie coś przypomnisz, że może wskażesz mi kogoś innego na komendzie, kto mógłby zlecić podrzucenie tego przeklętego kielicha.

– Tylko Pawłowicz! Ta niewyżyta suka! Zemściła się na mnie! – wybuchnął.

– No tak, ale skąd wzięła ów kielich? Myślisz, że maczała ręce w zabójstwie Błaszczaka?

– Nie wiemy. Ponoć jesteście najlepsza, poszukajcie. Znajdźcie coś na tę kurwę i ją załatwcie.

Słysząc to, parsknęła śmiechem.

– O ile wiem, zawsze mi zarzucałeś, że wyręczam milicję, że to nie rola adwokata, że wciskam nos tam, gdzie nie potrzeba. Czy coś pominęłam?

Mariański spuścił głowę. Zapadła cisza.

– Myliliśmy się – bąknął po dłuższej chwili.

– Owszem, i to bardzo. I jeszcze jedno, przestań pisać grypsy do Opary. Nikt ci tu w torcie nie przemyci piłki do metalu czy sznura, a już tym bardziej twój sługus Opara.

Prosto z aresztu Zuza udała się do domu. Weszła do mieszkania i już w progu usłyszała latynoskie rytmy, stanęła zdumiona. Dotąd myślała, że nic już jej nie jest w stanie zaskoczyć. Jakże się myliła. W kuchni zastała niecodzienny obrazek. Eduardo w rytm muzyki pląsał przy kuchence i mieszał coś w garnku. Na ramieniu siedziała mu Zgaga i coś gaworzyła mu do ucha. Drugą ręką Kubańczyk drapał po brzuchu Wrzoda wyciągniętego jak struna. Borys siedział wpatrzony w niego jak w obraz i co rusz łapał w locie rzucane mu przysmaki.

– Ja pierdolę! – wyrwało jej się. – Nie wierzę w to, co widzę!

Tylko na tyle było ją stać. Eduardo właśnie ją zobaczył.

– Witaj, siostra! Daj mi jeszcze godzina, jedzenie być gotowe. Idź, odpocznij. Ja ci zrobić kawa.

Zgaga też ją dostrzegła.

– Zuuuza! Kuuurwa mać! Zuuuza! Kuuuurwa maaać! – rozwrzeszczała się. Wrzód jedynie miauknął i nawet nie raczył podnieść głowy, a Borys potraktował ją jak powietrze. Tak oto Eduardo w jednej chwili przekabacił cały jej zwierzyniec. Bez słowa cofnęła się do pokoju i usiadła na kanapie. Sięgnęła po papierosy.

– Siostra, ja mieć cygara. Ty kochać kubański cygara! – usłyszała zza pleców. I jak tu nie lubić tego sukinsyna? Szkoda, że tak naprawdę nie jest jej bratem, nawet przyrodnim.

Wkrótce potem na ławie pojawiło się pudełko, a w nim ułożone jedno przy drugim prawdziwe cygara, nie jakieś nędzne peerelowskie podróbki.

– Muszę przyznać, że się starasz – pochwaliła go, sięgając po jedno z nich.

– Siostra, ty moja jedyna rodzina tu w Polska. Ja ciebie kochać i ja dbać o ciebie. Ja swoja mama opowiadać o tobie. Ona tak jak ja cieszyć się. Ja wiem, że ja mówić niepoprawnie, ale język polski trudny, te końcówki. Ja pisać lepiej niż mówić. Ja w Polska tylko ostatni rok studiów.

– Nie przejmuj się. Wielu Polaków mówi gorzej od ciebie, a mieszkają tu całe życie.

Poczuła delikatny zapach spalenizny.

– Lepiej zajrzyj do kuchni, bo chyba coś się przypala – dodała szybko.

– *¡Madre mía!* – krzyknął i pobiegł ratować potrawę.

– Maaaadre mija! Maaaadre mija! Kuuurwa maaać! – wydarła się papuga.

Nie minął kwadrans, a przed Zuzą stał wypełniony po brzegi talerz. Wyglądało to smakowicie – ryba, smażone warzywa, nawet ziemniaczki, ale jakieś inne, też pewnie z patelni, a co za aromat! Palce lizać. A na dodatek wino, i to nie byle jakie, francuskie.

– Skąd to wszystko wytrzasnąłeś? To same deficytowe towary.

Puścił do niej oko.

– Ja zrobić fotografia z różnymi ludziami i za to dostać ryba i reszta. Smacznego! Ty jedz, a ja biec, bo ja się umówić z piękna długonoga blondynka.

– Nie zjesz ze mną? – Nie kryła zawodu.

– Nie mogę, ja być umówiony. Prawdziwa piękność, moje serce do niej bije jak dzwon w katedra w Hawana. Wybacz, siostra.

I nim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, po Eduardzie nie było śladu. Ach ci południowcy, westchnęła i sięgnęła po widelec. W takim momencie każdy Polak czuje dumę, wszak to my nauczyliśmy Francuzów ich używania. Nagle jej ręka zawisła w powietrzu. To przez te oczy. Ryba spoglądała na nią z talerza tymi swoimi zimnymi trupimi gałami. Nawet nimi nie mrugnęła.

– Co się tak gapisz na mnie? Nie mam nic wspólnego z twoją śmiercią i nie ja cię upiekłam. Z pretensjami idź gdzie indziej.

Ryba wciąż na nią patrzyła. Zuza odłożyła widelec i sięgnęła po kieliszek. Dobre to wino, trzeba przyznać, że Eduardo zna się nie tylko na kuchni. Ponownie zerknęła na talerz. To lodowate spojrzenie pstrąga wciąż ją odstraszało, coś musiała z tym zrobić, i to pilnie, bo jadło stygło. Z torebki wyjęła chusteczkę i zarzuciła ją rybie na łeb. Teraz wszystko było w porządku i mogła wziąć się do konsumpcji.

Cholera, nigdy wcześniej nie jadła tak dobrego pstrąga, a dodatki były równie wyśmienite.

Wrzód natychmiast wyczuł wyżerkę i zaczął jej się ocierać nachalnie o nogi.

– Spadaj, zdrajco! – ryknęła na niego, kolejny raz wbijając widelec w rybę. – Idź do Eduarda, niech on cię nakarmi.

– Zdraaajca! Zdraaajca! Zaaabić gooo! Zaaabić gooo!

– Zamknij się. Ty, pierzasty potworze, nie jesteś lepsza!

Eduardo szedł Tumami, do jego ramienia była przyklejona szczupła blondynka. Szeptali coś czule do siebie, wyglądali na zakochanych. Usiedli na jednej z ławeczek. Na sąsiedniej siedział mężczyzna ze szkicownikiem na kolanach. Od razu zwrócił uwagę na parkę i chwycił ołówek. Szybkimi, wprawnymi ruchami kreślił sylwetkę dziewczyny, spieszył się. Zapewne bał się, że młodzi zaraz odejdą, a on nie zdąży uchwycić jej podobizny.

Eduardo w mig się zorientował, w czym rzecz. Poderwał się z ławki i podszedł do rysownika.

– Ty pokazać mi, co robić! – rzekł tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Zerknął na szkic i nagle jego twarz się rozpogodziła, zagościł na niej szeroki uśmiech. Poklepał nieznajomego przyjacielsko po plecach.

– Ty ładnie rysować. Ty piekielnie zdolny człowieka. Ty u nas w Hawanie mógłby zarobić mnóstwo pieniądza. Ja chcieć kupić twój rysunek.

– To nie na sprzedaż. Będę mieć wernisaż w domu kultury, proszę tam zajrzeć.

– Werni co? Ja chcieć kupić ten rysunek nie to coś werni...

Rysownik wyjął z kieszeni mały kartonik i podał go Kubańczykowi. Ten od razu zerknął na zaproszenie.

– Ja nie być już wtedy w Polska, ale ja dać Monika pieniądze, ona przyjść i tam kupić ten rysunek. Zgoda?

– Dobrze, niech tak będzie.

Mariański siedział przy stoliku i pisał na małym skrawku papieru.

Opara, co z to suko Pawłowicz? Wasze działania som do dupy! Zróbcie tak jak ona, podszudzcie coś z kradziejstwa. Mosze odkużacz? Albo co innego i nażlijcie na nią komędanta. To roskas! Inaczej oni mnie tu ubiją i zgfałcą.

Skończył pisać, zrolował karteczkę i schował ją w dłoni. Zazgrzytał klucz w zamku, drzwi rozwarły się na oścież, w progu stanął klawisz.

– Mariański, macie widzenie!

– A kto przyszedł?

– Z wyglądu taki sam przygłup jak wy, pewnie milicjant. – Strażnik parsknął śmiechem.

Zuza z samego rana zaniosła do magla pościel i ręczniki. Maglarka, jak tylko ją zobaczyła, od razu zarzuciła ją najnowszymi płockimi plotkami.

– Słyszała pani, że ten zabójca znów zabił? Zamordował aktorkę, Błażejczak. Taka była sympatyczna. Znałam ją, to szwagierka mojej kuzynki. Dobra dziewczyna, zawsze uśmiechnięta. Dorwał ją ten zwyrodnialec. Dwoje dzieci zostawiła, małe dzieci.

Kobiecie zaszkliły się oczy od łez.

– A to coś nowego. Jeszcze nie czytałam dzisiejszej „Trybuny". – Zuza nie kryła zaskoczenia. Też znała zamordowaną, ale jedynie ze sceny, i to również były bardzo pozytywne wspomnienia.

– Pani mecenas, milicja go nigdy nie złapie. Pani wie, jak oni działają. Tylko pałować umieją. W poniedziałek dorwali mojego chrześniaka i okropnie go pobili, a chłopak niewinny. Może pani powinna poszukać tego bandyty? Pani pewnie od razu go złapie.

– Ja? – zdziwiła się. – Moja droga, ja po ostatniej sprawie postanowiłam zajmować się tylko adwokaturą, niczym innym. To było za dużo okropności, nawet jak na mnie, a przecież wcześniej niejedno widziałam. Od ścigania łobuzów jest milicja i oni biorą za to pieniądze, i to niemałe, nie wspominając tu o innych profitach, jak choćby zakupy w konsumie, gdzie półki się uginają od wszelakich dóbr. Zostawmy to.

– A jeśli i panią dopadnie, to co wtedy?

Zuza parsknęła śmiechem.

– W pewnym sensie to byłoby swoiste wyróżnienie, wszak zabija tylko młode kobiety, a moja młodość właśnie się pakuje i nim się obejrzę, wyjedzie w cholerę, i to na zawsze. A co więcej słychać na mieście?

– A słyszała pani o Jóźwiaku? Ale go urządzili.

– Jakim Jóźwiaku? Nazwisko nic mi nie mówi.

– No, tym taksówkarzu, co wozi panienki z Petropolu. Napadli go i dźgnęli nożem. Dla stu złotych o mało chłopa nie zabili. Ledwie się wykaraskał.

– Skoro wozi dolarowe panienki, to pewnie spodziewali się zielonej waluty. Teraz go kojarzę. Ma ładnego mercedesa. Takiego właśnie zamierzam kupić. – Zuza spojrzała na zegarek. – O cholera, późno już. Biegnę do kancelarii po togę, bo za godzinę mam sprawę. A z tym moim maglem uwinie się pani do jutra?

– A pewnie, pani mecenas ma pierwszeństwo. Co ja bym bez pani pomocy zrobiła? Przecież zabiłby mnie ten skurwysyn. Siedzi, to teraz mam spokój. Oby nigdy z pierdla nie wyszedł.

Sprawa w sądzie spadła z wokandy, więc Zuza poszła do domu po wędki i zeszła z nimi nad Wisłę. Pan Zdzisio jak zwykle był na posterunku. Na jej widok zdziwił się niezmiernie.

– Pani Zuzo, prędzej bym się diabła spodziewał. Kiedy to się ostatnio widzieliśmy?

– Trochę czasu minęło. No cóż, w tym czasie wiele się u mnie działo, nie miałam głowy do takich rzeczy. A co u pana?

– Wszystko dobrze, zdrowie dopisuje i oby tak dalej.

– A co słychać w Radiu Wolna Europa? Co ostatnio mówią o Polsce?

– Oj, źle. – Mężczyzna skrzywił się, jakby się najadł kiszonych ogórków. – Jedyne, co dobre, to to, że Breżniew się wykańcza. A słyszała pani o Dobraczyńskim? Założył jakiś PRON.

– Tak, o tym mówią w telewizji. Nawet powstał taki wierszyk. „PRON cię żywi, PRON cię broni, więc zasypiaj z PRONciem w dłoni”.

Pan Zdzisio parsknął śmiechem.

– Nie słyszałem tego. Jeszcze dziś puszczę go w obieg po znajomych. – Zerknął na ekwipunek Zuzy. – Pewnie nie ma pani przynęty? Chętnie użyczę swoich. I tak ryby nie biorą. Może pani będzie mieć więcej szczęścia.

– Dziś mogę łowić bez przynęty. Liczyłam, że pana tu zastanę, przyszłam pogadać. Pan zawsze jest na bieżąco z tym, co w Płocku w trawie piszczy. Jestem ciekawa plotek. Choćby na temat skarbu popa i zabójstwa jego odkrywcy.

– Ludzie różnie mówią. Ponoć było tego dużo więcej, ale w dziwny sposób zniknęło.

To potwierdzało jedną z jej teorii – że komuś się do łap przykleiło. Czyżby to była sprawka szefa drogówki i prokuratora?

– A co mówią o zabójstwie?

– Nie za dużo. Jedni uważają, że to robota tego Mariańskiego, a inni, że go wrobiono. Że to sprawa bezpieki, a jeszcze inni, że to sprawa polityczna.

– Nic odkrywczego.

Zuza nie kryła zawodu. Pan Zdzisio w sumie nic nowego jej nie powiedział.

– Słyszałem, że ma pani brata, gratuluję. Nie wspominała pani o nim nigdy.

Spojrzała na niego niespokojnie. Kpi czy faktycznie gratuluje?

– Skąd pan to wie?

– No jak to skąd? Ja też zrobiłem sobie z nim fotkę. Zaraz pani pokażę.

Zaczął grzebać w kieszeni kapoty, w końcu wyjął pomięte zdjęcie i jej podał.

Zobaczyła obydwóch w serdecznym uścisku. Eduardo świecił tymi swoimi śnieżnobiałymi zębami, których chyba każdy mógłby mu pozazdrościć, a szczególnie nałogowy palacz.

– Ile pana to kosztowało?

– Sporo, ale wie pani, ja nigdy nie miałem zdjęcia z prawdziwym Murzynem, a na dodatek żywym, nawet nie marzyłem o tym. To było warte tych pieniędzy. Teraz wszyscy mi zazdroszczą. Niech pani go ode mnie pozdrowi, bo to fajny gość.

– Owszem i wyśmienicie gotuje.

– Spytałem go, czy to prawda, że oni mają… – Pan Zdzisio nagle przerwał, mocno zakłopotany.

Zuza w mig się zorientowała, w czym rzecz.

– Chciał pan powiedzieć „olbrzymie przyrodzenie”?

– W rzeczy samej – potwierdził skwapliwie.

– No i co odpowiedział? Sama jestem ciekawa.

– Że ma się czym pochwalić, a jak inni, to nie wie. O, ryba bierze!

Mężczyzna chwycił wędkę i szarpnął nią do góry. W świetle jesiennego słońca zabłysły łuski sporego karaska.

Dziś był ten wielki dzień. Zuza już z samego rana ze sporą sumą pieniędzy w torebce wsiadła do samochodu pana Tadzia. Pojechali do fary i spod kościoła zabrali proboszcza. Następnie udali się po Nowaka i dopiero wtedy ruszyli w stronę Warszawy. Po ponad dwóch godzinach jazdy byli na miejscu. Zanim dojechali do bramy giełdy, co i raz byli nagabywani, i to głównie przez Cyganów. Nowoczesność wkroczyła i w ich społeczność, bo z handlu końmi, z którego byli znani od wieków, przerzucili się na konie mechaniczne. W przeciągu kilku ostatnich lat właściwie przejęli ten rynek. Pana Tadzia najpierw rozpierała duma, że jego łada wzbudza zainteresowanie, ale kiedy usłyszał o kwocie, którą mu oferowali, ogarnęła go wściekłość.

– Cholerni złodzieje! – nagle wybuchnął. – Nigdy jej nie sprzedam za takie psie pieniądze. Kto tak dba o samochód jak ja? No, powiedzcie mi?

– Sąsiedzie, przyjechaliśmy kupować, a nie sprzedawać. Nikt nie ma tak zadbanej łady jak pan, a oni chcą pana wykiwać, jak to handlarze. Skupmy się na moim mercedesie. – Zuza starała się go uspokoić. Bała się, że pan Tadzio, zamiast myśleć o celu ich wypadu, tylko to będzie przeżywał. To byłaby strata, bo znał się na samochodach jak mało kto.

W końcu udało im się zaparkować i ruszyli w tłum.

W pewnym momencie Nowak szarpnął Zuzę za rękaw płaszcza.

– Po co wzięłaś proboszcza? On w ogóle nie zna się na samochodach – szepnął jej do ucha.

– Tak na wszelki wypadek. Jak trafimy na oszusta katolika, to może poczuje skruchę i wyzna nam swoje winy – odparła, z trudem skrywając wesołość.

– Chyba żartujesz? – prychnął. – Tu wszyscy katolicy i prawie każdy to oszust.

– Nie trać wiary w ludzi. Kilku uczciwych się znajdzie.

Trzeba przyznać, że było w czym wybierać. Sierżant i pan Tadzio byli w swoim żywiole. Zaglądali pod maski, opukiwali karoserie i sprzedającym zadawali mnóstwo podchwytliwych pytań, co poskutkowało wyeliminowaniem trzech samochodów wcześniej jeżdżących jako taksówki. W tym czasie proboszcz złapał na gorącym uczynku złodzieja akurat sięgającego do torebki Zuzy. Kopnął go prosto w krocze i tamten padł na ziemię niczym rażony piorunem.

W końcu na placu boju został jeden egzemplarz z fabryki w Stuttgarcie. Był koloru czerwonego, miał siedzenia powlekane jasną skórą i nieduży przebieg. Kiedy przyszło do negocjowania ceny, proboszcz ponownie wkroczył do akcji. Trzeba przyznać, że był przy tym bardzo skuteczny. Upust sięgnął dziesięciu procent, co przy wysokiej cenie robiło sporą różnicę. Jako gratis dorzucił pięć mszy w intencji sprzedającego i dwa odpusty całkowite. Jeden teraz, a drugi na zaś. Transakcję przyklepano, umowę spisano, pieniądze przekazano i Zuza mogła wyruszyć nowym nabytkiem na powrót do Płocka. Obok niej dumnie zasiadł proboszcz. Co jak co, ale zasłużył na to wyróżnienie. Po drodze nie obyło się bez jego komentarzy.

– Ach, żeby wszystkie moje parafianki prowadziły się tak dobrze jak ten mercedes. – Nie krył zachwytu.

– Nie jest źle, komuniści są bardziej pruderyjni niż kapitaliści. Bardziej bym zwróciła uwagę na hazardzistów – zadrwiła.

Od razu się domyślił, do kogo pije.

– Moja droga, a kto jest bez grzechu? Ty też masz co nieco na sumieniu.

– Ale ja nie należę do waszej sekty. Jak ksiądz wie, ja jestem bezpartyjna i bezkościelna, i jest mi z tym bardzo dobrze. W moim świecie picie, palenie i przeklinanie nie jest przewinieniem czy grzechem. Nie mam tego wszystkiego w moim wykazie rzeczy zakazanych i dzięki temu jestem szczęśliwa. Po prostu nic mnie nie ogranicza. To się nazywa wolność duchowa, bo fizycznie wciąż jestem zniewolona przez tych przeklętych komuchów. Jednak mam nadzieję, że kiedyś to się zmieni.

– Nie można żyć bez Boga. Wierzę, że tam gdzieś w środku w zakamarkach twojej duszy wiara się tli.

– Jeśli księdzu to pozwoli poczuć się lepiej, to niech w to wierzy – odparła pojednawczym tonem. Bądź co bądź dziś należało mu się specjalne traktowanie.

Akurat podjechali na stację benzynową.

– I co dalej? – spytał proboszcz. – Poprzedni właściciel zostawił ci kartki na paliwo? O ile sobie przypominam, nie było o tym mowy.

Zuza z zakłopotaniem podrapała się w głowę. Tyle wrażeń, że mogła o czymś zapomnieć.

– A to sukinsyn! Na tym, co w baku, nie dojedziemy do Płocka. Trzeba znaleźć jakieś rozwiązanie. Pogadam z cepeeniarzem.

Opuściła samochód, podeszła do okienka i zajrzała do środka. Jej wzrok spotkał się ze wzrokiem sprzedawcy. W jego spojrzeniu nie zauważyła nic a nic empatii, raczej nawet nieskrywaną wrogość. W końcu to on był tu panem, on decydował, komu wlać ropę, a kogo odprawić z kwitkiem.

– Dzień dobry, mam problem. Nie mam paliwa.

– I co z tego? – odburknął.

– Może dałoby się załatwić? Zapłacę drożej. Nie ma sprawy.

Sięgnęła do torebki po portmonetkę.

– Paliwo tylko na kartki. Nie ma obywatelka kartki, to nie zatankuje.

– Nie mam, ale mam kartki banku narodowego. Nawet te z największymi nominałami – dodała, znacząco mrugając okiem.

– Nie ma kartek, nie ma ropy!

Z hukiem zamknął okienko, o mało przy tym nie przytrzaskując Zuzie nosa.

– A ty sukinsynie – zaklęła i wróciła do samochodu.

– Może ja spróbuję? – zaproponował proboszcz. – Przemówię do niego jak do katolika.

– Obawiam się, że to nie pomoże.

– Zobaczymy.

Duchowny wygramolił się z mercedesa i ciężko sapiąc, podszedł do okienka. Zuza widziała, jak gestykuluje, jak ręką czyni znak krzyża. Przez uchylone okno słyszała podniesione głosy. W końcu proboszcz na powrót doczłapał do samochodu.

– Antychryst! Będzie smażył się w piekle! Znam tutejszego proboszcza, nie dopuści jego dzieci do komunii! Nie pochowa go na cmentarzu!

Zuza, słysząc to wszystko, nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

– Spokojnie, damy sobie radę. Chyba znalazłam rozwiązanie naszego problemu.

Proboszcz spojrzał na nią zaciekawiony.

– Jaki?

– Zaraz ksiądz zobaczy.

Odjechali ze stacji i ruszyli w stronę Płocka. Jechali wolno, bo Zuza cały czas czujnym okiem lustrowała mijane przez nich zabudowania. Przejechali może z kilometr, kiedy nagle samochód zwolnił, a następnie skręcił w prawo, w polną drogę. Skierowali się w stronę jakichś zabudowań. Już z dala widać było rzędy ciągników, plac zapełniony maszynami rolniczymi. Zatrzymali się tuż przed bramą. Zuza wyłączyła silnik.

– Zaraz wracam.

Opuściła pojazd i udała się w stronę budki stróża. Zajrzała przez okno do środka. Tam zaś zobaczyła mężczyznę, spał oparty na biurku. Zapukała w szybę. Natychmiast poderwał się do góry. Był mocno wystraszony. Pewnie normalnie nikt mu nie zakłócał południowej drzemki.

Ziewnął, kilka razy się przeciągnął, po czym podniósł się, podszedł do drzwi i je uchylił. Zmierzył Zuzę nieprzyjaznym spojrzeniem, później jej samochód.

– Czego? Zamknięte! Dziś niedziela.

Uśmiechnęła się do niego przyjacielsko.

– Wiem, że zamknięte, ale potrzebuję pomocy.

– A co, zepsuł się? Niemiecki i gówno wart?

Widziała, że od razu poczuł się lepiej. Nawet spojrzenie miał bardziej przyjazne.

– To nie to, potrzebuję ropy, bo nie mam na czym dojechać do domu.

– Tu nie CPN. Ze dwa kilometry dalej jest stacja benzynowa. Tam jedźcie.

– Wiem, ale nie mam kartek na paliwo. Byłam tam, prosiłam, ale ten sukinsyn był nieugięty. Dobrze zapłacę. Proszę mnie poratować.

Stróż podejrzliwe zerknął w stronę mercedesa.

– A pani nie z milicji? Tam ktoś siedzi?

– Spokojnie, to ksiądz.

– Ksiądz?

Nie dowierzał, podszedł bliżej, żeby samemu sprawdzić.

– Ja pierdolę, faktycznie – mruknął pod nosem. – Niech będzie pochwalony. Ma pani kanister?

– Nie, ale można wlać od razu do baku.

– No tak, ale trzeba najpierw w coś wachę spuścić. Pani poczeka.

Wolnym krokiem ruszył między ciągniki. Trwało to dobry kwadrans, w końcu wrócił, dźwigając dwudziestolitrowy kanister i lejek.

Zuza zapłaciła za paliwo po cenach czarnorynkowych, nawet nie starała się targować. Ważne, że mogła kontynuować podróż. Cała w skowronkach otworzyła drzwi, zamierzając wsiąść do auta, kiedy cieć złapał ją niespodziewanie za rękaw.

– Może ksiądz by mi od razu odpuścił to kradziejstwo? Spałbym spokojniej.

Proboszcz spuścił szybę i wykonał znak krzyża.

– Poratowałeś bliźniego w potrzebie, więc odpuszczam ci tę kradzież ropy. Pozostań w pokoju, synu.

W chwilę potem ponownie mknęli szosą w stronę Płocka. Zuza była w wybornym humorze.

– Cholera, takiej akcji to jeszcze nie przeżyłam. – Śmiała się. – Ukradł ropę, sprzedał ją i zaraz na poczekaniu dostał rozgrzeszenie.

– Nie śmiej się. Widzisz, jak u niego jest silna wiara. Jak mu zależało na rozgrzeszeniu, bardziej niż na pieniądzach, a ty się z tego wciąż śmiejesz.

– Tu bym podyskutowała. Wątpię, czy sama propozycja rozgrzeszenia by mu wystarczyła.

Był środek nocy, kiedy rozległo się przeraźliwe miauczenie, a w chwilę potem Borys zaczął ujadać. Zuza raptownie obudziła się i poderwała na równe nogi. Co tu się, do cholery, dzieje? Chwyciła pogrzebacz i trzymając go w dłoni, w samej koszuli nocnej wkroczyła do salonu. Kot i pies stały przy szafie i próbowały się pod nią usilnie dostać. Na parapecie leżała latarka, wzięła ją i uklękła. Teraz już wiedziała, przez kogo całe to zamieszanie. Niepozorna myszka siedziała przytulona do ściany i cała trzęsła się ze strachu.

– A ty, cholero, skąd się tu wzięłaś? Pewnie przez niedomknięte drzwi.

Tyle razy zwracała Geńce uwagę, żeby je dokładnie zamykała, ale można było do niej tak samo mówić jak do ściany, żeby się przesunęła – ten sam skutek.

Chwyciła Borysa za obrożę i zaciągnęła go do kuchni; po chwili i Wrzoda spotkał ten sam los. Teraz trzeba było zabrać się za mysz. Zuza miała specjalną pułapkę, jedyną na rynku, która nie wysyłała myszy na drugi świat, taka humanitarna. Inne były wyposażone w metalowy mechanizm, który łamał zwierzakom kręgosłupy. Włożyła do niej kawałek żółtego sera, po czym wsunęła ją pod szafę. Teraz należało

uzbroić się w cierpliwość. Zarzuciła na siebie szlafrok, wzięła książkę, butelkę stocka, papierosy i usiadła na kanapie. Przeczytała chyba z dwa rozdziały, kiedy wreszcie usłyszała charakterystyczny odgłos zamykającej się pułapki.

– Mam cię, kochanieńka – mruknęła pod nosem i poderwała się z kanapy. Zajrzała pod szafę. Mysz miotała się w pułapce na wszystkie strony, próbując się uwolnić.

– Ja tak jak ty siedzę w klatce. Moja nazywa się PRL. Ty, szczęściaro, za chwilę odzyskasz wolność, a ja tkwię w tym gównie już kilkadziesiąt lat, a być może do śmierci nic się nie zmieni.

Wyciągnęła pułapkę, włożyła buty, zarzuciła płaszcz na ramiona i opuściła mieszkanie. Na klatce schodowej było jak zawsze ciemno. Przyświecając sobie latarką, zeszła na dół i wyszła na ulicę. Miasto spało, pusto dokoła. Panował półmrok, a to przez zepsute latarnie, od lat prawdziwą zmorę miasta. I co tu się dziwić, że po Płocku grasuje jakiś psychopata i wciąż pozostaje nieuchwytny? Ciemność pozwalała mu znikać niezauważalnie, za każdym razem skrywała jego oblicze. Zuza postanowiła wypuścić mysz na sąsiedniej posesji, tak, żeby nie powróciła. Nagle zmroził ją przeraźliwy okrzyk dochodzący gdzieś z oddali. Nawet się nie zawahała, tylko od razu ruszyła w tamtym kierunku. Znów się rozległ, teraz była pewna, że dobiega zza fary. Żałowała, że Borysa nie ma z nią, czułaby się pewniej, ale skąd mogła wiedzieć, że ktoś będzie potrzebował pomocy? Trudno, musiała sobie sama jakoś poradzić. Przyspieszyła. Rozglądała się wokoło, szukając czegoś, co mogłoby jej się przydać do odparcia ewentualnego napastnika. Na chodniku zobaczyła cegłę, schyliła się, podniosła ją i zabrała ze sobą. Zawsze to coś. Minęła kościół, ulicę Piekarską i wyszła na bulwar. W pewnym momencie zatrzymała się, zupełnie zdezorientowana. W którym kierunku ma iść teraz? Wszędzie dokoła cisza, słychać było jedynie szum gałęzi drzew pozbawionych liści i targanych porywistym wiatrem, gdzieś w oddali ujadał pies. Zaskrzypiała blacha na pobliskiej stajence, ale to pewnie sprawka jakiegoś szwendającego się kota. Od zawsze ich tu pełno. W końcu zdecydowała, że pójdzie w stronę hotelu PTTK, tak też uczyniła. Najpierw jednak schyliła się i otworzyła pułapkę, wypuściła mysz i dopiero wtedy ruszyła dalej. Wciąż pusto, ta eskapada to było czyste szaleństwo. Powinna była iść po psa albo w ogóle tego zaniechać, tym bardziej że krzyk się więcej nie powtórzył. Postanowiła dojść do ulicy Teatralnej i wrócić. To było jeszcze z dwieście metrów do pokonania, nie więcej. W pewnej chwili zobaczyła

kogoś siedzącego na ławce. Poczuła niepokój, palce mocno zacisnęła na cegle i ruszyła w tamtym kierunku. Kiedy była już blisko, nagle wypuściła cegłę z ręki.

– O kurwa mać! – wyszeptała.

Teraz widziała dokładnie, to był mężczyzna, jego martwe, szklane oczy błyszczały w świetle księżyca, a w jego piersi tkwił zwykły kuchenny nóż, takich jak ten było pełno w szufladach szafek milionów Polaków. Tkwił zatopiony w ciele zabitego prawie po samą rękojeść. Zuza czujnie się rozejrzała, czy aby morderca gdzieś się jeszcze nie czai, ale nie było już po nim śladu. Odetchnęła z ulgą. Nachyliła się nad nieboszczykiem, żeby mu się lepiej przyjrzeć i… To przecież Szczawiński, stwierdziła. Dopiero teraz go poznała. Brutalny mord przerwał jego przestępczy żywot. To na pewno nie była robota tego psychopaty. Pewnie ktoś wyrównał z nim rachunki, być może ktoś z rodzin jego ofiar sprzed lat. Musiał mieć mnóstwo wrogów.

Zuza na szybko zastanawiała się, co teraz powinna uczynić. W sumie nic tu po niej. Lepiej stąd zniknąć niepostrzeżenie, aniżeli narazić się na godziny durnych przesłuchań, i nie odpowiadać na niewygodne pytania. Tym bardziej ona akurat miała motyw. Jeszcze raz się rozejrzała i nie widząc nikogo, zabrała cegłę, z którą przyszła, po czym powoli się oddaliła. Wróciła do domu i już się nawet nie próbowała położyć, mimo że była dopiero godzina czwarta; nie byłaby w stanie zasnąć. Właściwie powinna otworzyć szampana, ale patrząc z innej perspektywy, przed chwilą zginął człowiek. No właśnie, znów w Płocku giną ludzie. Ona sama w pojedynkę świata nie zbawi. Unieszkodliwi jednego psychola, to zaraz pojawią się następni. Wciąż przed oczami miała twarz Szczawińskiego, jeszcze niedawno swojego prześladowcy. Zaparzyła herbatę, zapaliła ekstra mocnego, nalała sobie kieliszek stocka i sięgnęła po książkę, znów po Prousta. Wrzód wskoczył na kanapę i się do niej przytulił. Borys położył się u jej nóg i zaczął lizać jej stopy. Tylko Zgaga spała, od strony jej klatki słychać było charakterystyczne kłapanie dziobem, tak głośno chrapała. W końcu tuż przed świtem i Zuza poległa, być może to była zasługa Prousta, ciężaru jego twórczości.

Obudziło ją natarczywe pukanie. Zaspana, potykając się o własne nogi, doczłapała do drzwi i je otworzyła. W progu stała sublokatorka, cała roztrzęsiona, zapłakana.

– Widziała pani może Tomaszka? Mój syneczek zaginął.

– Sprawdź na izbie wytrzeźwień i w areszcie – odparła Zuza zgryźliwie i zatrzasnęła drzwi z hukiem tuż przed jej nosem. – Bezczelna suka, budzi mnie skoro świt z tak błahego powodu. A co mnie obchodzi ten skurwysynek? I tak skończy w kryminale – mruknęła do siebie i wróciła na kanapę.

Blisko południa Zuza wyszła z mieszkania. Idąc do kancelarii na starym rynku, zobaczyła znanego już jej z widzenia rysownika. Szkicował portret jakiejś licealistki zmierzającej do Małachowianki. Wszędzie go pełno, chyba bardzo potrzebuje pieniędzy, stwierdziła. Otoczył go wianuszek innych dziewcząt i podziwiały efekt jego pracy. Sądząc po ich minach, portret im się spodobał. Natychmiast odżyło w niej pragnienie posiadania własnego wizerunku i powieszenia go w gabinecie. Czy to aby nie za duża próżność? – zastanawiała się.

– Dzień dobry, pani mecenas.

To prokurator, ten, co prowadził sprawę Mariańskiego. Dobrze, że się spotkali.

– Dzień dobry. Świetnie, że pana widzę. Kiedy wreszcie wypuścicie mojego klienta? Moja cierpliwość się kończy i zamierzam złożyć zażalenie na areszt. To niedopuszczalne, że go jeszcze przetrzymujecie.

– Czy koleżanka ma na myśli tego milicjanta? Jeśli tak, to próżne pani nadzieje, posiedzi jeszcze długo. Nie ma żadnych podstaw do zwolnienia.

– Czy aby na pewno? Na pistolecie widać próby usunięcia odcisków palców. Po co miałby to robić, skoro to jego spluwa? To nie ma sensu. Na kielichu nie ma jego odcisków palców, a zatem nie ma dowodu, że on go tam schował. Pokój nie jest zamykany i każdy mógł tam wejść, a obciążają go jedynie zeznania kryminalisty i do tego recydywy. Od kiedy prokuratura takim ludziom tak bezgranicznie wierzy? No, chyba że on mówi to, co chcecie usłyszeć – zadrwiła.

– To już pomówienie. Wiem, do czego koleżanka zmierza, ale tym razem nie uda się pani omamić sędziego.

– A co? Już ustaliliście między sobą, kto będzie sędziował? Domyślam się nawet kto. Nie liczcie, że na pierwszej instancji się zakończy. To wszystko jest ukartowane. Ciekawi mnie, kto za tym wszystkim stoi. Podejrzewam, że nawet pan o tym nie wie. Tak czy owak mam dla was niespodziankę, taką przedświąteczną, która wywróci wszystko do góry nogami, ale z nią pójdę do pana zwierzchnika.

– Droga koleżanko, to, co pani twierdzi, to jakaś paranoja. Jeszcze raz powtarzam, że nie ma takiej siły, która by go zwolniła z aresztu. Może przedawkowała pani koniak. Proszę udać się do specjalisty, to taka dobra rada udzielona z troski o pani zdrowie. Miłego dnia – rzekł z cynicznym uśmiechem na twarzy, po czym skłonił się szarmancko i poszedł.

Sukinsynu, jeśli dojdzie do rozprawy, w co wątpię, to tak skopię cię po jajach, że będziesz wył z bólu. Obiecuję ci to, ja, Zuza Lewandowska.

Po tym spotkaniu jednego była pewna – że gdyby nie materiał, który nagrała, to Mariański nieprędko pożegnałby się z kratami. Władza dalej zamierzała iść w zaparte i doprowadzić do procesu.

Weszła do swojego pokoju i rozsiadła się w fotelu. Z szuflady wyjęła grypsy Mariańskiego i dla poprawy humoru zaczęła je przeglądać.

Opara, jak stond wyjdziemy to zwalniamy was. Nie wykonaliźcie roskasu prowokacii. Mieliźcie jej coś potszucić. Natyhmiazd pszyniecie mi Radomskie! Natyhmiazd!

Zuza zerknęła na następny liścik.

Opara, nie damy rady tak dłużej rzyć. Macie mi przynieźć nastepnego torta. Macie tam włoszyć pilnig a nie line. My mamy piowa kraty a nie wierzać się!

I kolejny.

Opara, wy jezdeźcie jakiź debil. Z torta wystawał pilnig. Klawisze go znaleśli i nic z tego. Pszynieźcie mi placek. Wiecie co mam na myźli.

Jolka wkroczyła do pokoju z tacą, a na niej prócz przecudnie pachnącego earl greya duży kawał tortu.

– Herbata, pani mecenas.

– A to z jakiej okazji? – zdziwiła się Zuza.

Aplikantka zarumieniła się. Wyciągnęła rękę w jej kierunku, demonstrując złoty pierścionek na palcu.

– Zaręczyłam się.

– Co? Czyś ty na głowę upadła? – wsiadła na nią. – A na co ci chłop? Mało ci kłopotów życia codziennego, to jeszcze chcesz sprowadzić sobie taki balast? To przecież truteń. Pamiętaj, zamążpójście to jak zjazd do kopalni, światło dzienne zobaczysz dopiero wtedy, kiedy się rozwiedziesz. A w ogóle, co to za kamień? Chyba lupy potrzeba. Znam go? Jak ma na imię?

– Tolek.

– Tolek Banan, jak w filmie. Mam nadzieję, że z niego żaden banan. Co robi? Pewnie jeszcze studiuje, bo rachunki za telefon wciąż są wysokie. Połączenia z Warszawą słono kosztują.

– Pani mecenas ja za wszystko zapłacę.

– Zostaw to. Nie zbiednieję, jak ci w szczęściu pomogę. – Zuza się w końcu zreflektowała. Że jej się nie udało sobie życia ułożyć, to nie znaczy, że Jolka również źle trafi. – Co studiuje ten szczęściarz?

– Prawo. Już je kończy.

– No proszę, brzmi dobrze. Gdzie wybiera się na aplikanturę?

– Chciałby być adwokatem, ale pewnie wyląduje w prokuraturze. Nie ma znajomości, a i na studiach zbytnio się nie przykładał do nauki.

– Pogadaj z Kowalskim, może go przygarnie. Wciąż stroszy do ciebie piórka, to może ci nie odmówi. Ja nie mogę mieć tylu aplikantów, tym bardziej że w czasie tej zadymy z rakiem sporo spraw pospiesznie zakończyłam. Niestety, tego już nie odkręcę, wyroki są prawomocne. Tylko nie wysyp się przed nim, że to twój chłopak. Najlepiej powiedz mu, że to twój kuzyn, chłopaka nie przyjmie, od razu pojawi się mnóstwo przeszkód.

– Bardzo pani dziękuję. Zaraz pójdę porozmawiać.

– Przy okazji przynieś mi materiały dotyczące tego Błaszczaka. Trzeba bardziej nacisnąć na prokuratorów, żeby zwolnili Mariańskiego. Jutro ich szef wraca ze zwolnienia lekarskiego, to wybiorę się do niego i puszczę mu nagranie z Pawłowicz. Myślę, że z wrażenia wciśnie go w fotel. W każdym razie na to liczę. Jeszcze jedno, znajdź mi adresy rodzin tych kobiet, ofiar psychopaty. A tak swoją drogą, zobacz, jak niebezpiecznym miastem jest Płock. Taka niby prowincjonalna dziura, a ulice dosłownie krwią spływają. Jak jednego psychola dorwiemy, to zaraz pojawia się następny. Wyrastają jak grzyby po deszczu. To miasto to jest prawdziwa wylęgarnia pojebów. Może to wpływ Petrochemii, może te

wszechobecne smrody mieszają ludziom w głowach? A może piją nieprzegotowaną wodę z Wisły? Sama już nie wiem, co o tym myśleć.

– Też tak pomyślałam. Aż dziwne, że w mieście jest pełno turystów.

– To się w końcu zmieni, za czterdzieści lat ulice starówki będą puste, centrum miasta będzie jak wymarłe. Kiedyś wspomnisz moje słowa.

– Myśli pani, że wszystkich wymordują? – wyszeptała Jolka z przerażeniem.

– Nie, myślę, że ludzie będą się bali wychodzić z domów, ale to już pewnie nie będzie moje zmartwienie. Ja przy moim niezdrowym trybie życia nie dożyję tych czasów. No dobra, pogadałyśmy, a teraz ruszaj dupę po papiery.

W komitecie wojewódzkim już od samego rana był ogromny ruch. Towarzysze mijali się na korytarzach prawie w biegu, a wszystko przez niezapowiedzianą wizytę towarzysza Jaruzelskiego. Pierwszy sekretarz na szybko ściągnął malarza, tego artystę od portretów. Wprawdzie zasłynął on głównie szkicowaniem kobiet, ale tym razem miał uwiecznić samego generała. Zgodził się na to, choć z wahaniem, jednak wysoka gaża złamała jego wewnętrzny opór ideologiczno-moralny, w myśl zasady, że każdego można kupić, kwestią jest tylko kwota. Teraz siedział w sekretariacie i dla zabicia czasu szkicował portret Frani, sekretarki. Kiedy skończył, wyjął z torby mazak i prowokacyjnie dorysował jej czerwony krawat. Wreszcie nadszedł Jaruzelski i malarz skupił się na nim. To trwało niecały kwadrans, a na koniec na portrecie pojawiły się wielkie czarne okulary zakrywające pół twarzy. Sądząc po minie generała, nie bardzo mu się to spodobało, sekretarz też nie wyglądał na zachwyconego, a więc wypłata stała pod wielkim znakiem zapytania.

– Wierzyliśmy w was, a wy nas zawiedliście. Wynoście się – szepnął do niego sekretarz tak cicho, żeby gość tego nie usłyszał. A zatem wypłatę chuj strzelił, pomyślał Portalski.

Kowalski razem z Zuzą udał się do garażu. Skręcało go z ciekawości, bo już od Nowaka sporo słyszał o nowej bryce koleżanki. Zuza zamaszyście otworzyła garaż. Mercedes zabłyszczał w słońcu krwistoczerwonym lakierem.

– No i? Podoba ci się? – spytała zaczepnie, no bo jak by mogło być inaczej?

Cisza. Kowalski powoli podszedł do samochodu, zajrzał do środka. Obszedł go i znów zajrzał do środka.

– No i co? Głos ci odebrało? – zadrwiła. Wiedziała, że aż go skręciło z zazdrości, że będzie z utęsknieniem czekać na pierwsze zarysowanie, na pierwszą awarię lub stłuczkę. To był cały Kowalski, od lat walczył ze swoją chorobliwą zazdrością, ale wciąż z nią przegrywał.

– Niezły, ciekawe, czy nie był tłuczony? A jak z przebiegiem, pewnie licznik przekręcony. Teraz to wszyscy je kręcą i później rzęchy sprzedają na giełdzie.

– Kurwa mać – zdenerwowała się. – Czy w końcu usłyszę choć jedno słowo zachwytu? Przecież ten mesio jest piękny. Gdzie go tu porównywać do twojego francuza, którego rdza już ze wszystkich stron napoczęła? Nie ma to jak niemiecka solidność. Nic jej nie dorównuje – wbiła mu szpilę prosto w serce, bo dobrze wiedziała, jak on kocha swoje auto, jak jest dumny z tego swojego peugeota.

Udał, że tego nie usłyszał.

– Dużo za niego dałaś? Pewnie przepłaciłaś?

– A co? To nie było z twojego portfela. Stać mnie.

Wsiadł do środka, poruszył kierownicą.

– Chyba ma luzy, a ta skóra na siedzeniach to pewnie zwykła derma.

Zuza z rezygnacją pokręciła głową. I jak takiego nie pierdolnąć w łeb? Będzie na siłę udowadniać, że jego samochód jest lepszy, że kupiła byle co. Niech szuka. Nieważne, co jej powie, swoje będzie myśleć i to jest piękne. Zapaliła papierosa i cierpliwie czekała. Wreszcie Kowalski skończył.

– Muszę przyznać, że ładny egzemplarz.

Musiało to go sporo kosztować. To było prawie jak przyznanie się do zabójstwa.

– Wiem, może kiedyś dam ci się nim przejechać, ale nie dziś.

Zatrzasnęła z hukiem bramę. Zasunęła skobel, założyła na niego kłódkę, przekręciła klucz i schowała go do torebki.

– Mogę cię zaprosić do siebie na kawę, ale od razu ostrzegam, że mam podłą. Ja nie piję, a gości miewam od święta, więc nie dbam o to.

– Nie, nie mam czasu – odparł, a jego mina mówiła wszystko. Wszystko, byle nie wizyta w tym małym zoo. Wystarczyła mu jego papuga i związane z nią kłopoty. – Idę do klientki. Kobieta po wypadku i nie jest zbytnio mobilna.

– No proszę, co za godna pochwały postawa. Honorujesz zwolnienia lekarskie – zakpiła. – Skoro nie dasz się skusić, to zmieniam plany. Zajrzę do proboszcza, od dawna zaprasza mnie na herbatę, która w ramach pomocy przyjechała w tirze z Niemiec. Nie rozdał jej hołocie, to mi się podoba, boby popijali nią salceson i mortadelę, a to wołałoby o pomstę do nieba. Obiecał podarować mi kilka paczek. Muszę kuć żelazo, póki gorące, bo się ta sknera jeszcze rozmyśli.

– To może i ja się załapię?

– Ty? – Spojrzała na niego zdziwiona. – Nie musisz iść do klientki? A z jakiej racji? Umiesz grać na czymś poza moimi nerwami?

– W szkole uczyłem się na mandolinie, a klientka poczeka.

– Mandolina, powiadasz? To taki pedalski instrument. Prawdziwy facet rwie struny na gitarze elektrycznej. Dobra, jak chcesz. Mogę cię zabrać, tylko lepiej nie wychylaj się z tą mandoliną.

Proboszcza zastali na plebanii. Widząc ich, ostentacyjnie zerknął na zegarek.

– O tej porze prędzej bym się diabła spodziewał, ale zapraszam.

Kowalski był u niego pierwszy raz, dlatego zdumiała go perkusja w salonie, co w mig zauważył duchowny.

– Gra pan na czymś? – spytał.

Adwokat spojrzał na Zuzę. Jej mina mówiła jedno: „Milcz!".

Ale on kochał robić jej na przekór.

– Grałem na mandolinie.

Proboszcz zrobił wielkie oczy.

– Na mandolinie? – wydukał.

– Tak, i to całkiem nieźle. – Kowalski brnął dalej.

– A na gitarze sobie, synu, poradzisz? Mandolina to taki pedalski instrument – rzekł z nutką uszczypliwości w głosie.

– Nie próbowałem.

Proboszcz podszedł do szafy i wyjął z niej gitarę. Podłączył ją i gestem dłoni przywołał Kowalskiego, po czym wcisnął mu ją w ręce.

– Ja gram na bębnach, ale o tym pewnie wiesz, bo to żadna tajemnica. Chcesz nuty?

– A co mam grać? – wydukał Kowalski, mocno wystraszony. – Ja nie grałem od lat, nic nie pamiętam.

– Spokojnie, tego się nie zapomina, tak samo jak jazdy na rowerze czy pływania. Dasz radę.

Zuza z trudem się hamowała, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Tym razem Kowalski nie mógł mieć do niej pretensji, bo go ostrzegała. Teraz niech pije piwo, którego sobie sam nawarzył. W oczekiwaniu na występ wygodnie rozsiadła się na fotelu i wyjęła papierosy. Proboszcz umościł się za bębnami i chwycił pałeczki.

Po godzinie Zuza z ulgą opuściła plebanię, bo już po kwadransie poczuła się niczym piąte koło u wozu. Duzi chłopcy w mig się dogadali i zupełnie zatracili w muzyce. Kowalski błyskawicznie połapał się w grze na gitarze i razem stworzyli całkiem niezły duet. Nic tu po niej, pomyślała, wzięła obiecaną jej herbatę i wyszła, a oni nawet tego nie zauważyli.

Był późny wieczór. Jaruzelski dawno już opuścił Płock, a w komitecie sprzątano po poczęstunku, którym go jeszcze tuż przed wyjazdem uraczono. Frania, sekretarka, jako jedna z ostatnich opuściła budynek. Mieszkała w bloku przy wieży ciśnień, więc do domu wybrała się piechotą. Ulica była pusta, jedynie co chwila pod murami przemykały bezpańskie kocury. Kiedy kobieta mijała pomnik Władysława Broniewskiego, usłyszała czyjeś kroki za sobą. Odwróciła się raptownie. Może kilkanaście metrów za nią stał jakiś mężczyzna. Głowę skrywał mu kaptur, więc nie widziała jego twarzy. Okolicznych lumpów i kryminalistów znała, bo wychowała się w tej okolicy. Ich się nie bała. Ten mężczyzna nie wyglądał na miejscowego, choć z racji nakrycia głowy nie była tego do końca pewna. Ruszyła dalej, co chwila zerkając nerwowo za siebie. Nieznajomy podążył za nią. W pewnym momencie przyspieszył i ją doścignął.

– Znamy się? – Sama go zaczepiła, próbując dojrzeć jego twarz.

Nic na to nie rzekł. Kobieta była coraz bardziej przerażona, podświadomie wyczuła niebezpieczeństwo, ale nim uczyniła jakiś obronny ruch, mężczyzna rzucił się na nią. Przewrócił Franię na chodnik i zaczął dusić.

– Cuchniesz, jak każda baba – szepnął jej do ucha.

Był silny, ona mała, drobna kobietka, nie miała żadnych szans, ale mimo to zażarcie się broniła. Próbowała odepchnąć go, drapała, gryzła, to wszystko było za

mało. Charczała, piana toczyła się jej z ust. Napastnik coraz silniej zaciskał palce na jej szyi, w końcu kobieta poddała się, znieruchomiała. Zabójca dźwignął się do góry, rozejrzał dokoła, ale ulica wciąż świeciła pustkami. Chwycił swoją ofiarę za nogi i odciągnął ją na schodki poniżej pomnika. Sięgnął ręką pod jej płaszcz, rozrywał odzienie, wszystko po to, by ścignąć z niej figi. Następnie ułożył ciało na lewym boku z podkulonymi nogami, po czym wcisnął zdobyczne majtki w kieszeń i wolnym krokiem ruszył w stronę bulwaru Górki.

– Kurwa mać! – ryknęła Lewandowska, ciskając teczkę na blat biurka. – Zabójca jak dotąd zupełnie bezkarnie zabił siedem kobiet, wszystkie miały najwyżej dwadzieścia osiem lat, przypuszczalnie w ogóle się nie znały. A w ogóle, co to za moda na kaptury? Prawie każdy młody facet nosi go na łbie. Powinni tego zakazać. Co robi milicja w tej sprawie? Pewnie gówno, bo szuka wrogów komunizmu, to od zawsze jest dla nich priorytetem.

– Może jednak? – wtrąciła nieśmiało aplikantka.

– Co jednak? – Zuza rzuciła Jolce wyzywające spojrzenie. Nie lubiła, kiedy ktoś próbował negować jej wnioski.

– Może gdzieś się kiedyś spotkały? Na jakiejś imprezie? Może na prywatce?

– Tak, najprędzej na obozie pionierów – zakpiła. – Jedna z ofiar w Płocku była przejazdem, inna pracowała od tygodnia, a mieszkała w Sierpcu. Nic tu nie pasuje. Wszystko wskazuje na to, że zabójca wybiera je zupełnie losowo. Może robi wyliczankę, na kogo wypadnie, na tego bęc.

Kowalski wszedł niespodziewanie do pokoju, trzymał w ręku gazetę.

– Wczoraj wieczorem ktoś zamordował sekretarkę pierwszego sekretarza komitetu wojewódzkiego. Rano znaleźli ją uduszoną przy pomniku Broniewskiego.

– Mariański by powiedział: „Przesłuchać pomnik na tę okoliczność” – zażartowała Zuza. – A zatem mamy ósmą ofiarę. Trzeba by Jolkę wypuścić w nocy na wabika. – Mrugnęła okiem do Kowalskiego. – Milicjanci obstawią okolicę i złapią zabójcę na gorącym uczynku.

– Jak już mnie udusi?

– To szczegół, ważne, że odhaczą sukces – odparła, sięgając po ekstra mocne.

– O nie, nie mam w sobie tyle odwagi co pani. Ja nie piszę się na taką akcję.

– To nie była odwaga, tylko prawdziwe szaleństwo – zauważył Kowalski. – To było dwoje psychopatów, cudem przeżyłaś.

– Nie przesadzaj, miałam wszystko pod kontrolą. Jolka, daję ci dwa dni na obejście rodzin ofiar i poszukanie jakiegoś wspólnego punktu. Bez znalezienia go nie pokazuj mi się na oczy. Skoro masz teorię, to ją obroń, udowodnij mi, że masz rację.

– Ale sama pani powiedziała, że nic ich nie łączy – zaprotestowała dziewczyna, czując, że za bardzo wyszła przed szereg.

– Tak, ale ty uważasz inaczej. W końcu jesteś prawnikiem. Ja zaraz mam spotkanie z szefem prokuratury. – Zuza zerknęła na zegarek. – Cholera, już jestem spóźniona. Czas na ostateczną rozgrywkę w sprawie Mariańskiego. Kaktus mi na dłoni wyrośnie, jeśli do jutra nie wyjdzie z aresztu.

Kowalski spojrzał na nią zaintrygowany.

– Czyżby jakiś przełom w jego sprawie? Masz coś nowego?

– Powiem tak: mam to od jakiegoś czasu, ale chciałam, żeby jeszcze kilka dni posiedział, żeby więcej pocierpiał, i dlatego nie spieszyłam się z ujawnieniem pewnej taśmy nazwanej przeze mnie taśmą prawdy. Milicja wciąż nie wierzy w cuda techniki, a ja je uwielbiam i dzięki temu nagrałam szczere wyznania kapitan Pawłowicz. – Szeroko się uśmiechnęła. – Oj, była szczera aż do bólu i chwała jej za to.

Poderwała się z fotela, wcisnęła magnetofon kasetowy do torebki i wybiegła z kancelarii.

– Nie znam nikogo tak szalonego jak ona – skwitował Kowalski rozmowę.

– Miałam dużo szczęścia, że do niej trafiłam. Wiele się nauczyłam.

– Szkoda, że do mnie nie trafiłaś, nauczyłbym cię o wiele więcej – powiedział z uśmiechem.

– Mój kuzyn kończy prawo i marzy o tym, żeby zostać adwokatem. Nie przyjąłby go pan na aplikację?

– Powiadasz, że to kuzyn? – Świdrował ją podejrzliwym wzrokiem.

– Tak, syn siostry mojej mamy – kłamała bez zająknięcia.

– No tak, to kuzyn – mruknął Kowalski. – Dobrze, niech przyjdzie do mnie, to porozmawiamy. Zobaczymy, co da się zrobić. Co dziś robisz po południu? Masz

jakieś plany?

– No właśnie, słyszał pan przed chwilą, jak szefowa zaplanowała mi najbliższe dni. Nie będę miała czasu nawet się w nos podrapać. A co?

– Nie, nic ważnego, już nie.

Szef prokuratury na widok Zuzy wkraczającej do jego gabinetu sztucznie się uśmiechnął. No cóż, od zawsze nie przepadali za sobą. Właściwie to prawie nikt w prokuraturze jej nie lubił.

– Co szanowną koleżankę do mnie sprowadza? Mam nadzieję, że to wizyta stricte czysto towarzyska? Proszę usiąść, każę sekretarce zaparzyć herbatę, bo wiem, że koleżanka kawy nie pija. – Wysilił się na uprzejmość.

– Nie, dziękuję. Spieszę się i dlatego od razu przejdę do konkretów. To taka audycja radiowa pod tytułem *Ukryty mikrofon*.

Wyjęła z torebki magnetofon. Prokurator, widząc to, niespokojnie poruszył się w fotelu.

– Nagrałam bardzo ciekawą wypowiedź kapitan Pawłowicz. Co za urocza osóbka. Chciałabym, żeby kolega zapoznał się z tym i się do tego ustosunkował, i to w miarę szybko.

Wcisnęła przycisk.

Głos Pawłowicz brzmiał bardzo wyraźnie. Trudno byłoby podważyć wiarygodność tego nagrania.

Prokurator wysłuchał w milczeniu. Był wściekły, że milicjantka dała się tak podejść.

– Czego koleżanka ode mnie oczekuje?

– Jak to czego? – Nie kryła zdziwienia. – W świetle nowych okoliczności Mariański jest niewinny. Skoro podrzucono mu kielich, to i sprawa z pistoletem jest mało wiarygodna. Chcę go zobaczyć na wolności. Nic więcej.

Prokurator roześmiał się w głos.

– I kto to mówi? Najzacieklejszy wróg kapitana negocjuje jego uwolnienie. Koleżanka wie, że jak on wyjdzie, to od nowa będzie bruździł koleżance? To już taki typ. Więzienie go nie zmieni.

– Owszem, wiem, że jest z niego kawał skurwysyna, ale staram się rzetelnie wykonywać swoje obowiązki i to wszystko.

– Za rzetelnie, koleżanko. Dużo za rzetelnie.

– Może i tak, ale przynajmniej śpię spokojnie. A wracając do sprawy, czy kolega przychyla się do mojej gorącej prośby o uchylenie aresztu kapitanowi Mariańskiemu? – spytała z nieskrywaną drwiną w głosie.

Prokurator ostentacyjnie westchnął.

– A mam inne wyjście?

Po czym sięgnął po słuchawkę.

Zuza postanowiła dziś świętować. Trzeba powiedzieć, że było co. Wprawdzie jej śmiertelny wróg opuścił kryminał, ale jako prawnik odniosła następny sukces. W Pewexie za ostatnie bony Pekao kupiła prawdziwego francuskiego szampana, szwajcarską czekoladę i duńskie ciasteczka. Wracając do domu, u rzeźnika załatwiła Borysowi wielką wołową kość, a w warzywniaku przy Grodzkiej kolbę kukurydzy dla Zgagi. Nie miała nic dla Wrzoda, więc zajrzała do sklepu zoologicznego. W pierwszej chwili kusił ją zakup białej myszki, ale kiedy spojrzała w jej piękne oczka, zmiękła i kupiła mu mysz zabawkę. Teraz mogła już wracać do domu i świętować.

Na klatce schodowej spotkała pana Tadzia.

– Witam szanowną sąsiadkę. Dawno się nie widzieliśmy. Nie ma pani może jakiejś fuchy dla mnie? Ta emerytura mnie zabija. Dobrze, że chociaż mam polowania i czasem pójdę na ryby, bo inaczej bym zwariował, ciągle wysłuchując biadolenia baby. Ile można tego słuchać?

– Pamiętam o panu, ale ostatnio panuje zastój.

– Nie dziwię się. Po tej akcji pod kościołem na Górkach nie spałem wiele dni, a byłem tylko zwykłym statystą. Słyszała pani o tym synalku pani sublokatorów?

– O tym gnojku Tomaszku? Nie, a co znów ten gagatek wywinął?

– Przyjechała po niego milicja i go zabrała.

– Najwyższa pora i oby nie wrócił. Niech sukinsyna zamkną w poprawczaku na wieki wieków, amen.

– Powinna się pani cieszyć, to w przyszłości pani potencjalny klient.

– Panie Tadziu, tylko nie on. Nie dość, że wredny sukinsynek, to jeszcze debil jakich mało, Mariański mi wystarczy. Właśnie zaraz będę świętować jego uwolnienie. – Pokazała sąsiadowi szampana. – Widzi pan, oryginalny. Chyba się uchlam w trupa z radości i rozpaczy. Jako adwokat upiję się z radości, a jako człowiek z rozpaczy. Niezła wiązanka nastrojów, nieprawdaż?

– Oj sąsiadko, szkoda wątroby, lepiej wypić kieliszeczek naleweczki tak dla zdrowotności. Przyniosę pani buteleczkę, zrobiłem z czarnej porzeczki, palce lizać. Przekona się pani. Teraz biegnę w kolejkę do rzeźnika. Mają dziś tuż przed zamknięciem rzucić schab, dostałem cynk od kierowniczki.

– Ale to jeszcze kilka godzin.

Nie kryła zdziwienia. Ona by tyle czasu nie czekała, wolałaby odpuścić sobie pieczeń czy kotlet.

– Nie szkodzi, mam czas. Wolę to niż słuchać ciągłych żalów swojej baby. Przy okazji usłyszy się jakieś nowe ploteczki. Do widzenia.

Pan Tadzio poszedł, a Zuza kontynuowała wspinaczkę na drugie piętro. Cholera, kolana ją bolały, to pewnie reumatyzm, pierwsze oznaki starzenia się. Musi się wziąć za siebie. Kiedy otwierała drzwi z klucza, schodami niczym cień przemknął ten student, co wynajmował pokój od pana Tadzia. Znów zapomniała sąsiada podpytać o niego. Był jakiś dziwny, wyraźnie unikał jej wzroku. Jedynie niewyraźnie bąknął pod nosem „dzień dobry" i tyle go widziała.

W mieszkaniu panowała zadziwiająca cisza i, co najważniejsze, było ciepło. Geńka wróciła z urlopu, chciała się wykazać i napaliła w piecu. Zuzę denerwowały te jej ciągłe urlopy. Było ich chyba ciut za dużo. Podejrzewała, że sprzątaczka ją bezczelnie nabiera. Powinna się temu przyjrzeć, zaprowadzić jakiś rejestr, ale wciąż o tym zapominała. Borys leżał na kanapie i spał jak zabity. Tego było już za wiele, kanapa jest tylko jej i wara od niej. Podeszła i bezceremonialnie go z niej zwaliła. Wyglądał na mocno zaskoczonego, co znowu ją zdziwiło. Przecież nigdy mu na takie rozpasanie nie pozwalała. Rozejrzała się czujnie po mieszkaniu. A gdzie jest Wrzód? To było już niepokojące. Zajrzała do kuchni. Kot spał na blacie szafki, między garnkiem a czajnikiem. Leżał na grzbiecie z uniesionymi łapami, była to co najmniej akrobatyczna pozycja. Nie, to już była bezczelność. On też, tak jak Borys, przekroczył Rubikon, bo nigdy nie wolno mu było zaglądać do garnków, choć z reguły były puste. Z trudem go dobudziła. Widząc ją, ledwie drgnął. Dopiero po chwili z nieskrywaną niechęcią zeskoczył na podłogę. Do cholery, co tu się

dzieje? Zajrzała do Zgagi. Też nie była sobą. Zamiast zarzucić ją stekiem wyzwisk, jedynie kilka razy kłapnęła dziobem i dalej spała. Zuza wróciła do kuchni i zerknęła do kubła na śmieci. Wyjęła z niego pustą buteleczkę z apteczną naklejką. Napis na etykiecie był nieczytelny, ale na pewno to był jakiś specyfik na uspokojenie. Teraz wyjaśniło się, dlaczego Geńka od jakiegoś czasu nie narzeka na zwierzyniec. Bezczelnie bez jej zgody faszerowała ich uspokajaczami. Zuza była wściekła. Zabije tę kurwę! Doigrała się, wywali ją na zbity pysk. Tym razem nie okaże miękkiego serca i nie zmieni decyzji.

Ktoś zapukał. Kogo diabli przynieśli? Poszła do przedpokoju i z rozmachem otworzyła drzwi. W progu stał Piosik.

– Czego znów chcesz?! – wydarła się, wyraźnie niezadowolona z tych odwiedzin.

– Pani mecenas, czemu pani na mnie krzyczy? – spytał z pretensją w głosie. – Ja tylko…

– Nie krzyczę, ale to wyjątkowo zły moment. O co chodzi? Tylko się streszczaj.

– Znów mnie nachodzili. Grożą mi, że mnie wywiozą do lasu i tam zakopią.

– Milicjanci? Dziwne, że cię nie wzywają na posterunek. Pogadam z Nowakiem, niech się zorientuje, o co w tym naprawdę chodzi. A teraz już idź, mam problem ze swoimi zwierzakami.

– A na co one pani? Nie lepiej byłoby się ich pozbyć?

– A czy ja cię proszę o radę? Masz paczkę papierosów i znikaj mi z oczu, bo nie ręczę za siebie.

Wzięła z regału radomskie i wcisnęła mu je w dłoń.

– Ale będzie pani o mnie pamiętać?

– Będę, będę, ale zaraz, poczekaj chwilę. – W tym momencie pewien pomysł zagnieździł jej się w głowie. – Słuchaj, a przyglądałeś się tej kłódce? Ile czasu byś na nią potrzebował?

Piosik spojrzał na nią niespokojnie. Pewnie czuł, że znów pcha go w ramiona przestępstwa. Wciąż powtarzała, żeby wziął się do uczciwej roboty, a jednocześnie co i raz namawiała go na łamanie prawa. Wprawdzie zawsze było to dla wyższego dobra, ale gdyby go wtedy złapali na gorącym uczynku, to wyższe dobro by się nie liczyło i poszedłby siedzieć bez dwóch zdań. Nie pomogłyby nawet najlepsze intencje.

– Myślę, że z dwie minuty.

Zuza pokręciła głową z podziwu.

– Nie myślałam, że jesteś aż tak dobry w tym fachu. Powinieneś pojechać na Wyspy Brytyjskie i obrabować Bank Anglii albo do Ameryki i zrobić skok na Fort Knox. Z takim talentem tu się marnujesz – rzekła ze śmiechem.

– Uczyłem się u samego mistrza, i to przedwojennego. Jego ręce robiły cuda. Kiedyś w nocy wyszedł z pudła, udał się na miasto, kupił pół litra wódki i wrócił, a żaden z klawiszy tego nie zauważył. Rano przeżyli szok, bo obydwaj byliśmy nawaleni jak pershingi.

– Bądź w Radziwiu zaraz za mostem dziś o dziesiątej, ja też przyjdę. Obejrzymy sobie tę tajemniczą barkę. Wprawdzie ktoś już tam przed nami był, ale może coś zostawił.

– A nie boi się pani iść tak po nocy? Ten czubek znów zabił kobietę.

– Z racji wieku raczej się go nie obawiam, ale zachowam czujność. Bądź tam, i to koniecznie, a teraz znikaj.

Czarna wołga zatrzymała się przy ulicy Kolegialnej, wsiadł do niej mężczyzna w długim ciemnym płaszczu i samochód odjechał.

– Co tu się odpierdala?! Mariański wyszedł z aresztu! – Kierowca zaczął krzyczeć na pasażera. – Jak to się stało? Miał tam gnić aż do końca. Taka była umowa. Najpierw ktoś włamuje się na naszą łajbę i wymiata nasze złoto, później prokuratura wycofuje zarzuty wobec tego starego chuja! Wiesz, jak to było ważne dla mojej koleżanki z Warszawy? Jej wdzięczność byłaby bezcenna. Wiesz, jak ona może być pożyteczna?

– Nie denerwuj się. Jeszcze nie wszystko stracone. Na Mariańskiego znów coś znajdziemy i go wsadzimy. To tylko kwestia czasu. Czemu tej twojej koleżance aż tak na tym zależy? Przecież to tylko prowincjonalny głupek.

– Nie wiem i gówno mnie to obchodzi. Nieraz lepiej o nic nie pytać. Miałeś przycisnąć tego jak mu tam?

– Piosika.

– No właśnie, Piosika. Co gadał?

– Że to nie on. Że to musiał być ktoś inny.

– Myślisz, że mówi prawdę? Może kręci?

– Nie, tego jestem pewien. Zdzichu przyłożył mu lufę tetetki do głowy. Znasz go. Wiesz, jak on potrafi być przekonywający. Oprych zmoczył się ze strachu, ale wciąż szedł w zaparte. On nie miał z tym nic wspólnego. To musiał być ktoś inny.

– Trzeba go koniecznie znaleźć. Wracając do tego grubego wieprza, to kto go wypuścił? Nazwisko?!

– Sam szef. Ponoć Lewandowska przyniosła do niego jakieś nagranie. Jego sekretarka szepnęła mi w tajemnicy, że nagrała Pawłowicz, jak przyznaje się do podrzucenia kielicha do biurka Mariańskiego. Nie miał wyjścia i musiał go zwolnić. Inaczej byłaby zadyma.

– W co gra ta suka? Zaślepiła ją chęć zemsty i jej chuć? Ponoć do tej pory przeleciała już wszystkich na komendzie. Nawet psu tropiącemu nie przepuściła. – Zarechotał.

– Musimy zrobić naloty na paserów i różnych kolekcjonerów sztuki. W Płocku jest ich niewielu, bardziej skupiłbym się na Warszawie. Pogadaj ze Zbyszkiem z komendy głównej. On tam od lat siedzi i zna to środowisko. Powiedz mu, że my w zamian załatwimy tego konowała, co wysłał jego ojca na tamten świat.

– Ale on go tam nie wysłał. Miał serce do dupy. Świetnie znam tę sprawę. Przez jakiś czas prowadziłem to dochodzenie.

– A czy to ważne? Kiedy chcesz udupić frajera, to jak się postarasz, to znajdziesz na niego paragraf. Zrobimy pokazówkę, Zbyszek jest zaślepiony nienawiścią i gorliwie spełni naszą prośbę.

– A może warto poszukać na Wybrzeżu? Ten ktoś może chcieć wywieźć to z kraju. Czyż nie ma lepszego środka transportu niż statek? Można to tam łatwo ukryć, jak choćby pod hałdą węgla.

– Nic tylko ten węgiel i węgiel. Jeszcze nadejdą czasy, że będziemy go przywozić z powrotem.

– Oj, kolego, tym razem odleciałeś, i to na całego. Węgla mamy na dwieście lat.

– Chuj z węglem, szukajmy włamywacza i jego zleceniodawcę, bo to była akcja na zlecenie, tego jestem pewny.

Było dobrze po dziesiątej, kiedy Zuza dotarła do Radziwia. Było nie było, musiała pokonać kilka kilometrów, i to na piechotę. Mogła pojechać samochodem, ale

wolała działać dyskretnie. Piosik był już tu wcześniej, to miał być przewodnikiem. Kiedy przyszła, już czekał, dreptał z zimna i nerwowo wyglądał na nią.

– Myślałem, że pani już nie przyjdzie.

– Nie znasz mnie? Spóźniłam się, bo ten pierdolony Tomaszek zaklinował drzwi wejściowe i nie mogłam wyjść. Szkoda czasu na gadanie, lepiej bierzmy się do roboty.

Ostrożnie, skradając się, ruszyli w stronę barki. Czuć było chłód od pobliskiej rzeki, szli prawie po omacku, bo było ciemno, mijając jakiś śmietnik, usłyszeli dziki pisk, coś przemknęło im pod nogami.

– Co to?! – krzyknęła Zuza, odskakując na bok.

– Spokojnie, pani mecenas, to tylko szczury.

– Nie cierpię szczurów!

W końcu doszli na miejsce, po wąskiej kładce bujającej się na wszystkie strony weszli na pokład. Zuza wyjęła z torebki latarkę i przyświecała Piosikowi. Poprowadził ją do stalowych drzwi. Za nimi znajdowały się kajuty załogi. Mężczyzna teraz skupił się na kłódce. Widziała, że ma z nią spory problem, nie poddała się łatwo jego palcom. Trzeba mu było przyznać, że dobrze obliczył potrzebny mu czas, bo w dwie minuty martwa materia uznała wyższość włamywacza nad swoimi zabezpieczeniami i drzwi do wnętrza barki stały przed nimi otworem. Tak grubych, a na dodatek obitych blachą, nie spotykało się nawet w bankach spółdzielczych. Czemu ktoś sobie zadał tyle trudu i wyłożył na to mnóstwo pieniędzy? Przecież to nie miało żadnego sensu, chyba że w środku przechowywało się coś bardzo cennego. Taka barka teoretycznie pozostawiona sama sobie mogła być bardzo wygodna, bo w pewnych niesprzyjających okolicznościach można by się wszystkiego wyprzeć i krzyczeć: „To nie moje! Nie wiem, skąd to się tu wzięło!”.

Weszli do środka. Wszędzie panował ogromny bałagan. Pozrywane prycze dla załogi, przewrócone stoliki, krzesła, sterty starych skrzynek po jabłkach, regał, słoiki, mnóstwo ich, ale wszystkie puste.

– Nic tu nie ma. – Zuza nie kryła zawodu.

– Może jakaś skrytka jest pod skrzynkami? – szepnął Piosik i zaczął je przerzucać, Zuza mu wciąż przyświecała. Już po odrzuceniu dwóch spod sterty wyłoniła się solidna skrzynia. Była zamknięta na skobel i kłódkę. Z tą Piosik uwinął

się w try miga. Zdjął wieko i Zuza aż zagwizdała z wrażenia, bowiem zobaczyła kielichy, patery, puchary, a wszystko błyszczało złotem.

– O kurwa mać! – zaklął oprych, zerkając niespokojnie na Zuzę. – Pani mecenas, co z tym robimy? Zabieramy ze sobą? Dużo tego.

– Nie! Niech cię łapy nie swędzą, a w ogóle coś mi tu nie gra. Przecież ktoś im się tu włamał, czemu tego nie zabrał? Nie szukaliby go tak intensywnie i przenieśliby skarb w inne miejsce.

– Może zabrał im coś innego? Może te puchary włożyli później?

– Co ty pierdolisz? Zawiedli się na tej ponoć niezawodnej kłódce i więcej nic cennego tu nie schowają. Wezmę coś stąd i zawiozę do znawcy. Niech rzuci na to okiem. Zobaczymy, co powie na jego temat. Nie wszystko złoto, co się świeci.

Wybrała najmniejszy kielich, tak żeby właściciel, czy też właściciele, nic nie zauważyli. Później podrzuci go z powrotem.

Nagle dobiegł ich z zewnątrz jakiś hałas.

Zuza zgasiła latarkę. Zamarli w bezruchu i nasłuchiwali. Po chwili wszystko ucichło.

– Spadamy stąd – szepnęła do Piosika i jako pierwsza wymknęła się z kajuty. On natychmiast podążył za nią, by na koniec zatrzasnąć kłódkę. Znów coś usłyszeli. To dochodziło z pobliskiej stoczni. Pewnie dozorcy popili sobie i teraz się kłócili.

Ruszyli w drogę powrotną, w stronę centrum miasta. Jak tylko zeszli z mostu, od razu się rozdzielili, żeby nie wzbudzać podejrzeń przypadkowych patroli milicji. Na placu Narutowicza takowy Zuzę zaczepił. Ciut ją to wystraszyło, bo przecież w torebce miała kielich. Jeśli każą jej ją opróżnić, to będzie problem, i to spory, bo trudno by było to jakoś logicznie wytłumaczyć.

– Dowodzik, obywatelko. A wy gdzie idziecie tak w środku nocy?

– Do domu.

Podała im dowód osobisty.

Milicjant najpierw oświetlił jej twarz latarką i zaczął czytać:

– Zuzanna Lewandowska. – Uniósł raptownie głowę i zaczął jej się ciekawie przyglądać. – To wy jesteście ta Lewandowska?

– Co znaczy ta? Proszę wyrażać się jaśniej.

– No, ta prawnik, adwokatka.

– Zgadza się, jestem adwokatem. Widzę, że pan porucznik słyszał o mnie.

– Nie jestem porucznikiem, tylko plutonowym.

– To tylko kwestia czasu. Widzę spory potencjał w panu, a inteligencję ma pan wypisaną na twarzy – schlebiała mu na wszelkie sposoby, nawet na koniec posuwając się do obrzydliwego kłamstwa, bo miał wyjątkowo prostacki pysk. Wszystko po to, żeby sukinsyn jej nie przeszukał.

– Powiadacie, że idziecie do domu, to idźcie, tylko uważajcie, bo jeszcze nie złapano tego świra, co morduje kobiety.

Milicjant oddał jej dowód i zasalutował.

– Spokojnie, będę czujna.

Ruszyła dalej, a zza pleców usłyszała:

– Szeregowy, macie może lusterko?

– A po co wam ono?

– Chcę zobaczyć tę intelegnecję na swojej gębie.

Z trudem się powstrzymała, żeby nie parsknąć śmiechem. Mijając ulicę Teatralną, dosłownie wpadła na jakiegoś mężczyznę. Wybiegł z jednego podwórza, by po chwili zniknąć w następnym. Coś niewyraźnego bąknął pod nosem, coś co przypominało „przepraszam", i tyle go widziała. Miał na głowie naciągniętą wełnianą czapkę, i to głęboko na czoło. Dziwne, że nie kaptur, pomyślała. Z sylwetki przypominał jej trochę tego malarza, co ostatnio plątał się po mieście i malował portrety zupełnie przypadkowym ludziom. Prawda była jednak taka, że takich mężczyzn w samym Płocku było na pęczki. Rozmasowała bark i poszła dalej.

Idąc Grodzką, usłyszała jakieś pojękiwania z akurat mijanej bramy. Spojrzała w tamtą stronę. Zobaczyła kobietę. Z trudem utrzymywała się na nogach.

Pijana? Nie, na taką nie wyglądała. Zuzę ogarnęło złe przeczucie. Podeszła bliżej i wtedy z przerażeniem zobaczyła, że kobieta jest cała zakrwawiona. Podeszła do niej blisko. Nie zobaczyła żadnej rany, więc skąd ta krew? Może nie jej. Posadziła tamtą na schodku pobliskiego sklepu. Zadbała, żeby się oparła plecami o mur.

– Nie ruszaj się – szepnęła do niej. Wyjęła latarkę z torebki i ostrożnie zajrzała w bramę. Początkowo nic nie zauważyła, dopiero jak weszła kawałek dalej, zobaczyła przy murze kogoś leżącego w kałuży krwi. To był mężczyzna. Co tu się, do cholery, wydarzyło? Wróciła na ulicę i rzuciła się biegiem w stronę Tumskiej,

rozglądając się bezradnie w poszukiwaniu pomocy. Dopiero nieopodal kina Przedwiośnie natknęła się na patrol, to byli ci sami milicjanci, co chwilę wcześniej ją legitymowali. Mieli krótkofalówkę, wezwali pogotowie ratunkowe i kogoś z kryminalnej, po czym wraz z Zuzą udali się na Grodzką. Ku jej zaskoczeniu kobieta zniknęła. Mężczyzna jeszcze dychał i zaraz pogotowie zabrało go do szpitala.

– Obywatelka musi pojechać na komendę i złożyć wyjaśnienia – oznajmiono jej.

Dopiero teraz przypomniało jej się, że w torebce wciąż ma ten przeklęty kielich. Wszystko by oddała, żeby się go pozbyć, rozglądała się bezradnie, ale nie miała jak.

Nie było innej rady, musiała wykonać polecenia milicji. Wsiadła do radiowozu, który akurat nadjechał, i zawieziono ją do komendy przy ulicy Słowackiego.

Tam zaprowadzono ją do jakiegoś pokoju na drugim piętrze i kazano jej czekać. Zapaliła papierosa. Czuła się tak, jakby ją ten kielich palił, jakby miał zaraz wypaść z torebki. Nagle wpadła na szalony pomysł, żeby go wcisnąć do śmietniczki stojącej tuż obok, przy drzwiach, ale nie zdążyła, bo ktoś szarpnął za klamkę. W chwilę potem do pokoju wtoczył się Mariański. Kogo jak kogo, ale jego się nie spodziewała. Przecież zaledwie wczoraj opuścił areszt. Wyjątkowo szybko wrócił do obowiązków.

Kapitan rozsiadł się na krześle po przeciwnej stronie biurka, z szuflady wyjął jakieś papiery i dopiero wtedy spojrzał tym swoim bezmyślnym wzrokiem na Zuzę.

– Nazwisko? – spytał oschle.

– To już mnie nie znacie? – Nie kryła zdziwienia jego zachowaniem. – Dupę wam uratowałam, z kryminału wyciągnęłam, a wy mnie już zapomnieliście? Macie aż taką sklerozę?

– Nazwisko? – powtórzył beznamiętnym głosem. – Jeśli nie odpowiecie, to pociągniemy was do odpowiedzialności za utrudnianie w dochodzeniu o próbę zabójstwa. Możemy was oskarżyć nawet o współudział. Nazwisko!

– Lewandowska – warknęła. Ty tłusty wieprzu, tak mi się odwdzięczasz? – pomyślała.

– Imię?

– Zuzanna – odparła, nie kryjąc irytacji. Sięgnęła po następnego papierosa.

– A kto wam pozwolił palić? – ryknął na nią.

– Tego już za wiele! – Puściły jej nerwy. – Owszem, wyszedłeś z pudła, ale jeszcze nie dostałeś ode mnie rachunku! Będzie kurewsko słony! Będziesz musiał wziąć kredyt w PKO, bo inaczej się nie wypłacisz. Wyrwę ci to z gardła, co do złotówki! Nie będzie za grosz litości!

– Spokojnie, uspokójcie się. – Mariański dopiero teraz się zreflektował. Zapewne dużo słyszał o gażach adwokatów, a być może przypomniało mu się właśnie, że kilka kwitów Zuzie podpisał in blanco. – Zuzanna Lewandowska, wpisujemy. Chcieliście rannemu pomóc i nie widzieliście, co się stało. Jeszcze kilka prostych pytań i jesteście wolni.

W kwadrans później opuściła pokój przesłuchań i poszła do wyjścia. Na korytarzu natknęła się na Pawłowicz. Prowadzono ją w kajdankach, mundur rozpięty, zerwane dystynkcje. Oj, chyba to koniec jej milicyjnej kariery. Tamta, widząc ją, wydarła się na całą komendę:

– Ty suko! Jeszcze mnie popamiętasz! Jeszcze, kurwo, przeklniesz ten dzień, kiedy mnie spotkałaś!

Udała, że nie słyszy, nie będzie się zniżać do poziomu rynsztoku. Jednego przynajmniej była pewna. Ta suka wiedziała, kto jej się przysłużył, i dobrze, niech wie.

Wyszła na ulicę i stanęła na chodniku, bezradnie się rozglądając. Była noc, a ona tkwiła w samym środku tak zwanych słodkich ulic, w centrum najbardziej niebezpiecznej dzielnicy Płocka. Tu nawet w biały dzień można było zarobić cegłą w głowę, a cóż dopiero o tej porze. Mało tego, w torebce miała kielich być może wart krocie. W oddali zobaczyła światła nadjeżdżającego auta. Może się zlituje i podwiezie ją w stronę domu. Zbliżało się. Machnęła na nie ręką. Zapiszczały hamulce. Zatrzymało się przy krawężniku, to taksówka. Otworzyła drzwi i zajrzała do środka. Znajoma twarz za kierownicą, to przecież Majchrzak. Jego syn grał na weselach.

I on ją od razu poznał.

– Witam panią mecenas. Co pani robi o tej porze w tak paskudnym miejscu?

– Lepiej niech pan nie pyta. Podwiezie mnie pan do domu?

– Jasne, proszę wsiadać.

Usiadła z przodu.

– Jak tam interesy, panie Sławku? Zagraniczniaków w Petropolu przez stan wojenny jak na lekarstwo i pewnie cienko przędziecie. Tak w każdym razie niektórzy powiadają.

– My to my, ale kurwy na pewno cienko przędą. – Zarechotał. – Nie ma kogo skubać z marek i dolarów, a miejscowi to mają jedynie złotówki, a te, jak każdy wie, są gówno warte. Ponoć na kondomy nawet nie wystarczą.

– Często jeździ pan nocami?

– Z dziennej roboty bym nie wyżył, a tak to nieraz trafi się pijany klient z dużym gestem.

– Słyszał pan pewnie o tym zabójcy, co morduje kobiety?

– Pani mecenas, a kto nie słyszał? Wszyscy. My też się boimy.

Zuza, słysząc to, roześmiała się.

– No raczej nie ma pan dwudziestu kilku lat i zgrabnej dupci, bo on tylko na takie poluje.

– A jak mu się odwidzi? Są tacy, co wyznają zasadę: „żeby życie miało smaczek, raz dziewczynka, a raz chłopaczek". Lepiej uważać.

– A nie wiózł pan kiedyś jakiegoś podejrzanego typka? Takiego, co się dziwnie zachowuje?

– Pani mecenas, w nocy to wszyscy tacy. Każdy ma wlane i przez to dostaje małpiego rozumu. Zdzisiek, ten co umarł, ten co jeździł starą wołgą... Wie pani który?

– Oczywiście.

To był najstarszy taksówkarz w mieście, zawsze nosił beret z antenką. Wszyscy go znali.

– Może miesiąc temu – kontynuował pan Sławek – wspominał o jakimś gościu, którego wiózł z dworca PKP. Wciąż mamrotał pod nosem, że wszystkie je pozabija. Zdzisiek się wtedy mocno wystraszył.

– A powiedział, jak ten klient wyglądał?

– Jakiś taki nijaki, w kurtce z kapturem. Twarzy dobrze nie widział, ale był młody. I te oczy.

– Co z tymi oczami? – spytała zaintrygowana.

– Widział je w lusterku, było w nich szaleństwo.

– A skąd wiedział, jak wygląda szaleństwo? Ja wielokrotnie miałam do czynienia z wariatami, ale tego do dziś nie wiem – zakpiła.

– Wiedział dobrze, bo jego brat siedzi w Tworkach. Jest niezłym psycholem. Zdzisiek znał się na czubkach jak mało kto.

– Mimo wszystko to tyle co nic – podsumowała. – Gdyby panu przytrafiła się podobna przygoda, to proszę mi dać znać i, co ważne, proszę się dobrze przyjrzeć temu klientowi.

– Aha, coś mi się przypomniało. Może z tydzień temu wiozłem dwóch takich kolesi. Byli wstawieni i jeden z nich mówił o pani, że panią dorwie i rozliczy za odsiadkę. Dali mu dożywocie, ale objęły go amnestie. Strasznie się o pani wypowiadał. Nie śmiałbym tego powtórzyć.

Zuza dobrze wiedziała, o kim mówi. Szczawiński nie dawał o sobie zapomnieć. Na szczęście wąchał już kwiatki od korzonków.

Zajechali przed dom Zuzy. Ledwie wysiadła z taksówki, kiedy coś wielkiego rzuciło się na nią i gdyby nie oparła się o mur, jak nic leżałaby na chodniku, i to jak długa. To Borys, wracał do domu z nocnej eskapady. Geńka widocznie musiała zajrzeć do niej wieczorem i go wypuścić. Tyle razy jej mówiła, żeby się nie ważyła, bo ktoś mu w końcu krzywdę zrobi.

– Ty hultaju! Zostaw mnie! – ryknęła na niego, po czym chwyciła psa za obrożę i pociągnęła go do kamienicy. Na klatce schodowej ciemno jak zawsze. Kiedyś mawiała, że jak w dupie u Murzyna, ale po poznaniu Eduarda z szacunku dla niego przestała się tak wyrażać. W towarzystwie Borysa czuła się pewniej. W połowie drogi psisko groźnie zawarczało i szarpnęło do przodu, z trudem go utrzymała. Ktoś zbiegł z trzeciego piętra. W półmroku dojrzała jedynie jakąś sylwetkę. To był szczupły mężczyzna, tyle zobaczyła. Chyba miał kaptur na głowie, ale to już mogła zobaczyć jej wybujała wyobraźnia.

Tak czy owak trochę to było dziwne, bo pan Tadzio o tak późnej porze nie przyjmował gości, a mieszkanie obok było od dawna niezamieszkałe, bo właścicielka pracowała w delegacji i zjawiała się tu sporadycznie, dosłownie kilka razy w roku.

Rano, idąc do pracy, w wejściu do kamienicy natknęła się na sąsiada z góry.

– Wczoraj miał pan gości do nocy. Czyjeś imieniny? – spytała.

– Jacy goście? Jakie imieniny? Emeryta w tym kraju to na nic nie stać. Wczoraj poszedłem spać zaraz po dzienniku, bo w telewizji nic ciekawego nie było. Skąd pani przyszło to do głowy?

– Wracając w nocy, minęłam się z kimś na schodach.

– To pewnie jakiś włóczęga, bo Michał, ten student, co u mnie mieszka, wyjechał do domu na kilka dni. Jak zimno, to nieraz śpią na schodach. A jak tam pani nowa bryka?

– Muszę dziś ją odpalić, bo mam rozprawę w Gostyninie. Chce się pan ze mną przejechać? Tam mi długo nie zejdzie, pewnie sprawa spadnie z wokandy, bo słyszałam, że sędzia zachorował.

– Niestety, nie dziś, bo muszę iść w kolejkę za mięsem. Dziś mają rzucić polędwicę wołową, mogę i pani kupić.

– Przecież pan wie, że nie gotuję.

– No tak, ale może coś się pani odmieniło?

– Nie, panie Tadziu, Zuza Lewandowska na złość Darwinowi zatrzymała się w ewolucji. Zuza nie gotuje i nie będzie gotować!

Wyszła przed kamienicę, prosto na jakiegoś łapciucha sikającego na drzwi wejściowe. Tylko swojemu refleksowi zawdzięczała to, że i jej nie obsikał.

– Ty skurwysynie, nie wiesz, gdzie mocz oddawać?! Wynocha mi z tą sikawką spod domu. Idź lać na Kościuszki, pod komitet partii.

Obwieś coś zamamrotał pod nosem, schował fajfusa w spodnie i szybko się oddalił. Natomiast Zuza swoje kroki jak zwykle o tej porze skierowała do baru mlecznego, jedynie po drodze zatrzymując się przy kiosku „Ruchu", żeby kupić gazetę.

Nic nie było o zdarzeniach, których była świadkiem, na drugiej stronie opisywano zabójstwo młodej kobiety, do którego doszło na Podolszycach. I znów był to nocny napad na kobietę. I znów skuteczny, bo ofiara nie żyła. Psychol najwyraźniej się rozkręcał.

W kancelarii była cisza jak makiem zasiał. Dziwne, bo Jolka zawsze przychodziła przed nią.

Drzwi do pokoju Kowalskiego zamknięte. Nim Zuza zrzuciła płaszcz, zjawiła się aplikantka. Cała była podekscytowana.

– Pani Zuzo, mam coś!

– Raportuj – odparła Zuza i rozsiadła się w fotelu.

– Tak jak pani kazała, szukałam czegoś, co łączyło te zamordowane kobiety, i znalazłam. One skończyły tę samą szkołę – wyrzuciła z siebie jednym tchem.

– No i co z tego? Liceum? W Płocku są trzy, to może być przypadek.

– Nie, podstawową. Wszystkie chodziły do jedynki, tej przy ulicy Bielskiej.

– Wiem, która to, bądź co bądź to jedyna o tak futurystycznym kształcie. Czy chodziły do jednej klasy? Chyba nie, bo nie zauważyłam, żeby były w tym samym wieku. Owszem, w zbliżonym, ale między nimi były różnice do czterech lat.

– Nie, ale miały tego samego wychowawcę.

– O, widzę, że odrobiłaś lekcje. – Zuza nie kryła podziwu. – To już coś. Jak się nazywa ten nauczyciel czy nauczycielka?

– Lewandowski.

– Rzadkie nazwisko. Na pewno to nie moja rodzina. Ile on może mieć lat?

– Dobrze po czterdziestce. Uczy fizyki.

– Myślisz, że morduje te uczennice, co nie uważały na lekcjach? Zemsta przychodzi po latach. Brzmi to jak tytuł filmu kryminalnego lub książki. Przejdę się do szkoły i z nim pogadam. Może wyczuję wokół niego aurę zbrodni, kto wie – ironizowała. – Kiedyś czytałam w „Expressie Wieczornym" jakiś durny artykuł o seryjnych zabójcach. Autor twierdził, że wydzielają specyficzny zapach. Pewnie śmierdzą jak skunksy. Tylko jest jeden problem: jak śmierdzi skunks? Wiesz? Bo ja nie.

– A może to prawda?

– Tak, na pewno. Pamiętaj, nigdy nie wierz dziennikarzom. Kiedyś w tej samej gazecie wyczytałam, że John Kennedy nie zginął w zamachu, ale żyje ukryty przez żonę na jakiejś greckiej wyspie. Dlatego wyszła za Onassisa, bo to jego wyspa. Pół Polski wtedy w to uwierzyło. Wydawca nawet się nie pofatygował, żeby to sprostować, żeby oświadczyć, że to zwykła kaczka dziennikarska. Tak czy owak na wszelki wypadek uważnie go obwącham. Masz coś jeszcze? Jakiś inny trop?

– To nie wystarczy? – Jolka nie kryła zdziwienia. Myślała, że te informacje wcisną jej pryncypałkę w fotel, a właściwie została wyśmiana.

– Im więcej, tym lepiej. To może być fałszywy trop. Zaparz mi herbatę, bo zaraz biegnę do sądu. Dziś sądzi Fijałkowski, tępy aparatczyk, a mój klient oblał czerwoną farbą wejście do komitetu miejskiego. Trudno będzie mi go wybronić. Początkowo linię obrony oparłam na jego niepoczytalności w chwili popełnienia tego czynu. Liczyłam na Teresę, ale wyznaczyli innego psychiatrę i stwierdzili, że nie zwariował. Będzie siedział jak nic. Właściwie walczę o długość jego odsiadki.

– Fijałkowski to szwagier Stolińskiego, tego szewca z ulicy Jerozolimskiej. Jego ciotka to ta wróżbitka z Piekarskiej, do której wszyscy po cichu biegają, no bo nikt się nie przyzna, że wierzy w astrologię.

– Skąd ty, do cholery, to wszystko wiesz?

Aplikantka Zuzę coraz bardziej zadziwiała. Lewandowska wiedziała jedno – będzie z Jolki dobry adwokat. Jednak nie zamierzała jej o tym mówić, żeby jej przypadkiem nie zepsuć.

– Córka wróżbitki z Piekarskiej to koleżanka Anki, siostry Wiesi, a ona chodziła ze mną do klasy. Jej matka to…

– Wystarczy – przerwała jej, zerkając na zegarek. – Za kwadrans wychodzę, a muszę jeszcze zajrzeć w papiery.

Kiedy Zuza dotarła do szkoły podstawowej, było południe i akurat trwała przerwa międzylekcyjna. Z trudem przeciskała się przez mrowie rozkrzyczanej dziatwy. Wrzask był tak okrutny, że nawet nie słyszała własnych myśli. Kilka razy poczuła tępe uderzenia na korpusie, to któryś wyrostek nie zdążył przed nią wyhamować. Wreszcie, choć mocno poobijana, dobrnęła do pokoju nauczycielskiego – tylko po to, by się dowiedzieć, że Lewandowski skończył pracę i poszedł już do domu. Żeby się więcej nie narażać na urazy, poczekała na koniec przerwy i dopiero wtedy opuściła budynek.

Stanęła przed bramą i rozkoszowała się ciszą.

– Co za kocioł! Jak można tu pracować? – mruknęła sama do siebie pod nosem i poszła w stronę Tumskiej.

Przy sklepie meblowym stała stara syrenka i gromadka ludzi. Odhaczano listę kolejkową na meble. Atmosfera była przy tym gorąca, zapewne ktoś chciał kogoś zrobić w trąbę i wcisnąć się poza kolejnością. Przy „Antypodkowie” na ławce siedział znany już jej z widzenia rysownik. Nie przeszkadzało mu zimno, para

buchała mu z ust niczym z parowozu, a on szkicował jakąś dziewczynę. Też zobaczył Zuzę, przerwał na chwilę swoją pracę, żeby się jej skłonić. No tak, trzeba dbać o ewentualnego przyszłego klienta. Obraz olejny kosztuje sporo, to nie zwykły szkic zrobiony węglem czy też ołówkiem. W oddali dojrzała kaprala Oparę, skrywał się w cieniu bramy. Widać Mariański znów kazał mu podążać jej śladem. Czy on nigdy nie odpuści?

Nieopodal Hortexu spotkała Teresę.

– Świetnie, że cię widzę. Chodź ze mną do kancelarii, musimy porozmawiać.

Tamta spojrzała na nią z niepokojem.

– Czy coś się stało? Masz jakieś problemy?

– Nie skądże, ale nie będziemy rozmawiać tu na ulicy, za zimno.

Zuza chwyciła przyjaciółkę za mankiet i pociągnęła ją za sobą do kamienicy.

Po drodze minął je jakiś bardzo przystojny mężczyzna. Skłonił się i uśmiechnął do Zuzy.

– Dzień dobry, pani mecenas. Pani jak zwykle świetnie wygląda. Miłego dnia.

I poszedł, nim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć.

– Niezły, kto to? – spytała Teresa przez ramię, spoglądając za nim.

– Nie mam pojęcia. Pierwszy raz go widzę.

– Nie ściemniaj. Mów szczerze. Przecież nie chcę jego adresu i nie zamierzam go podrywać, choć nie ukrywam, że takie ciasteczko bym chętnie schrupała. No, kto to?

– Skoro ci mówię, że go nie znam, to go nie znam! – ryknęła na nią Zuza. – Wielu ludzi mnie zna, a ja ich nie.

– Wierzę ci, ale swoją drogą to szkoda.

Weszły do kancelarii.

Zuza zdjęła płaszcz i wróciła do sekretariatu.

– Jolka, zaparz nam herbatę.

– Pan mecenas, dzwonił niejaki Mazurek. Chciał się pilnie z panią zobaczyć.

– Mazurek, powiadasz? – Chwilę przeszukiwała pamięć. – Znałam kiedyś niejakiego Mazurka, ciekawe, czego chce. Zostawił numer do siebie czy jakiś inny kontakt?

– Nie, ale powiedział, że będzie dzwonił aż do skutku.

Zuza wróciła do swojego pokoju i rozsiadła się za biurkiem.

– Napijesz się koniaku? – zwróciła się do Teresy. – Mam tego, jak go nazywam, kurwazjera. Wprawdzie to nie stock, ale na bezrybiu i rak ryba.

– Z przyjemnością, ale mały kieliszeczek. Wspomniałaś wcześniej, że masz do mnie jakiś interes?

– Trudno to nazwać interesem, raczej prośbą i małym pytankiem – rzekła Zuza, rozlewając trunek.

– A zatem słucham.

– Chciałabym spotkać się z waszą pacjentką. Chcę, żebyś mi w tym pomogła. Poza tobą nie mam w wariatkowie innych znajomości, a bez nich to będzie spory problem.

– O kogo ci konkretnie chodzi?

– O Gutkowską, tę seryjną zabójczynię. Mam do niej kilka pytań.

Teresa spojrzała na nią niespokojnie.

– Chyba żartujesz? Po tym wszystkim, co przeszłaś, chcesz się z nią widzieć? Nie wierzę!

– Uwierz. W tej sprawie jest jeszcze kilka kwestii, które wciąż nie zostały wyjaśnione.

– To działka milicji, nie twoja. Mało zrobiłaś w tamtej sprawie? Niemal przy tym życia nie straciłaś.

– Tak, tak. – Zuza machnęła ręką, jakby odpędzała natrętną muchę. – Dobrze to pamiętam, ale upieram się przy chęci pogadania z tą pierdolniętą babą. Bardzo mi na tym zależy.

– Zobaczę, co da się zrobić.

– Zła odpowiedź, muszę się z nią widzieć.

– A ta druga sprawa?

– Pewnie słyszałaś o tym seryjnym zabójcy? Tym totalnie popierdolonym świrze?

– Tak i to jest ta jedna okoliczność, kiedy cieszę się, że mam już swoje lata, bo on nie lubuje się w takich rocznikach.

– No wiesz, tak jest teraz, a co będzie za rok, tego nie wie nikt. Może polubi i te starsze. Naleję ci drugiego kielicha. – Zuza, nie czekając na odpowiedź, ponownie

napełniła kieliszki.

– No dobra, przejdź do konkretów.

– Zaczęłam się przyglądać tej sprawie i potrzebuję porady specjalisty. Może wyjaśnisz mi, czego mu brakowało w dzieciństwie, a może czego miał za dużo, że mu się w głowie tak pomieszało?

Teresa wypiła koniak duszkiem, jakby to była wódka, i energicznym ruchem odstawiła kieliszek.

– Zuza, czy ciebie zupełnie pokręciło? Znów chcesz się narażać? To przecież psychopata. Że ostatnio ci się upiekło, to nie znaczy, że i tym razem ci się uda. To jest czyste szaleństwo. Zresztą, obiecałaś nam wszystkim, że nigdy więcej, że teraz będziesz brać tylko lekkie sprawy, takie nieobciążone jakimkolwiek ryzykiem.

Zuza parsknęła śmiechem.

– Obiecanki cacanki, a głupiemu radość. Chyba znasz to powiedzenie?

Aplikantka przyniosła herbatę. Teresa złapała ją za rękaw.

– Jolka, może ty swojej szefowej wybijesz z głowy pomysł, żeby zdemaskować tego psychopatę? Ja się starałam, ale mi się to nie udało.

Jolka speszona spojrzała na lekarkę.

– Nawet nie śmiem.

Po czym wyszła.

Zuza uśmiechnęła się, zadowolona, zapaliła ekstra mocnego i spojrzała pytająco na przyjaciółkę.

– No więc? Dowiem się czegoś ciekawego na temat tego przyjemniaczka?

– A co ja mogę ci powiedzieć? To będą tylko przypuszczenia, hipotezy, a jak jest naprawdę, to wie tylko on. Najprawdopodobniej jego ojciec porzucił ich, czyli jego i jego matkę, dla młodszej. Teraz się mści na wszystkich w jakiś sposób podobnych do tamtej kobiety. Może być też zupełnie inaczej. Jego matka porzuciła ich dla innego mężczyzny i teraz wybiera na swoje ofiary kobiety być może w wieku matki. Mogło być też jeszcze inaczej. Może był ofiarą przemocy fizycznej czy seksualnej ze strony matki. Sama widzisz, ile przeżyć z dzieciństwa może ukształtować prawdziwego psychopatę.

– A jak to wygląda statystycznie? Która wersja przeważa?

To pytanie najwyraźniej zdumiało Teresę.

– Od kiedy interesują cię słupki i wykresy? Pamiętam z liceum, że tego nie znosiłaś.

– No cóż, człowiek się zmienia. No więc?

– Nie wiem, teraz przez ten stan wojenny publikacje naukowe wychodzą ze sporym opóźnieniem albo wcale. W zeszłym roku miała się ukazać praca profesora Ciamady na ten temat, ale go internowano.

Zaskrzypiały drzwi, do pokoju zajrzał Kowalski. Na widok Teresy skrzywił się z wyrazem niezadowolenia i szybko się wycofał, co nie uszło czujnemu spojrzeniu Zuzy.

– Oj, widzę, że od tamtego czasu nie ma między wami chemii. – Zaśmiała się. – A jeśli już, to przypomina wlewanie wody do kwasu. Pamiętam jeszcze ze szkoły, że to powoduje okropne poparzenia.

– Cholerny dupek. Słusznie mnie przed nim ostrzegałaś. Idę już. Przyjedź do szpitala w niedzielę, tak koło południa. Mam dyżur, to umożliwię ci rozmowę z Gutkowską, choć wciąż ci to odradzam. Nie bardzo wiem, czemu ma służyć to spotkanie.

– Mam swoje powody. No to jeszcze po jednym?

– Lepiej nie, bo zaraz idę do przychodni. Pijany lekarz na dyżurze brzmi źle. – Teresa wstała z krzesła i zerknęła na ścianę. – A kiedy znajdzie się tu twój portret? Myślę, że masz większe zasługi aniżeli twoi poprzednicy. Oni wiszą, a ty?

– Oni nie żyją, a ja tak i cieszę się dobrym zdrowiem.

– To dlatego, że nie chodzisz po lekarzach – odparła przyjaciółka i parsknęła śmiechem.

Ledwie Teresa wyszła z kancelarii, Zuza zawołała aplikantkę.

– Jolka, jutro mnie nie ma, muszę pilnie wyjechać do Warszawy. Mam do ciebie prośbę.

– Tak? Słucham? – Dziewczyna spojrzała na nią, mocno zaintrygowana.

– Idź do tego starego oblecha Ludwickiego, notabene twojego wuja, i wyciągnij od niego protokoły sekcji wszystkich ofiar tego psychopaty. Nikogo nie pomiń.

Kapitan Mariański siedział przy biurku i pisał.

Notatka operacyjna

Jak doniusł kapral Opara nijaka Lewandowska poszła noco na most, a puźniej dalej do Radziwia. Podem Opara zgupił trop i Lewandowska pszepatła. Opara wiciał tyż nijaki element krymianlny Piosika, ale to było wcześniej. Czy się spodkali tego nie wieciał. Do dziś nie ustalił, poco Lewandowska poszła przez most. Nijaki Pioski tesz tam był.

Była dziesiąta rano, tłumy przewalały się przez bazar Różyckiego. Zuza z trudem przepychała się przez tłuszczę, by w końcu dotrzeć na miejsce, a konkretnie do jednej z bud. W niej handlował niejaki Talar. Nazwisko idealnie pasowało do tego, czym się zajmował, bowiem numizmatyka wiodła w tym prym. Prócz tego kupował i sprzedawał inne zabytkowe przedmioty, a zdarzało się, że nawet meble. Już na pierwszy rzut oka było widać, że bagaż lat, który dźwiga, jest spory – mężczyzna był mocno przygarbiony, twarz zorana głębokimi bruzdami niczym kanion kalifornijski, przerzedzone włosy, na dodatek o srebrzystej barwie.

No i ta długa siwa broda, trochę na wzór azjatycki, była śmieszna. Kiedy Zuza weszła, akurat oglądał jakiś stary zegar. Zza grubych szkieł okularów zmierzył ją niechętnym spojrzeniem.

– Proszę czekać – mruknął pod nosem i ponownie pochylił się nad zegarem.

– Jestem od Kołakowskiego – rzekła, niezrażona chłodnym przyjęciem.

– Kołakowskich jest jak psów – odburknął.

– No, nie sądzę. – Zaśmiała się. – Jestem od Franka, razem siedzieliście na Rakowieckiej.

Talar wstał z krzesła i podszedł do niej, po czym zaczął jej się nachalnie przyglądać.

– Nie wygląda mi pani na znajomą Franka. Jest pani z prokuratury? No bo na milicjantkę to pani też nie wygląda.

– Ależ skądże, skąd ten pomysł?

– Franek jest prosty chłopak, a pani inna liga. To od razu widać, inteligentka. Buty z komisu na Rutkowskiego, kapota z najlepszej budy z zagranicznymi ciuchami.

– Jestem adwokatem.

– Czyli znów ma kłopoty. Mówiłem mu: weź się do uczciwej roboty, ustatkuj się. – Mężczyzna pokiwał smętnie głową.

– Tym razem nie. Szukałam znawcy sztuki. Mam coś, na co chciałabym, żeby pan rzucił okiem. Nic więcej.

– Co to jest? Nie na wszystkim się znam.

Zuza wyjęła z torebki kielich i mu go podała. W pierwszym momencie zagwizdał z wrażenia, ale zaraz sięgnął po lupę. Bardzo dokładnie i długo mu się przyglądał. W końcu oddał go Zuzie.

– Piękna robota. Prawie dałem się nabrać.

Spojrzała na niego natrętnie.

– To znaczy? To nie jest złote?

– Jest złote, a właściwie pozłacane. Ktoś chciał, żeby inni uważali, że to jest czyste złoto, ale jeśli chciał, żeby wyglądało na bardzo stare, to popełnił jednak pewien błąd. Nie postarzył przedmiotu. Być może się spieszył. Kumpel, który zajmuje się tym samym, co ja, opowiadał, że niedawno byli u niego jacyś dwaj z podobnym kielichem i tak jak pani byli bardzo zawiedzeni. Nie wiem, o co tu chodzi, i nie chcę tego wiedzieć, ale jednego jestem pewien: to jedynie imitacja czegoś starego. Teraz się takich wzorów nie robi. Za dużo z tym zachodu. To wschodnia robota, wygląda mi na naczynie liturgiczne, ale pewności nie mam.

– Nie wie pan przypadkiem nic więcej na temat tych mężczyzn? Może kumpel powiedział panu coś jeszcze?

– Ponoć śmierdziało od nich służbami, i to na odległość. Od takich lepiej trzymać się z daleka.

– Dziękuję za informację, ile jestem winna?

– Nic, proszę pozdrowić Franka.

– Dobrze, ale… – Zuza, będąc już w drzwiach, zawróciła. – Mam ostatnie pytanie. Czy zna pan kogoś, kto potrafiłby zrobić taki kielich? Obraca się pan w tym środowisku. Coś gdzieś pewnie pan słyszał?

Mężczyzna zamyślił się.

– To może być robota Fornalika, ale głowy za to nie dam sobie uciąć – odparł po dłuższej chwili.

– A gdzie mogę znaleźć owego Fornalika?

– Na cmentarzu Bródnowskim. Wczoraj był pogrzeb. Rozjechał go jakiś samochód na pasach. Kierowca uciekł i jak dotąd go nie złapali. Świadkowie mówili, że to baba, ale czy to prawda?

– I nie złapią.

– Pewnie nie. Definitywnie ktoś mu zamknął usta na amen. Zawsze mu mówiłem: nie wchodź w to. Podrabianie, fałszowanie to trefny biznes. Ja przynajmniej już od lat śpię spokojnie. Na życie mi starcza.

Zuza opuściła bazar Różyckiego i poszła w stronę miejsca, gdzie zaparkowała mercedesa. Już z daleka zobaczyła wokół niego jakieś zbiegowisko. Pewnie się podoba, pomyślała z satysfakcją. Kiedy jednak doszła do auta, okazało się, że prawda jest zupełnie inna. Komuś spodobało się radio z jej samochodu. I tak to w jednej chwili straciła odbiornik i szybę w oknie. Na szczęście od strony pasażera.

By tego sukinsyna pokręciło, by nigdy nie zaznał spokoju, by zdechł w mękach, złorzeczyła złodziejowi. Po chwili zjawiła się milicja i Zuza jeszcze zapłaciła mandat za parkowanie na zakazie. Krótko mówiąc, piekło się otwarło. Był to wyjazd, który na długo zapamięta. Wracając do Płocka, zatrzymała się w Łomiankach, tam było kilka warsztatów zajmujących się wymianą szyb samochodowych. Tym razem w końcu uśmiechnęło się do niej szczęście, w godzinę miała założoną nową szybę, ale kiedy przyszło do płacenia i usłyszała kwotę, poczuła się jak po elektrowstrząsach.

– Ile?! To czyste złodziejstwo! Czy ta szyba jest ze złota? – wydarła się na właściciela warsztatu.

Szeroko się uśmiechnął, pokazując garnitur żółtych zębów. Zapewne tak jak Zuza nałogowy palacz papierosów bez filtra.

– Możemy ją wyjąć, nie ma sprawy – odparł spokojnym głosem, najwidoczniej przyzwyczajony do takiej reakcji klientów. – Geniek! – Zwrócił się w stronę swojego pracownika. – Wyjmuj to szkło, i to migiem, bo paniusi za drogo!

– Zgoda, niech już zostanie – rzekła z rezygnacją i sięgnęła po portfel.

Na wjeździe do Płocka zatrzymała ją milicja. Z sumiennością średniowiecznego skryby sprawdzono mercedesa. Nawet zajrzano do bagażnika. Ciekawe, czego szukano? Chyba nie nieboszczyka. Nie było do czego się przyczepić i Zuza pojechała dalej.

Wprowadziła samochód do garażu i zamierzała iść do domu, kiedy usłyszała proboszcza.

– Pani mecenas, zapraszam do siebie! – krzyczał z okna swojego mieszkania.

Miała chwilę czasu, więc weszła. Od razu na ławie pojawiła się butelka koniaku z dwoma kieliszkami.

– Ktoś doniósł biskupowi, że wynajmuję ci garaż, a on ciebie nie znosi – rzekł ksiądz, mocno zafrasowany.

– To znaczy, że mam się wynieść? – wydukała, kompletnie zaskoczona. Gdzie teraz będę parkować? – zmartwiła się. Przy tym wszechobecnym złodziejstwie jej samochód nigdzie nie był bezpieczny.

– Spokojnie, nie wyrzucam cię, ale nie chwal się naszym układem. Nakłamałem mu, że to nie tobie go wynajmuję, ale twojemu sąsiadowi. Ty tylko czasem wypożyczasz jego samochód i stąd to nieporozumienie. W piekle będę się przez ciebie smażył.

– Kupił to?

– Owszem, ale musimy uważać, bo wszędzie dokoła mnóstwo donosicieli. Ten nowy wikary pochodzi z tej samej wsi co biskup, może to jego krewniak. Czuję, że on wszystko donosi do kurii. Zaczynają się już nawet czepiać mojej perkusji, przeszkadza im, kłuje w oczy. Ponoć to nie wypada, żeby ksiądz grał na bębnach.

– A może to syn biskupa? – zakpiła Zuza. – Nawet wydaje mi się do niego podobny. On ma te same oczy, co tamten.

Proboszcz spojrzał na nią z wyrzutem.

– No i jak ma cię lubić? Dziwię się, że mnie akceptujesz.

– Też się sobie dziwię. Pewnie to przez miłość do koniaku i ekstra mocnych. Wielbiciel tych używek to musi być łebski chłop.

– Dobra, dobra, nie czaruj mnie tu. Pamiętasz księdza Maliszewskiego? Tego, co ze mną tu nieraz przygrywał?

– Jasne, jeszcze grubszy od księdza.

– Internowali go. Widzisz, nie wszyscy księża są nic niewarci. Drukował ulotki i ktoś na niego doniósł. Robię zbiórkę na pomoc dla niego. Może się dołożysz?

– A co, karta nie idzie? – spytała, puszczając do niego oko.

– No wiesz? – oburzył się. – Trochę przesadzasz. Już dawno nie grałem w brydża. Mój partner leży w szpitalu, odma płucna. Ostatnio to i pokera odpuściłem.

– Od czasu, kiedy ksiądz przegrał sutannę i musiał w samych gaciach wracać do domu – zadrwiła z proboszcza.

– To kłamstwo. Te plotki to rozsiewał Stankiewicz, bo przegrał ze mną swoją jawę.

– To jest skończona świnia, o tym każdy wie, czemu ksiądz gra z nim w karty? Takich to powinno się omijać szerokim łukiem.

– Wtedy tego jeszcze nie wiedziałem. Polak mądry po szkodzie.

Zuza dopiła koniak i podniosła się z fotela.

– Muszę już iść, dziś i tak miałam mnóstwo wrażeń.

– Bóg z tobą, córko.

Przed swoją kamienicą już z daleka ujrzała duże zbiegowisko. Co tam się znów wydarzyło? Przyspieszyła kroku, przepchnęła się przez gapiów i zobaczyła… Tomaszka w kałuży krwi. Oczy szeroko otwarte, gałki nieruchome. Przypominał świątecznego karpia po bliskim spotkaniu z młotkiem. Już po nim. Zerknęła w górę, okno na korytarzu otwarte. Pewnie się naćpał jakichś wynalazków i pomyślał, że jest jaskółką. Nawet łezka nie zakręciła jej się w oku. Ten sukinsynek nie miał żadnej przyszłości. Wcześniej czy później by tak skończył.

W mieszkaniu panował dziwny spokój. Borys chrapał, że aż szyby w oknach drżały, Zgaga kłapała dziobem, jakiś jej nowy zwyczaj, bo wcześniej tego nie robiła, może się starzała. Tak naprawdę to ciekawe, ile liczyła sobie wiosen? Nigdzie nie było widać Wrzoda. Zuza znalazła go w sypialni. Sukinsyn leżał na jej łóżku zwinięty w kłębek. Od razu wylądował na podłodze. Musi znać swoje miejsce w szeregu, nawet Borys nie ważył się tam wchodzić, mimo że sporo mu było wolno. Zuza rozsiadła się na kanapie z książką w dłoni, ale nie mogła się skupić na lekturze. Co chwila wracała myślami do widoku Tomaszka rozpłaszczonego na chodniku niczym naleśnik na patelni. Był łobuzem zepsutym do szpiku kości, ale wciąż był jeszcze dzieckiem. Zza ściany dochodził skowyt jego matki, z rozpaczy pewnie rwała sobie ostatnie włosy z głowy. Szkoda, że nie wzięła się do jego wychowania, może wtedy by nie skończył tak nędznie. Tyle razy mówiła tej suce, żeby gnojka wzięła za mordę, ale mogła sobie mówić i mówić, a skutek był jaki był.

Ktoś zapukał do drzwi. Czy nie może mieć chwili spokoju? Pukanie stało się natarczywe. Borys obudził się i zaczął ujadać, Zgaga też nie skąpiła dzioba.

– Kuuurwa maaać! Miiilicja! Miiilicja! Kurrrwa maaać!

Zuza z niechęcią podniosła się i poszła otworzyć drzwi. W progu stała wielka góra przelewającego się tłuszczu, czyli Mariański we własnej osobie.

– Obywatelka tu mieszka?

Co za pytanie? Jakby tego nie wiedział.

– Spytajcie o to kaprala Oparę, podąża za mną niczym ślepy i kulawy Anioł Stróż, bo jak potrzebuję pomocy, to go nie ma – zakpiła.

Uniósł spojrzenie, jakby rozumu szukał. Bez sensu, bo i tak by go nie znalazł.

– Byliście w domu, kiedy ten smarkacz spadł z okna? Może coś widzieliście? Był ktoś z nim?

– A skąd mam to wiedzieć? Nie śledzę gówniarza. Od śledzenia to wy jesteście. Może Opara wie? Czemu w ogóle o to pytacie, przecież wy jako władza wiecie wszystko?

Kapitan wyjął z kieszeni notatnik i zaczął pisać.

Obywatelka Lewandoska muwii że nic nie wiciała. Muwi że go nie śleci. Morze Opara wie.

Przerwał pisanie i spojrzał na Zuzę.

– Gdzie obywatelka była, kiedy nijaki Tomasz wypadł z okna?

– Nie wiem, kiedy wypadł. Ale wcześniej byłam w Warszawie, a później u proboszcza na plebanii.

Mariański ponownie skupił się na pisaniu.

Obywatelka Lewandoska muwi, że była w Warżawie i u nijakiego proboszdza. A jej papuka mówi kórwa mać i milicja. Tszeba ją i proboszdza przesłuhać na te okolicznoźdź.

Zamknął notatnik i ciężko sapiąc, wycofał się na korytarz.

– Debil! – warknęła pod nosem, po czym z impetem trzasnęła drzwiami i wróciła na kanapę.

– Skąd wiedziałaś, że to milicja? – krzyknęła w stronę papugi. – Masz wyjątkowe wyczucie.

– Kooocham Zuuuuzę! Koooocham Zuuuuzę!

– Ja też ciebie kocham.

Już przed siódmą rano Zuza zerwała się z łóżka. Ubrała się i wyszła z Borysem na podwórze. On jak zwykle obsikał jedyne rosnące tam drzewo i mogli wrócić do siebie. Znów na klatce schodowej minęła się z tym samym mężczyzną w kapturze nasuniętym na głowę. Znów nie widziała jego twarzy. Zaczynało ją to denerwować. Moda modą, ale czy od razu wszyscy muszą się do niej stosować? Następnym razem zagrodzi mu drogę i każe ściągnąć z twarzy ten paskudny kamuflaż. Kwadrans później otwierała garaż, a po chwili wyprowadziła samochód. Kiedy zamykała bramę, zauważyła czarną wołgę przejeżdżającą ulicą. Na tylnych siedzeniach siedziały psy myśliwskie, z przodu obok kierowcy siedział biskup. Znów razem z sekretarzem jechali na polowanie. W sumie nie powinno jej to dziwić. Proboszcz od lat grywał w brydża z płockim cenzorem. Wsiadła do auta i pojechała do szpitala psychiatrycznego w Gostyninie.

Teresa już na nią czekała. Poprowadziła ją korytarzem na oddział dla najbardziej niebezpiecznych pacjentów. Zatrzymała się przed ostatnimi drzwiami. Spojrzała wymownie na Zuzę.

– Jesteś tego pewna?

– Tak, nie bój się, nic mi nie zrobi. Ona zabijała jedynie niemowlaki, nie może mnie pomylić. Ten okres życia mam już dawno za sobą. No, chyba że nafaszerowaliście ją jakimiś odlotowymi pigułami. Wtedy może różnie być.

– O to możesz być spokojna.

Zazgrzytał klucz w zamku i Teresa otworzyła drzwi.

– Gdyby się na ciebie rzuciła, to krzycz! Będę na korytarzu, a poza tym zaraz mają się tu zjawić pielęgniarze, tak na wszelki wypadek.

– Spokojnie, poradzę sobie. Ze mnie też kawał baby.

Zuza weszła do niedużej sali, bardzo skąpo umeblowanej. Wszystko, każdy przedmiot był tu przymocowany do posadzki lub ściany, czemu trudno było się dziwić. Gutkowska siedziała na pryczy i bezmyślnie wyglądała przez okno. Nawet nie zareagowała na gościa. Zuza ledwie ją poznała. Tamta przez te kilka tygodni ogromnie schudła, oczy zapadły jej się w oczodołach, włosy miała długie i bardzo zaniedbane, to nie była ta sama kobieta, którą pamiętała.

– Znów się spotykamy – zaczęła Zuza. – Nigdy nie myślałam, że jeszcze kiedyś nasze drogi się skrzyżują. Pamiętasz mnie?

Cisza. Pacjentka w ogóle nie zareagowała. Nawet nie drgnęła. Pewnie nafaszerowano ją pastylkami i straciła kontakt z rzeczywistością. Zuza dobrze pamiętała sprawę Paprockiego. Jego też wprowadzano w taki stan.

– Chcę pogadać.

Nadal cisza.

Zuza zorientowała się, że nic tu po niej. Za dużo się spodziewała po tej wizycie.

– To wszystko, gnij tu aż do końca. Mam nadzieję więcej cię nie oglądać.

Zuza zapukała w drzwi, te się w mig otworzyły.

– Wzajemnie – usłyszała zza pleców. Wychodząc, ostatni raz zerknęła na Gutkowską. Ta wciąż wpatrywała się w jeden punkt gdzieś w oddali za oknem.

– No i? – Teresa od razu już za progiem ją zaatakowała. – Jesteś zadowolona?

– Nie, a na dodatek dziś będę mieć zarwaną noc, bo od nowa odżyją te wszystkie koszmarne wspomnienia, przez które długo nie mogłam spać. Oby ta kobieta nigdy stąd nie wyszła. W ogóle mnie dziwi, że jej nie wysłaliście do ZSRR, że jej tatuś nie zabrał.

– Ponoć początkowo były prowadzone jakieś pertraktacje w jej sprawie, ale później wszystko ucichło.

– Szkoda, sporo słyszałam, jak tam wygląda życie u czubków. Na porządku dziennym są elektrowstrząsy i kąpiele na przemian w lodowatej i gorącej wodzie. Tej babie powinno się mózg usmażyć niczym jajka na patelni.

– Spokojnie, ona tu będzie siedzieć aż do śmierci.

– Oby. Mam nadzieję, że amnestie nie dotyczą domów wariatów.

Zuza w tym momencie pomyślała o Szczawińskim. Wypiła w gabinecie Teresy herbatę i opuściła szpital psychiatryczny, by ruszyć w drogę powrotną. W Łącku zatrzymała się na posiłek. Dużo dobrego słyszała o restauracji Pod Kasztanami i chciała to sprawdzić osobiście. Na miejscu zderzyła się ponownie z rzeczywistością stanu wojennego. Owszem, od jakiegoś czasu poluzowano sporo obostrzeń, ale zaopatrzenie w żywność było wciąż pod zdechłym psem. Zjadła zupę zupopodobną i kotleta schabowopodobnego, tylko kieliszeczek wódki był prawdziwy. No i oczywiście rachunek. On był prawdziwy aż do bólu.

Kiedy wychodziła z restauracji, zobaczyła płockiego rysownika. Tego, na którego ostatnio wciąż wpadała. Siedział w kącie sali i szkicował kelnerkę. Niezmordowany w tym szkicowaniu, pomyślała. Trzeba powiedzieć, że dziewczyna stanowiła wdzięczny obiekt do rysowania, bo była śliczna. Artysta też zobaczył Zuzę. Pomachał do niej ręką. Podeszła bliżej.

– Ile by kosztował portret olejny powiedzmy takich rozmiarów? – zagadała do niego, jednocześnie pokazując gestem kształt sporego prostokąta.

Mężczyzna wybuchnął śmiechem, czym wprawił ją w zakłopotanie.

– Czy powiedziałam coś śmiesznego?

– To nie tapeta czy linoleum. Obrazów nie kupuje się na metry kwadratowe. To sztuka, mały obrazek może kosztować więcej aniżeli płótno wielkości *Bitwy pod Grunwaldem* Jana Matejki.

– Wiem o tym, ale chodzi mi o wycenę obrazu pana autorstwa. To chyba nie jest trudne? – odparła, nie kryjąc rozdrażnienia.

– Dogadamy się – rzekł pojednawczo. – Kiedy zaczynamy i gdzie mam się zgłosić?

– Zaraz, zaraz, jeszcze nie podjęłam decyzji. Jeśli się zgodzę, to się odezwę.

Zerknęła na szkic. Sukinsyn ma talent, to i portret mógłby być piękny, dużo ładniejszy niż pozostałe. Dziś jeszcze się nie zdecyduje.

Bez słowa pożegnania opuściła restaurację. Na parkingu przy mercedesie zastała gromadkę dzieciaków. Zaglądali do środka, szarpali za klamki. Wypalcowali całą karoserię samochodu. Rozpędziła ich i pojechała do Płocka. Po drodze w lesie zobaczyła zaparkowanego peugeota Kowalskiego. Od razu go poznała po charakterystycznej naklejce w tyle auta. Pewnie wywiózł tu następną panienkę. Od czasu, kiedy go przegoniła z kancelarii, na schadzki wybierał najdziwniejsze miejsca. Widziano go pod mostem, w zoo, przy stadionie, a nawet przy pomniku Broniewskiego. Tym razem wybór padł na zagajnik sosnowy. Miał fantazję, trzeba mu to przyznać.

W kancelarii czekał na nią Nowak. Ostatnio rzadko się widywali. Wyjęła z szafki zdobyczny kielich i postawiła go na biurku.

– To jedna wielka lipa – oznajmiła mu. – Ktoś sobie zadał sporo trudu i wykonał lub komuś zlecił wykonanie tych podrób.

– Skąd masz kielich znaleziony w biurku Mariańskiego?

– To nie jest ten kielich, to podróbka.

– A może oryginały w ogóle nie istnieją?

– Nie, to nie miałoby sensu. To było celowe, przemyślane działanie. Mówiłam ci, że dwóch tajniaków z bezpieki przesłuchiwało w tej sprawie Piosika. Według mnie oni wcześniej mieli oryginały i ktoś im je zamienił na te kopie. Ciekawi mnie, czy ten, który znajduje się w komendzie, jest prawdziwy czy też podmieniony? Stawiam na to, że jest prawdziwy. Ktoś tu naprawdę nieźle miesza.

– Zaraz, zaraz, ile czasu potrzeba na zrobienie takiego cacka? Przecież ten ktoś musiał widzieć te przedmioty dużo wcześniej. Potrzebował czasu.

– Owszem, i to sporo. Według mnie przy okazji ewidentnie chciano wrobić Mariańskiego, ale się nie udało. Tylko Pawłowicz wie, kim jest ten, kto nakłonił ją do podrzucenia cuchnącego fanta do jego biurka. Niestety, o ile wiem, to ona wciąż milczy. Podejrzewam, że się go boi.

Nowak z zafrasowaniem podrapał się w głowę.

– Zaraz, zaraz, to które przedmioty są w komendzie? Już mi się wszystko pierdoli.

– Milicja przejęła tylko część przedmiotów, w tym ten słynny już kielich, i być może są one prawdziwe. Natomiast lwia część skarbu zniknęła, najzwyczajniej wyparowała. Podejrzewam, że ktoś go sobie przywłaszczył. Po jakimś czasie ktoś inny pozamieniał te przedmioty.

– Ale po co to wszystko? Nie łatwiej było po prostu je tylko ukraść?

– Ten ktoś widocznie potrzebował czasu i w ten sposób go dostał. Jak teraz po dwóch miesiącach można dojść do czegokolwiek? Na gorąco mieli jeszcze jakieś szanse, a teraz to szukanie igły w stogu siana.

– To kim on jest? Jak myślisz?

– Według mnie to ktoś powiązany z milicją lub prokuraturą.

– W sumie to był sprytny plan.

– To były dwa plany. Podejrzewam, że wkopanie Mariańskiego to jeden, a zamiana to robota kogoś zupełnie innego, ale mogę się mylić. Pawłowicz ten pierwszy skopała. Wygadała się przede mną i za dokładnie wytarła kielich, a to już rodziło sporo pytań. A tak à propos Pawłowicz, to co z nią?

– Ma być wydalona z milicji. To tylko kwestia dni. No, chyba że jej kuzyn z Warszawy znów się za nią wstawi.

– Śledź sprawę, a teraz chyba nie odmówisz kieliszeczka na rozgrzewkę? Sprzątaczka zachorowała i stąd w kancelarii okropnie zimno.

– Ale jednego, bo zaraz będę robił matmę z synem. Jolka mi coś wspomniała, że wzięłaś się na poważnie do sprawy tego zabójcy młodych dziewczyn. Chyba nam coś obiecałaś? Mało miałaś ostatnio kłopotów? Na co ci to? A jak ten szajbus przerzuci się na kobiety powiedzmy… w twoim wieku?

– Chciałeś powiedzieć: podstarzałe – warknęła.

– No nie przesadzaj. Chciałbym mieć tyle lat co ty.

– Powiem ci jedno: Mariański go nie złapie i kropka. Jolka! – krzyknęła.

Aplikanta zajrzała do pokoju.

– Czy masz to dla mnie to, o co cię prosiłam?

– To znaczy? – Jolka zrobiła wielkie oczy i szukała w myślach, o co takiego może chodzić przełożonej.

– Nie wiesz? Chcę protokoły z sekcji zwłok tych kobiet. Ile razy mam cię o nie prosić?

– Byłam w prosektorium, słowo honoru, ale wuj jest na urlopie. Poszłabym do niego do domu, ale wiem, że tam ich nie przechowuje.

– Dobra, ale pilnuj sprawy i załatw to od razu, jak wróci do pracy.

Zadzwonił telefon.

– Siostra? To ja, Eduardo!

– A ty skąd tu? Miałeś lecieć na Kubę – zdziwiła się.

– Byłem, ale kazano mi tu na powrót lecieć. Siostra, przyjechać ja, cię odwiedzić, to wszystko opowiedzieć.

– Kiedy będziesz?

– Ja być u ciebie jeden dzień i jeden dzień. Ja przywieźć cygara, prawdziwa kubańska.

– To brzmi ciekawie – odparła. Ostatnie cygaro wypaliła bodajże tydzień temu i nie myślała, że już lada dzień znów będzie się rozkoszować ich aromatem.

– To ja, siostra, kończyć, ja przywieźć do ciebie narzeczona.

– Masz narzeczoną? – zdziwiła się znowu.

– Tak, ja się żenić. Ona jest moja muza. Ona jest… nie wiem jak to po waszemu powiedzieć… bóstwo!

– Blondynka? – spytała sucho Zuza.

– Ty ją znać?

– Nie, łatwo było mi odgadnąć.

– No tak, ty słynna tropiciel bandytów. To ja kończyć. Ja cię kochać, siostra.

– Ja ciebie też – burknęła pod nosem i odłożyła słuchawkę.

– To Eduardo? – spytała aplikantka z rumieńcem na twarzy.

– Tak. Co wy, do cholery, w nim widzicie?

– Taki przystojny, wysportowany, a te włosy… – Jolka westchnęła.

– A ty przypadkiem nie masz narzeczonego?

Nowak podniósł się i wziął płaszcz z wieszaka.

– To ja już pójdę, a wy nie przeszkadzajcie sobie i pogadajcie dalej. Nie dość, że czeka na mnie matma, to muszę odebrać sukienkę żony od krawcowej, a ona zaraz zamyka pracownię. Jeśli nie zdążę, to gderaniu nie będzie końca.

– Idź, pantoflarzu – zadrwiła z niego Zuza.

Spojrzała na ścianę, na puste miejsce po prawicy Ambrożego Lewandowskiego, i sięgnęła do torebki. Chwilę w niej nerwowo pogrzebała, w końcu całą jej zawartość wysypała na biurko.

– Jest! – oznajmiła z dumą, dzierżąc w dłoni małą karteczkę. – Podała ją Jolce. – Zadzwoń do niego i umów go na czwartek, na dwunastą.

– A kto to?

– Artysta malarz. Będzie malować mój portret.

Widząc zdziwioną minę aplikantki, zaraz dodała:

– Przy innych przywarach naszego narodu moja próżność to jest tylko drobna ułomność. Co mam sobie żałować? Nie mam następcy, który by to zrobił po mojej śmierci.

Jolka wyszła z pokoju, ale zaraz wróciła.

– Przyszedł prezes spółdzielni „Kacze Pióro”. Może wejść czy ma poczekać?

Zuza westchnęła ostentacyjnie.

– A ten czego znów chce? Już nie mam na niego siły. Co i raz mi dupę o coś truje.

– Nie wiem, pani mecenas, ale ponoć to bardzo pilne.

– Niech wejdzie. Tylko niech się streszcza, bo nie mam czasu.

W chwilę potem wydawca jej autobiografii wszedł do pokoju.

– Dzień dobry, pani mecenas. Przepraszam, ale muszę zająć pani chwilę.

– Proszę spocząć. – Wskazała mu krzesło. Sama rozsiadła się w fotelu i sięgnęła po ekstra mocne. – No, co tam się tak pilnego wydarzyło?

Bielski nerwowo rozpiął paltot, poluzował krawat. Pocił się, czyli coś naprawdę ważnego.

– Stało się coś, o czym musi pani wiedzieć. Dziś w nocy ktoś się włamał do siedziby wydawnictwa i ukradł pani maszynopis – wydukał.

– Co takiego? – zdumiała się Zuza. Co jak co, ale żeby ktoś włamał się specjalnie po jej wypociny? Tego jeszcze nie grali. Parsknęła śmiechem. – Chyba nie mówi pan poważnie? Ciekawa jestem, kim jest ten wielbiciel dobrej literatury.

– Czemu się pani śmieje? To przecież tragedia – odparł Bielski z wyrzutem w głosie.

– Jaka tragedia? Do cholery! Mów pan jaśniej.

– To był jedyny egzemplarz. Właśnie mieliśmy brać się do redakcji i nie zdążyliśmy. Wszystko przepadło.

Zuza chwilę walczyła z zapalniczką, żeby przypalić papierosa. W końcu jej się to udało. Spojrzała kpiąco na Bielskiego.

– No to faktycznie, nie popisaliście się. I co teraz? Wie pan, ile czasu na to poświęciłam? Mogłam w tym czasie robić coś zupełnie innego, czytać książki, spać, podróżować i mnóstwo innych rzeczy, a ja ślęczałam nad maszyną i wciskałam te przeklęte, wciąż się zacinające klawisze, aż mnie palce w stawach bolały. No i co będzie dalej?

– Może ma pani kopię? – bąknął nieśmiało.

– I co jeszcze mam mieć? Prowadzę poważną kancelarię prawną, mam mnóstwo klientów i muszę to jakoś ogarniać, a pan uważa, że powinnam jeszcze myśleć za pana, za waszą zasraną spółdzielnię?

– Przepraszam, pani mecenas, pokryjemy wszystkie straty. Nigdy wcześniej nie mieliśmy włamań, więc nie spodziewaliśmy się. Proszę powiedzieć, na ile wycenia

pani swoją pracę? Zapłacimy!

Zuza, słysząc to, wciąż kręciła głową z niedowierzaniem. Jego propozycja była absurdalnie śmieszna. Tu nigdy nie chodziło o pieniądze.

– Wie pan, ile biorę za godzinę porady? Wie pan, ile godzin poświęciłam, żeby powstała ta książka? Jak to wszystko podliczę, to puszczę pana z torbami, w samych skarpetkach.

Widziała, że Bielski zbladł. Czuła satysfakcję, powoli przeciągała go pod kilem. Cierpiał i o to chodziło.

Wysunęła szufladę, wyjęła z niej szarą tekturową teczkę i cisnęła ją na blat biurka.

– Proszę to wziąć i iść, ale jak znów dacie dupy, to naprawdę puszczę was w skarpetkach, i to dziurawych. Tym razem nie żartuję.

Mężczyzna poderwał się z krzesła cały podekscytowany. Na twarzy zagościł mu uśmiech od ucha do ucha, nie wiadomo kiedy ulotnił się z niego jego minorowy nastrój.

– Pani mecenas, bardzo dziękuję. Zaraz każę zrobić kilka kopii, a jedną z nich na wszelki wypadek będę przechowywał w domu.

– Byle się dzieci do niej nie dobrały, bo to literatura tylko dla dorosłych. A teraz zabieraj się pan, bo mam roboty od cholery.

Bielski chwycił teczkę, nisko się skłonił, po czym niewyraźnie pod nosem bąknął „dziękuję” na pożegnanie i tyle go widziała.

W chwilę potem Jolka zajrzała do pokoju.

– Co pani takiego zrobiła, że ten gość wyleciał z kancelarii jak na anielskich skrzydłach?

– To, co wszystkim, zrobiłam mu dobrze, czyli jedynie naprawiłam jego błąd.

– Już się bałam, że wynikły jakieś komplikacje z pani książką, a mnóstwo ludzi na nią czeka.

– Nie wszyscy. Są tacy, którzy są gotowi wiele zrobić, żeby ona nigdy się nie pojawiła.

Mariański siedział za biurkiem, a przed nim leżała bułka przełożona salcesonem. To był przysmak znienawidzonej przez niego kapitan Pawłowicz. No właśnie,

czemu jeszcze jej nie zdegradowano? Tego nie mógł zrozumieć. Do pokoju wszedł Opara.

– Obywatelu kapitanie, melduję, że obywatelka Lewandowska pojechała do domu wariatów.

W Mariańskiego jakby piorun strzelił.

– Zamknęli ją!? Wreszcie, już dawno powinni to zrobić. Dopiero teraz mi to meldujecie? Przecież to radosna nowina.

Kapral zmieszał się.

– Obywatelu kapitanie, ale ona po godzinie wyszła od tych czubków i wróciła do Płocka.

– Że co? Dlaczego ją tak szybko wypuścili? Mnie trzymali miesiąc.

– Trzy miesiące – bąknął nieśmiało Opara, bojaźliwie spuszczając wzrok.

– Co trzy miesiące? Co wy pierdolicie?

– Trzy miesiące tam siedzieliście.

– Kurwa mać, chyba my lepiej wiemy?! Skoro mówimy miesiąc, to miesiąc! Precz z moich oczu! – ryknął wściekle, podrywając się z siedziska.

Kapral pośpiesznie się ewakuował, zaś Mariański wyjął z ust protezę, schował ją do szuflady, po czym chwycił bułkę oburącz i wbił w nią tę resztę zębów, które mu pozostały po jego próbie samobójczej. To działanie było wbrew zaleceniom jego dentysty, ale on go nie słuchał, oszczędzał sztuczne zęby, na dłużej mu starczą.

Ktoś zapukał do drzwi.

Kapitan szybko sięgnął do szuflady, ale ta się zacięła. Szarpał nią, szarpał i nic.

– Kulwa mać! – zaklął. – Zalaz!

W końcu udało mu się ją otworzyć i po chwili wcisnął zęby w podniebienie.

– Wejść!

Chorąży Marchewka zajrzał do pokoju. A ten tu po co?

– Towarzyszu kapitanie, mam tu na korytarzu aresztanta, który chce się z wami widzieć.

– Czego chce?

– Nie mam pojęcia. Mówi, że towarzysz widząc go, bardzo się ucieszy.

– Dawajcie go.

– Stańczak, wchodźcie tu szybko!

Mariański, słysząc to nazwisko, poruszył się niespokojnie na krześle. Do pokoju wtoczył się mężczyzna wielkiej postury. Gęba poryta głębokimi bruzdami i kilkoma sporymi bliznami, trzydniowy zarost, głowa wygolona na krótko, jedno ucho niekompletne, brakowało dolnej części małżowiny. Kapitan wiedział nawet, kto mu ją odgryzł. Dobrze utkwił mu w pamięci ten moment, kiedy tamten zaskoczył go pod prysznicem. Nie poddał się bez walki. Do dziś pamiętał smak jego ucha.

Stańczak uśmiechnął się do niego całą gębą.

– Cześć, kochanieńki. Widzę, że moja cioteczka wróciła do roboty. To dobrze, bo mnie stąd wyciągniesz. Inaczej – zniżył głos – opowiem, co działo się pod prysznicem, i to ze szczegółami. Całe miasto będzie się z ciebie śmiać. Rozumiemy się?

Posłał Mariańskiemu groźne spojrzenie.

– Wynocha stąd!

Kapitan zatrząsł się ze złości. Prawa dłoń powędrowała w stronę kabury pistoletu, ale zatrzymała się w połowie drogi.

– Tak mnie witasz, kochasiu? Niełądnie, zaraz mnie wyciągniesz z tego szamba, ty tłusta parówo, rozumiemy się?

Mariański głośno przełknął ślinę.

– Za co was zatrzymali? – spytał sucho.

– Jak to za co? Jak zawsze, za niewinność. – Bandzior zarechotał, wyraźnie zadowolony ze swojego dowcipu.

– Jeśli mamy wam umożliwić wyjście stąd, to musimy wiedzieć, o co was oskarżają.

– O gwałt. Bzdura, sama tego chciała, to i dostała. Ja tam mojego kutasa sukom nie żałuję.

– Kogo zgwałciliście?

– No jak to kogo? To nie kryminał, wiadomo, babę.

– Za to dostaniecie dziesięć lat. Czyście postradali zmysły?

– Jak chcecie. – Stańczak wzruszył ramionami. – Zaraz będą mnie przesłuchiwać, to opowiem ze szczegółami, jak mi oficer milicji robił dobrze, i to

wiele razy, jak się dławił moim ptakiem.

Twarz Mariańskiego pokryła się purpurą. Rozpiął kaburę i dłoń położył na kolbie pistoletu. Jeszcze chwila i puszczą mu hamulce, a wtedy… zastrzeli skurwysyna, i to z zimną krwią. Z trudem zachował spokój.

– Ani słowa o tym! Zobaczymy, co da się zrobić.

– Postarajcie się, byle szybko.

– Marchewka, zabrać go!

Kapitan usiadł na powrót przy biurku i wbił wzrok w napoczętą bułkę. Nagle chwycił ją i z wściekłością cisnął do śmietniczki. To wszystko przez tę przeklętą Pawłowicz. Jeszcze się suce dobierze do dupy, ale poczeka z tym, aż wyrzucą ją z milicji. Wtedy tamta przeklnie dzień, w którym go poznała. Musiał teraz pilnie działać, zamknąć gębę temu Stańczakowi. Wytoczył się z pokoju i ruszył schodami piętro wyżej. Nie było wyjścia, musiał temu skurwysynowi dać alibi, zaświadczyć, że w momencie gwałtu widział go w zupełnie innym rejonie miasta. To wystarczy, żeby go wypuścić. Resztą zajmie się później.

– Proszę wejść. – Zuza zapraszała rysownika do swojego gabinetu.

– Nazywam się Marek Portalski – przedstawił się.

– To już wiem, umiem czytać wizytówki. – Wskazała ręką rząd portretów wiszących na ścianie. – Chodzi mi o portret w tym stylu. Co pan o tym sądzi, panie Portalski?

Mężczyzna zaczął się powoli przechadzać wzdłuż galerii najwybitniejszych przedstawicieli tutejszej palestry. Zuza w tym czasie uważnie mu się przyglądała, bo dotąd bardziej skupiała się na jego pracach niż na nim samym. Tak na pierwszy rzut oka nie wyglądał na malarza, ale właściwie nie wiedziała, jak powinien wyglądać malarz. Wszystko, co wiedziała na ich temat, czerpała z literatury i filmu, a to mogło być bardzo mylące.

– Niezłe – rzekł po chwili, ale bez cienia entuzjazmu. No tak, autorami byli prowincjonalni artyści amatorzy, nie profesjonaliści.

– Podejmie się pan tego zlecenia?

– To zależy od tego, czy pani zaakceptuje moje warunki.

– Jasne. Ile pan żąda?

Uśmiechnął się. Ładny miał uśmiech. W ogóle przystojny był ten goguś, szkoda, że taki młody.

– Pani mnie źle zrozumiała, nie chodzi tu o pieniądze.

– To faktycznie nie połapałam się, w czym rzecz. To wal, chłopie, prosto z mostu i miejmy formalności za sobą. – Posłała mu wyczekujące spojrzenie.

– Ja mam inne wizje portretu. Ja maluję nowocześnie. Te portrety są staromodne. Teraz się tak nie maluje. Wie pani, co to jest sztuka nowoczesna?

– No tak, Picasso, Dalí. Czy mam rozumieć, że chce pan z kwadratów i kół stworzyć moją podobiznę, na dodatek z cieniutkimi zakręconymi wąsami à la Salvador?

– No niezupełnie. Jednak to będzie taka nowoczesna sztuka. Ostre szokujące kolory przyciągną każde spojrzenie.

Zuza zaczynała żałować, że go zaprosiła. Przedstawione wizje jakoś nie trafiały w jej gust.

– Ale widziałam, jak pan szkicuje te kobiety, one są bardzo podobne do oryginałów.

– To proste kobiety, one nie rozumieją sztuki i nie kupiłyby czegoś innego, a muszę z czegoś żyć.

– Czyli traktuje to pan jak zwykły biznes, a czemu i tego zlecenia nie chce pan tak samo potraktować? – Nie kryła zdziwienia.

– Bo pani należy do śmietanki tego miasta. Nie śmiałbym pani wciskać takich bohomazów. Pani zasługuje na to, żeby pani podobiznę powiesić o tutaj. – Wskazał pusty fragment ściany. – Prawdziwe dzieło sztuki. Czyż nie mam racji?

Cwaniaczek, urabia mnie jak mokrą glinę, pomyślała.

– A ile pan sobie policzy za to dzieło sztuki? Pewnie krocie, no bo byłoby wstyd takie dzieło sztuki oddać za bezcen – zakpiła, przygaszając papierosa.

– I tu się pani myli, potraktuję to jako reklamę moich możliwości. Do pani przychodzi mnóstwo klientów, często ludzi zamożnych. Myślę, że niejeden skusi się na podobne dzieło. Co pani na to?

Zdumiała się. Kompletnie ją zaskoczył.

– Czy mam rozumieć, że to będzie prawie za nic?

– Tak, co pani na to?

– No nie wiem, tak czy owak zanim zapłacę, muszę zobaczyć ten portret. Nie kupuję kota w worku, w końcu jestem prawnikiem.

– Zgoda, będzie pani zachwycona, tego jestem pewien. Mało tego, pani portret będzie głównym obiektem na wernisażu moich dzieł.

– Dobrze, kiedy weźmie się pan do roboty? – Wyjęła z torebki notatnik i długopis. – Jutro mogę panu poświęcić godzinę, powiedzmy… – zawahała się – między dwunastą a trzynastą. Pasuje?

– Oczywiście, ja jako artysta mam nienormowany czas pracy. Będę u pani w domu o dwunastej.

– W domu? Wykluczone! Tu w pracy. W domu nie ma na to warunków. Mam bardzo uciążliwe zwierzęta, przeszkadzałyby.

– Ja lubię zwierzęta – upierał się. – Tu nie ma dobrego światła.

– Powiedziałam: nie! – rzekła, podnosząc głos. Nikt nie będzie jej niczego narzucał i basta.

– No dobrze, spróbuję tu. Jutro, w samo południe.

Ledwie malarz opuścił pokój, a zjawiła się Jolka.

– Przystojny ten malarz.

– Skąd wiesz, że to malarz? – zdziwiła się Zuza. – Po czym to poznałaś?

– Proponował mi namalowanie mojej podobizny, ale nie zgodziłam się.

– Pewnie za drogo?

– Nie, chciał to zrobić za darmo.

– Co jest, do cholery? Instytucja charytatywna? Czemu odmówiłaś?

Aplikantka zaczerwieniła się.

– Chyba nie powiesz, że złożył ci niemoralną propozycję? Na to jest paragraf. Dobierzemy mu się do dupy tak, że długo na niej nie usiądzie.

– Chciał, żebym pozowała nago.

A to sukinsyn! Jej tego nie zaproponował. Też by się nie zgodziła, ale byłoby jej przyjemnie.

– Uważaj na niego. Moja ciotka zawsze mawiała, żeby wystrzegać się chuja, sądu i prądu. Z własnego doświadczenia wiem, że miała rację. Co z tymi protokołami sekcyjnymi? Może sama mam się przejść do tego sukinsyna Ludwickiego?

– Pani Zuzo, ale on jest jeszcze na urlopie. Ja o tym pamiętam.

– Idę do tej szkoły. Może w końcu uda mi się porozmawiać z wychowawcą. Dwa razy już byłam i za każdym razem się z nim mijałam. Ty tymczasem zrób trochę miejsca, żeby ten malarzyna mógł rozłożyć sztalugi.

Tym razem miała szczęście. Woźna wywołała nauczyciela z lekcji. Łysy, z długą kędzierzawą brodą, bardzo charakterystyczny z wyglądu, nieraz widywała go na ulicy. Już wiedział, że szuka go jakaś adwokat, ale nie wiedział w jakim celu. Kiedy wyłuszczyła mu cel swoich odwiedzin, bardzo się wystraszył.

– Ale ja nic nie wiem, ja nikogo nie pamiętam. – Głos mu się łamał. – O co pani chodzi?

Zuzie natychmiast zapaliło się światełko ostrzegawcze. Zachowanie bardzo podejrzane. Ten mężczyzna coś ukrywa. Czyżby to jego szukała?

– Pokazałam panu spis nazwisk i pan nikogo nie kojarzy? – zdziwiła się. – Mnie pamiętają nawet wychowawcy z przedszkola.

– Pewnie niczym się nie wyróżniały – bąknął, spuszczając wzrok. – Uczyłem setki dzieci, trudno wszystkich spamiętać.

– Może ich podobizny bardziej odświeżą panu pamięć?

Z torebki wyjęła plik fotek i mu je podała.

Nerwowo je przerzucał. Żadnemu dokładniej się nie przyjrzał. Widziała, jak mu przy tym drżą dłonie. Sukinsynu, masz nieczyste sumienie. To jest pewne. Tylko co masz za uszami?

– Niestety, ale w niczym nie pomogę. Nikogo nie pamiętam. – Oddał jej odbitki. – Czy to wszystko? Jestem w połowie lekcji.

– Jak na dziś to wszystko – odparła złowieszczo.

– Do widzenia.

Nauczyciel skłonił się sztywno i szybkim krokiem ruszył korytarzem w stronę klasy. Zuza jeszcze chwilę mu się przyglądała. Jeśli to ty, to marny twój los. Dorwę cię i przemielę jak mięso w maszynce. Tak czy owak, jeszcze z tobą nie skończyłam.

Ledwie opuściła budynek szkoły, od razu zapaliła ekstra mocnego. Jak mogła bez nich żyć tak długo? Sama się sobie dziwiła. Na tyłach sklepu meblowego

zobaczyła gromadkę uczniów. Po kryjomu palili papierosy. Też w ich wieku zaczęła swoją z nimi przygodę.

– Pani mecenas! – Usłyszała znajomy głos. To Nowakowski, dyrektor pobliskiego Polmozbytu. – Dzień dobry, słyszałem, że kupiła pani sobie nową gablotę.

– A i owszem. Myślę, że to zakup już na wiele lat, może do emerytury. Widzę, że w tym mieście nic się nie ukryje.

– Płock jest mały, a pani znana, więc proszę się nie dziwić. Zresztą po mieście jeździ niewiele takich bryczek. Mam opony na magazynie, ten rozmiar pasuje idealnie do mercedesa. Nie jest pani zainteresowana?

– To mnie pan zaskoczył. Nie wiem, czy potrzebuję. Zorientuję się, w jakim stanie są moje, i się do pana odezwę.

– Dobrze, pani mecenas, tylko niech pani o oponach nie mówi przez telefon, bo ponoć wciąż mamy je na podsłuchu.

– Spokojnie, jeśli powiem, że się do pana wybieram, to będzie oznaczać, że jestem zainteresowana. Jak już pana widzę, to przypomniało mi się, że mój sąsiad szuka nowego akumulatora do łady.

– Da się załatwić. Niech przyjdzie i się powoła na panią.

Idąc do kancelarii, po drodze zobaczyła Portalskiego. Robił to, co zawsze, szkicował jakąś kobietę. Niezmordowany, pomyślała i poszła dalej. W kancelarii czekała na nią wedlowska bombonierka.

Zdziwiła się.

– Skąd to? – spytała aplikantkę.

– To od tego malarza. Chyba mu pani wpadła w oko. Kazał panią pozdrowić.

– Niech się lepiej zajmie moim portretem.

Westchnęła głośno i otworzyła opakowanie.

– Poczęstuj się, czekolada i cukier pobudzają myślenie. Muszę przyznać, że z tym nauczycielem to miałaś nosa. Coś z nim jest nie tak.

Jolce oczy zabłysły z podniecenia.

– Naprawdę? Myśli pani, że to on?

– Do cholery, a skąd mam to wiedzieć? Że mu się łapy trzęsły, jakby miał Parkinsona, to jeszcze za mało, żeby z tego wyciągać jakieś wnioski. Trzeba mu się

dokładniej przyjrzeć. Teraz zabieram się do domu, muszę trochę tam ogarnąć, bo Geńka chora, a ma przyjechać Eduardo.

– To świetnie. Niech go pani ode mnie pozdrowi. A może tu zajrzy? – Oczy jej zabłysły.

– Zdaje się, że masz narzeczonego? Czy muszę ci to wciąż przypominać? Chyba że coś się zmieniło, a ja o tym nic nie wiem?

– Nic się nie zmieniło, ale on jest taki słodziutki… – Jolka się rozmarzyła.

– …że aż się chce go przytulić – dopowiedziała Zuza, kręcąc głową. – Oj, Jolka, Jolka, chyba ci hormony za bardzo buzują. Biegnij do łazienki i wsadź głowę pod kran z zimną wodą, to czasem pomaga.

Idąc do domu, natknęła się na Piosika. Podpierał jedną z bram przy ulicy Grodzkiej i próbował bezskutecznie przypalić papierosa. Nic dziwnego, bo jakość zapałek będących ostatnio w sprzedaży pozostawiała dużo do życzenia. Przypaliła mu swoją zapalniczką.

– Dobrze, że cię widzę, musimy wrócić na łajbę i podrzucić kielich. To staje się pilne i najlepiej, żebyśmy z tym długo nie zwlekali.

Nie wyglądał na zadowolonego.

– Oj, czuję, że to się źle skończy.

– Nie kracz, będzie dobrze. Wrzucimy go do skrzyni i się ulatniamy, zejdzie nam kilka minut i po kłopocie. – Poklepała go przyjacielsko po plecach i poszła dalej.

Na jej kamienicy wisiał nekrolog Tomaszka. Zerknęła na niego.

– Pogrzeb o siedemnastej – usłyszała.

To żona pana Tadzia. Zuza nie zauważyła, kiedy tamta podeszła.

– I tak się tam nie wybieram – odparła sucho i weszła do budynku.

Ze skrzynki pocztowej wygarnęła korespondencję.

– Zuuuza! Kurrrrwa maaać! – przywitała ją Zgaga.

Rozejrzała się po mieszkaniu i zobaczyła wielką plamę na dywanie. Po nędznych resztkach ryby poznała, że to rzygi Wrzoda. Sukinsyn, nie miał gdzie pawia puszczać, tylko akurat na dywan? Jest tyle innych miejsc, a on zawsze wybiera to najtrudniejsze do czyszczenia. To jest słynna kocia złośliwość i za co ją to spotyka? Za to, że przygarnęła inwalidę?

Nie było zmiłuj, tylko musiała zakasać rękawy i sprzątnąć. Dopiero kiedy skończyła, przejrzała listy – pierwszy był z zakładu energetycznego, drugi z PKO, a trzeci nie miał nadawcy. Rozerwała kopertę. W środku znalazła kartkę złożoną na pół, a na niej przyklejone literki wycięte z gazety. Nieraz już takie liściki dostawała, więc w pierwszej chwili nie zrobił na niej żadnego wrażenia. Podeszła do okna, żeby lepiej widzieć.

„Suko, odpierdol się od tej sprawy. Przyjaciel".

Poczuła miłe mrowienie w kręgosłupie. Zabójca ewidentnie zaprosił ją do gry, rzucił jej rękawicę, a ona nawet nie zamierzała się zastanawiać. Walka ze świrami to był jej żywioł. Przyjaciel – co to za ksywka? Musi Teresę o to podpytać, bo może coś znaczyć. Jako psychiatra mogła się z czymś takim spotkać. Odłożyła anonim. W mieszkaniu zimno, że aż mózg zamarza, walnęła sobie kielicha stocka i chwyciła węglarkę.

– Opara, melduj! – Mariański siedział za biurkiem i mierzył kaprala groźnym spojrzeniem.

Ten stał przed nim wyprostowany jak struna.

– Towarzyszu kapitanie, melduję, że obywatelka Lewandowska ma alibi na moment wypadnięcia tego młodego jej sublokatora o imieniu Tomasz. To nie ona go wyrzuciła.

– Jakie ma alibi? Meldujcie!

– My ją widzieliśmy. Cały czas ją śledziliśmy. Tu jest raport.

Podał zwierzchnikowi kartkę.

– Odmaszerować!

Mariański z raportem Opary w dłoni usiadł za biurkiem i odczekał, aż zamkną się drzwi za podwładnym.

– Nie ma raportu, nie ma alibi – mruknął pod nosem i podarł kartkę. Teraz jednak zbytnio nie zaprzątał sobie głowy tą sprawą. Wciąż myślał o Stańczaku. Tamten miał go w garści i mocno trzymał za jaja, ale z Mariańskim się nie zadziera, a pierwszy się o tym przekonał wiele lat temu Baryła. Podniósł się z krzesła, podszedł do szafy. Sięgnął pod nią ręką i wyjął stamtąd małe zawiniątko. W chwilę potem trzymał w dłoni parabellum. Przeładował je i wcisnął za pasek. Zdjął z wieszaka płaszcz, zarzucił go na ramiona i wyszedł z pokoju.

Czarna wołga zatrzymała się nad brzegiem Wisły nieopodal amfiteatru. Wysiedli z niej dwaj mężczyźni i wolnym krokiem ruszyli wzdłuż wałów przeciwpowodziowych.

– Mówcie, jak nasze sprawy? – odezwał się jeden z nich, ten w milicyjnym mundurze z dystynkcjami majora. – Oczekuję dobrych wiadomości.

– Niestety, tkwimy w martwym punkcie. Mało tego, ktoś się znów włamał na barkę – odparł prokurator Popławski, bo to on był tym drugim mężczyzną.

– Co tu się, kurwa mać, dzieje? Mówiłeś, że to kapitalne zabezpieczenie, a tu się okazuje, że byle chuj to otwiera! Raz po raz! Po cholerę drugi raz się włamywał, skoro wszystko zamienił? Po co miałby ryzykować? To nie ma sensu.

– Może tym razem to ktoś inny? Może teraz to ten Piosik? Pewnie jest ciekawy, co my tam przechowujemy. Jak by nie było, nasze zainteresowanie rodzi pytania.

– Gówno tam przechowujemy! – wybuchnął milicjant. – Wszystko diabli wzięli. Trzeba dorwać tego chuja, co nas wystrychnął na dudka, i strzelić mu w łeb.

– Ale najpierw musimy odzyskać złoto.

– To zrozumiałe. Niech tylko ten sukinsyn wpadnie w moje łapy, a wszystko wyśpiewa. Będzie błagał o kulkę. Wciąż nie daje mi spokoju pytanie: kim on jest? Jedynie Błaszczak wiedział o tej drugiej skrzyni, ale on nie żyje. On już nie puści pary z ust.

– A ten Organek? Myślisz, że się nie kapnął, że są dwie skrzynie?

– Za głupi na to, to taki wiejski głupek. Wziąłem go na spytki i jestem pewny, że mówił prawdę.

– Ale był jeszcze ktoś trzeci. Jak to możliwe, że nikt nie wie, kim on jest?

– Pewnie przyplątał się na budowę akurat w tym momencie, kiedy znaleźli skrzynię, i to wszystko. Nie wierzę, że jakiś obszczymur potrafiłby przygotować taką operację. Przecież musiał wynająć rzemieślnika, i to zdolnego, żeby mu wykonał falsyfikaty, a później je podmienić. To jest spore przedsięwzięcie. Na to potrzeba środków.

– Może ktoś nas podsłuchał? Ponoć w komendzie znaleziono ukryte mikrofony. Nie wykluczam, że są i w prokuraturze.

– Nie wiem, nie wiem. – Milicjant znów podniósł głos, wyraźnie podenerwowany. – Wciąż nic nie wiem. Weźmy znów na spytki tego Piosika.

Skurwiel coś musi wiedzieć. Popytajmy w jego środowisku, może jak nie on, to jakiś jego zdolny uczeń otworzył tę przeklętą kłódkę. I jeszcze jedno, wczoraj dostałem telefon z Warszawy. Dzwonił stary kumpel jeszcze ze szkoły oficerskiej, ostrzegał mnie, że wydział wewnętrzny ma na mnie oko, a zatem musimy jeszcze bardziej uważać. Ktoś nam robi koło pióra. Być może to ten, kogo szukamy.

Nadjechał gazik milicyjny i z piskiem opon zatrzymał się przy mężczyznach. Zza kierownicy wyskoczył chłopak w mundurze milicyjnym i zasalutował oficerowi.

– Towarzyszu majorze Klecki, pilnie was wzywają na komendę.

– A co się stało?

– Ponoć ktoś przyjechał z Warszawy.

Eduardo z pękiem czerwonych róż wkroczył do mieszkania Zuzy.

– Siostra! – Niespodziewanie przytulił Zuzę do siebie. – Ja się cieszyć, że cię widzę. A to moja narzeczona. Jozka! – krzyknął, odwracając się w stronę drzwi.

Szczupła, niewysoka dziewczyna, oczywiście blondynka, pojawiła się w progu.

Kubańczyk spojrzał na Zuzę niespokojnie.

– No i jak? Urocza? Ja mieć dobry gust. Jozka mnie kochać i ja kochać Jozka.

– Józka. – Zuza w końcu go poprawiła.

– No tak, Jozka. Jozka być prawnik, tak jak ja. Ona za jeden miesiąc i jeden miesiąc być moja żona.

Zgaga, widząc Kubańczyka, wyraźnie się ożywiła i zaczęła trzepać nędznymi resztkami piór. Nagle się wydarła:

– Eduuuuardo! Eduuuuardo! Głuuuupi kuuuutas! Drrrapać!

Słysząc to, roześmiał się.

– Ja też cię kochać. Zaraz ja cię miziać.

– To znaczy? – Zuza spojrzała na niego niespokojnie, bo Eduardo miewał szalone pomysły.

– Zaraz ty zobaczyć.

Podszedł do klatki i nim zdążyła zaprotestować, uwolnił papugę. Ta natychmiast sfrunęła na ławę, położyła się na grzbiecie i wyciągnęła szpony do góry. No i zaczęły się pieszczoty, drapanie po brzuszku, po szyi. Ara aż kłapała

dziobem z rozkoszy. Zuza patrzyła na to zdumiona, dotąd nie wiedziała, że Zgaga to lubi.

– To wszystko czeka cię po ślubie – rzekła do Józki z odrobiną ironii. – Siadaj. – Wskazała kanapę. – Napijesz się czegoś? Mam świetny koniak, może po lampce?

– Nie koniak! – krzyknął Eduardo. – Ja mieć dla ciebie, siostra, superpicie. Ja przywieźć ci rum, prawdziwy z Kuba. To prezent od moja mama. Stara butelka, jeszcze sprzed Castro, przed rewolucja.

Z wielkiej, podniszczonej lnianej torby wyciągnął butelkę i z dumą podał ją Zuzie. Z ciekawością zerknęła na etykietę.

„Havana Club".

– Brzmi nieźle – mruknęła pod nosem, sięgając po kieliszki.

– Sam Ernest Hemingway popijać rum. Siostra, to być lepsze niż koniak i zdrowsze. Ty spróbować i się przekonać. Ty palce lizać.

Borys podszedł do Józki i niespodziewanie położył łeb jej na kolanach. Nie miała wyjścia i musiała go głaskać. Zwierzaki wyraźnie się garnęły do gości, tylko Wrzód siedział na parapecie jakiś nabzdyczony. Pewnie gdyby przynieśli mu wędzoną makrelę, to lody by puściły, a tak strzelał focha.

– Niezłe – pochwaliła trunek Zuza.

– Można to zmieszać z innymi picia i robić z tego drinki – tłumaczył Eduardo. – Wiem, że mieszać rum z colą i jest wtedy boski w smaku. Może siostra masz cola?

– Nie mam, zresztą szkoda to rozcieńczać. Muszę sprawdzić w Pewexie, czy jest dostępny, bo może nie warto sobie na to zębów ostrzyć.

– Widzę siostra, że ci posmakować. – Kubańczyk porozumiewawczo puścił do niej oko.

– No to jeszcze na drugą nóżkę. – Zuza wzięła butelkę, żeby rozlać ponownie. Dziewczyna spojrzała na nią zdziwiona, najwyraźniej po alkohol sięgała sporadycznie. Eduardo natychmiast to zauważył.

– Jozka, moja siostra mieć mocna głowa. Ale ty nie pić. Ty jechać auto na powrót do Warszawa. – Objął ją ramieniem. – Moja siostra to wielka adwokat, ja ci opowiadać. Ona łapać bandyta, taki Sherlock Holmes. Super. Ja być, siostra, dumny z ciebie.

– Słyszałam o pani i chciałam panią poznać. Na studiach doktor Romianek wspominał o pani śledztwach.

– Stefan Romianek?

– Tak, zna go pani?

– Oczywiście, to przecież kolega ze studiów. Mówisz, że doktor? Zdolny był, wróżyłam mu karierę naukową. Jeśli go kiedyś spotkasz, to pozdrów go ode mnie.

– Siostra, zupełnie ja zapomnieć, ja mieć dla siostra cygara. To też mama dać dla siostra.

Znów sięgnął do torby i wyjął spore tekturowe pudełko. Zuzie aż oczy zabłysły z pożądania.

– Nie trzeba było – odparła pro forma i szybko chwyciła podarunek, jakby się bała, że darczyńca może się rozmyślić. Od razu przygasiła papierosa i wyjęła cygaro. Powąchała je z wielką rozkoszą. Na jej twarzy rozlał się błogi uśmiech.

– Nikt inny takich nie produkuje – wyszeptała.

Nagle rozległ się potworny huk, wyleciała szyba z okna, szkło posypało się na podłogę. Wrzód zeskoczył z parapetu i z głośnym miauczeniem uciekł do kuchni. Eduardo i Józka, bardzo wystraszeni, poderwali się na nogi, tylko Zuza ani drgnęła. Siedziała niczym posąg i dalej z nieskrywanym zachwytem wpatrywała się w cygaro.

– Co to, wojna?! Amerykany atakować?! – krzyknął Eduardo. – To pewnie Reagan? U nas na Kuba wciąż o nim mówić.

– Nie, to jeszcze nie Reagan. To tylko jakieś gnojki, hołota na co dzień mnie nie lubi, ale jak grozi im kiblowanie, to mnie wtedy zaczynają kochać. Takie jest życie. Za zasłoną, przy ścianie stoi płyta pilśniowa, Eduardo, czy możesz nią zasłonić okno, bo wpada zimno? – rzekła beznamiętnym głosem i w końcu z wielkim namaszczeniem zapaliła.

– Siostra, ty to mieć stalowe nerwy – rzekł, nie kryjąc podziwu.

Stańczak, w sztok pijany, szedł ulicą Piekarską. Chwilę wcześniej opuścił restaurację Staromiejską, gdzie opijał z kumplami swoją wolność. Czuł się zupełnie bezkarny, mógł robić to, co mu się żywnie podoba. Jakby co, to ten przygłup Mariański wyciągnie go z mamra. Czuł, że ma sukinsyna w garści.

Z kieszeni wyjął papierosy i zaczął szukać zapałek. Cholera, musiał je zostawić w knajpie. Z przeciwka szedł jakiś mężczyzna.

– Ej, koleś, daj ognia – zaczepił go. – Nie słyszysz? – Dopiero teraz poznał Mariańskiego. – O, moja ulubiona parówa. – Roześmiał mu się prosto w twarz. – Dawaj ognia, i to już. – Podniósł głos.

– Masz – wyszeptał kapitan i zza pazuchy wyciągnął parabellum. Wymierzył broń w pierś Stańczaka i nim tamten w jakikolwiek sposób zareagował, nacisnął spust. Huk wystrzału rozniósł się po ulicy. Po chwili następny i jeszcze jeden. Bandzior zgięty wpół runął na chodnik. Mariański nachylił się nad nim i przyłożył mu lufę do czoła.

– Ty gnoju, to tak na wszelki wypadek.

I znów nacisnął spust.

Wyprostował się, rozejrzał po ulicy, po czym schował broń pod płaszcz i szybko się oddalił.

Drzwi od piwnicy uchyliły się. Zakapturzony mężczyzna zapalił świeczkę, a następnie otworzył skrzynię. Z zachwytem patrzył na sporą już kolekcję kobiecych majtek, nim dołożył do niej kolejne damskie figi. Podszedł do ściany, zza pazuchy wyjął zrolowany papier. Wyprostował go i powiesił na jakimś gwoździu wystającym z cegieł. Chwilę mu się przypatrywał, po czym zgasił świecę i opuścił pomieszczenie.

W nocy Zuzę zbudził jakiś łomot. Co jest, do cholery? Czyżby Eduardo źle przymocował dyktę w oknie, a może ktoś próbuje się włamać przez wybitą szybę? Chyba nie ten milicjant. Jeśli tak, to tym razem bardziej przyłoży się do pogrzebacza. Chwyciła go i na bosaka, żeby przypadkiem nie robić hałasu, zaczęła się skradać w stronę salonu.

Obeszła całe mieszkanie, ale nikogo nie było. W końcu zapaliła światło i wtedy poczuła ciarki w kręgosłupie. Stała tak z pogrzebaczem w dłoni, w samej koszuli nocnej, i nie mogła oderwać wzroku od bukietu przyniesionego przez Eduarda. Ktoś w nocy, kiedy ona spała, wszystkie róże pozbawił kwiatów i zostały same łodygi. Gdzie one się podziały? Rozejrzała się po pokoju, ale nigdzie ich nie zobaczyła. Od nowa przeszukała całe mieszkanie, zajrzała nawet do śmietniczki,

ale bez powodzenia. Niepokój, który ją ogarnął, był chyba większy niż wtedy, kiedy ktoś jej podrzucił ludzką głowę. Ten ktoś zaczął się z nią bawić w kotka i myszkę. W tej grze poczuła się myszką, ale na dodatek z opaską na oczach. Wyjrzała na ulicę, ciemno. Rzadkie latarnie ledwie się żarzyły, w tym świetle nie zobaczyłaby nawet maszerującego pułku wojska.

Sukinsynu, w co ty grasz? – zastanawiała się. Jeśli myślisz, że mnie wystraszyłeś, to jesteś w błędzie. Chyba mnie nie znasz. Dziś mnie tylko wkurwiłeś, bo róże były piękne, a to moje ulubione kwiaty.

– Skurrrwiel! Skurrrwiel! – rozwrzeszczała się papuga.

– Teraz kłapiesz dziobem? Czemu milczałaś, jak tu wlazł?

Następnego dnia zerwała się z łóżka wcześnie rano, ubrała się, zrobiła makijaż i fryzurę, po czym pobiegła do baru mlecznego na śniadanie.

Ledwie weszła do biura, jak wpadł tam Nowak.

– Mamy następną ofiarę – zakomunikował jej.

– Kto tym razem? Też jakaś młoda dziewczyna?

– Tak, kelnerka. Pracowała w restauracji Pod Kasztanami. Codziennie tam dojeżdżała z Płocka. Tym razem ponoć spóźniła się na autobus powrotny i zabrała tak zwaną okazją.

– Niezła okazja, ostatnia w życiu – mruknęła Zuza pod nosem i zapaliła papierosa. Pomyślała o swoim obiedzie w tej restauracji. Być może nawet ta kelnerka ją obsługiwała, a może to ta, co była portretowana?

– Domyślam się, że wszystko przebiegło standardowo? Udusił ofiarę i zabrał jej figi czy tym razem wprowadził jakieś innowacje?

Sierżant spojrzał na nią czujnie.

– Czemu pytasz? Faktycznie, jest zmiana. Tym razem ofierze włożył coś w dłoń.

– Nawet wiem co. To było coś mojego, czerwona róża. Mam rację?

– Do cholery, skąd ty to wiesz? Jesteś jasnowidzem czy jak?

– W nocy, jeszcze przed popełnieniem morderstwa, był u mnie i zapierdolił mi siedem róż, samych kwiatów. Dowcipas jeden, zostawił mi w wazonie same łodygi.

– Ty w tym czasie byłaś w domu, kiedy on...?

– Owszem, smacznie spałam. Ale spokojnie, jak wiesz, on nie tyka mojego rocznika. Zresztą moje głośne chrapanie na pewno by go odstraszyło – zakpiła. –

Róż było siedem, a więc zostało jeszcze sześć. Muszę to skonsultować z Teresą, i to koniecznie. Zaraz do niej zadzwonię.

Sięgnęła po słuchawkę i wykręciła numer koleżanki.

– Cześć. Mam do ciebie interes, koniecznie musimy się spotkać, i to pilnie. Aha, mam coś świetnego, żeby sobie dać w szyję. Piłaś kiedyś oryginalny kubański rum? Przy okazji opowiem ci coś pikantnego na temat Kowalskiego.

– Gówno mnie obchodzi ten alfons, a co do rumu, to on mi się jedynie kojarzy z piratami, a to przez *Wyspę skarbów*, którą czytałam w dzieciństwie. No... niemniej mogę go spróbować. Za godzinę kończę pracę i jeśli to pilne, to po drodze do domu mogę do ciebie zajrzeć.

– Nie bardzo mi pasuje, bo będę zajęta. Przychodzi do mnie malarz.

– Znowu malujesz biuro? Chyba ciut przesadzasz.

– Nie biuro, ale siebie.

– Mów jaśniej, proszę? Co malujesz? Włosy, usta, brwi?

– To jest prawdziwy artysta malarz, będzie malować mój portret.

Po drugiej stronie zaległa cisza. Dopiero po dłuższej chwili Teresa zareagowała.

– Ja wtedy żartowałam, a ty dałaś się w to wkręcić. Ale ci odpierdoliło!

– Nazwij to jak chcesz, może i mi odpierdoliło, ale przynajmniej mój portret w końcu zawiśnie w gabinecie. Możliwe, że jestem próżna, ale stać mnie na to. Zresztą sama mi wielokrotnie mówiłaś, że przerosłam swoich poprzedników, że mogą mi jedynie buty czyścić.

– No tak, ale żeby sobie od razu portret malować?

– Kurwa mać, no przecież go sama nie maluję. Wiem, że to narcyzm w najczystszej formie, powiedziałabym podręcznikowy. Przyjdź do mnie, to pogadamy o tym na spokojnie.

Trzasnęła słuchawką.

– Co ją ugryzło? Ty też myślisz, że mi odpierdoliło? – Spojrzała na Nowaka.

– Bo ja wiem? Nigdy nie chciałem mieć swojego portretu – odparł sierżant wymijająco, po czym podniósł się z krzesła. – Idę już, mam wezwanie do szkoły.

– Znów najmłodszy narozrabiał? Oj, jak go nie poskromisz, to będę mieć następnego klienta albo skończy jak ten cały Tomaszek.

– Lepiej nie kracz. Jutro tu zajrzę i zobaczę tę twoją podobiznę.

– Chyba cię pojebało? Nie tak szybko! Myślisz, że zejdzie mu z tym tylko jeden dzień? To będzie prawdziwe dzieło sztuki. Na to potrzeba czasu. To nie jest malarz pokojowy, ale facet po Akademii Sztuk Pięknych, jednym słowem zawodowiec, a nie jakiś byle lokalny paprak.

Sierżant wyszedł, Zuza sięgnęła po kieliszek i koniak. Zerknęła na portret Ambrożego.

– I co się śmiejesz? Ty też tak zrobiłeś, no bo skąd tu ten portret? Ja go nie zamawiałam. Felka, twoja sekretarka, by wiedziała, bo to ona go powiesiła, ale już od dawna nie żyje. Jabłko nie pada daleko od jabłoni i dlatego już niebawem i ja będę tu wisieć. Tak jak ty, ubrana w togę, będę dumnie wypinać pierś. Może wtedy przestaniesz strzelać takie durne papy. Nie będziesz mnie wciąż strofować. Nie masz do tego prawa, bo już osiągnęłam więcej niż ty, mało tego, dokończyłam sprawy, których nie udało ci się rozwiązać.

Ktoś zapukał do drzwi. Uchyliły się i zobaczyła głowę malarza.

– Wchodź pan!

Wszedł wolno, zgięty pod ciężarem sztalugi. W jednej ręce trzymał jeszcze płócienną torbę, a w drugiej spore płótno naciągnięte na drewnianą ramę.

Zuza zapaliła ekstra mocnego i bacznie obserwowała poczynania przybysza. Najpierw przestawił jej fotel pod przeciwległą ścianę.

– Tu będzie dobre światło – wyjaśnił, widząc jej zdziwione spojrzenie. Sztalugi rozstawił na miejscu fotela.

Spojrzał na Zuzę.

– To co? Zaczynamy?

– To co mam robić? – spytała.

– Nic, proszę usiąść w fotelu i siedzieć nieruchomo.

– A oddychać mogę? – zakpiła, biorąc nowego papierosa.

Rozsiadła się we wskazanym miejscu i dumnie wypięła biust. Skoro wystawiła się na kpiny i krytykę najbliższego otoczenia, to niech to będzie tego warte. Ma być dostojnie, ma z wrażenia zapierać dech w piersiach.

Malarz chwycił ołówek i zabrał się do szkicowania. Minęła godzina i Zuza zaczynała się niecierpliwić.

– Może zrobimy przerwę? – zaproponowała w pewnym momencie.

– Za chwilę, mam natchnienie – odburknął, nawet nie odrywając oczu od płótna.

Minęła następna godzina. Zuza miała już tego serdecznie dość. Zaczynała żałować, że wpadła na ten pomysł.

– No, kochanieńki. Moja cierpliwość się skończyła. Jeszcze chwila, a chwycę cię za ten kolorowy kubraczek, otworzę okno i spuszczę cię na ulicę. Nawet się nie zawaham. Basta!

Zerwała się na nogi i podeszła do biurka. Wyjęła z niego stocka.

– Napijesz się?

Uśmiechnął się z zakłopotaniem.

– Dziękuję. Jeszcze się nie nauczyłem.

– Nic straconego. To jest bardzo proste. Zamykasz oczy, krótka modlitwa, wdech i wypijasz, tylko duszkiem. Później następna modlitwa, wdech, znów oczy zamknięte i chlup.

Rozlała trunek do dwóch kieliszków.

Podniosła swój.

– Za ten portret!

Portalski też swój podniósł, choć z ociąganiem. Wypili. Mężczyzna skrzywił się okropnie, tak jakby napił się octu, a nie przedniego alkoholu.

Zuza szybko ponownie napełniła kieliszki.

– No to jeszcze na drugą nóżkę.

– Może już dość? – Malarz próbował się wymigać od drugiego toastu.

– Co to jest dwa kieliszki dla prawdziwego mężczyzny?

Mściła się teraz za dwie godziny mordęgi na fotelu. Niech on też trochę pocierpi.

– Niech będzie – odparł z rezygnacją i znów stock popłynął do ich gardeł.

Odstawili kieliszki i ku zaskoczeniu Zuzy tym razem Portalski sięgnął po butelkę i rozlał.

– No to jeszcze na trzecią nóżkę – zabełkotał niewyraźnie.

Około godziny osiemnastej zadzwoniła po Nowaka, żeby ją ratował i zjawił się w kancelarii.

Czekając na sierżanta, wykręciła do znajomego taksówkarza, żeby podjechał pod kancelarię i czekał na klienta. Nowak stawił się po kwadransie.

– Dziękuję ci bardzo. – Zuza nie kryła wdzięczności. – Pomóż mi się pozbyć tego malarzyny. Wypił cztery kieliszki i padł mi pod biurko. Myślałam, że za jakiś czas wytrzeźwieje na tyle, że sam sobie pójdzie, ale się przeliczyłam. Gdybym nie piła z tej samej butelki, to pomyślałabym, że on chlał spirytus. Na ulicy stoi taksówka, ma go zawieźć do domu.

Sierżant schylił się nad Portalskim i szarpnął go do góry. Tamten przelewał mu się przez ramię, bełkotał bez sensu, ale po kilku krokach ochłonął trochę i pozwolił odholować się na dół. Jeszcze długo słychać było jego pijackie mamrotanie.

Kiedy wyszli, Zuza podeszła do obrazu. Był zasłonięty cienkim materiałem. Delikatnie go rozchyliła.

– O kurwa mać! Co to jest!?

Patrzyła z przerażeniem na jakiś bohomaz, w którym trudno było się dopatrywać zalążków portretu. To ma być ta sztuka nowoczesna?

Spojrzała na zegar. Musiała wracać do siebie, i to migiem. Przecież zaraz miała ją odwiedzić Teresa. Szybko zamknęła kancelarię i ruszyła Tumską w stronę placu Narutowicza. W pewnej odległości za nią podążał jak cień kapral Opara. Udała, że go nie widzi. Na Grodzkiej w bramie stał Piosik w towarzystwie jakiegoś żula.

– Jutro wieczorem, dziś nie mam czasu! – krzyknęła do niego i przyspieszyła.

Teresa czekała już przed drzwiami.

– Myślałam, że zapomniałaś – rzekła z wyrzutem.

– Przepraszam, ale to wszystko przez ten przeklęty portret. Po pierwsze, malarz się upierdolił, a po drugie, kiedy zobaczyłam jego dzisiejszą pracę, to o mało nie zeszłam na serce.

Lekarka uśmiechnęła się, ale to był bardzo znaczący uśmiech.

Zuza otworzyła drzwi i wpuściła koleżankę do mieszkania. Od razu przyplątał się Wrzód i otarł się o nogi gościa. Teresa schyliła się i wzięła go na ręce.

– Biedaczek, następnym razem przyniosę ci wędzoną makrelę – szepnęła mu do ucha, a kot natychmiast nie wiadomo dlaczego, ale na pewno nie z wdzięczności, pacnął ją pazurem prosto w policzek. Teresa krzyknęła, w chwilę potem zalała się krwią, odruchowo puściła kota, ten spadł na podłogę, fuknął ze złością i pokuśtykał do kuchni.

Zuza podeszła do poszkodowanej i obejrzała ranę.

– A to sukinsyn! Zaraz cię opatrzę. Raczej blizny z tego nie będzie.

– Nie przejmuj się. I tak go lubię, jest słodki. Biedaczysko tyle w życiu wycierpiał.

– Co ty pierdolisz? To jest istny potwór. Nawet nie wiesz, ile osób już podrapał. Chyba w końcu oddam go Geńki znajomemu, a on się nim odpowiednio zajmie.

– Nie wierzę, że to zrobisz. Od lat grozisz Zgadze, że ją ugotujesz, ale jak na razie w garnku nie wylądowała.

– Wszystko do czasu. Zaczynam ich wszystkich mieć dość. Wczoraj Borys nasrał na środku pokoju, i to nie pierwszy raz. Mam całe dłonie w bliznach po ranach zadanych dziobem tej wrednej pierzastej kreatury.

– Zuuuza! Kuuuurwa maaać! Zuuuuza! Kuuuurwa maaaać!

– No właśnie, a na dodatek bluźni jak szewc albo nawet gorzej.

– Sama ją tego nauczyłaś.

– O przepraszam, kiedy ją dostałam, znała więcej niecenzuralnych słów niż ja. Właściwie to ja się od niej nauczyłam przeklinać. To wszystko to wina tego kierownika zoo, tego ichtiologa.

– Nie wygląda na takiego – zdziwiła się Teresa.

– Pozory czasem mylą. Tak jest z tym malarzem. Dobrze, że mu a conto nic nie zapłaciłam. Jeśli tego obrazu nie poprawi, to złotówki nie zobaczy. Zaraz nakleję ci plaster.

Poszła do kuchni po apteczkę.

Zadzwonił telefon.

– Słucham?

– Ty kurwo, twoje dni są policzone.

– Twoje też – odparła beznamiętnie i odłożyła słuchawkę.

– Kto to? – spytała Teresa.

– Nie wiem, ale sądząc po tym, co miał do powiedzenia, to jakiś stary znajomy. Nie warto o tym gadać, takich telefonów dostaję mnóstwo. Nawet cenzura im nie przeszkadza. Obiecałam ci, że poczęstuję cię pysznym trunkiem. Kubański rum, niebo w gębie. Zaraz się przekonasz.

– Co się stało? Jaki masz do mnie interes? Coś mi wspominałaś przez telefon.

– Co powiesz o seryjnym zabójcy, który włamuje się do twojego mieszkania tylko po to, żeby z bukietu róż odciąć same główki, a później jedną z nich wcisnąć w dłoń kolejnej swojej ofierze?

– Romantyk z niego. Kiedyś czytałam o czymś takim. On w ten sposób cię adoruje. Swoje zbrodnie dedykuje tobie.

– Wzruszyłam się, i to do łez. Zaraz sięgnę po chusteczkę – zakpiła Zuza. – Powiedz mi, czemu przyciągam tylko świrów? Żaden normalny facet nawet na mnie nie spojrzy.

– No, a ten lotnik, co chciał cię przewieźć szybowcem? Przystojniak z niego jakich mało.

– Tak, na dzień dobry zaraził mnie syfem. Wiesz, ile się wstydu najadłam? A ile penicyliny musiałam wziąć?

Zuza rozlała rum i podniosła kieliszek.

– Za nasze zdrowie! Chłopom na pohybel!

– Na pohybel! – zawtórowała jej Teresa.

Portalski siedział w Hortexie, szkicując jakąś kobietę, kiedy do lokalu wkroczył kapral Opara. Podszedł do niego i wyrwał mu szkicownik z ręki.

– Pójdziecie z nami – rzekł tonem nieznoszącym sprzeciwu. – A wy – zwrócił się do kobiety, groźnie marszcząc brwi – uważajcie, z kim się zadajecie.

– Ale o co chodzi?

Malarz patrzył na kaprala kompletnie zdezorientowany i jednocześnie zaskoczony całym zajściem. Nie kwapił się iść z Oparą.

– Dowiecie się na komisariacie. Podnieście dupę, bierzcie swoje graty i idziemy. Jeśli nie chcecie, to was zakujemy i siłą doprowadzimy.

W chwilę potem opuścili lokal.

– Nazwisko?

Mariański siedział za biurkiem i dłubał sobie wykałaczką w zębach.

– Portalski.

– A imienia to, kurwa, nie macie?

– Nie pytał pan o imię. Mam na imię Marek.

– Co was łączy z nijaką Lewandowską? Ruchacie ją?

Malarz zdumiał się.

– Co proszę? Kogo mam, jak pan powiedział, ruchać?

– No jak to kogo? Tę sukę Lewandowską. Byliście u niej kilka godzin. Chłopa baba nie ma, a tu taki byczek. – Kapitan zarechotał.

– Nie, nic takiego nie ma miejsca.

– Ale prostytutki to ruchaliście, że aż miło. Zaraz, zaraz. – Mariański zerknął do notesu. – Jedną trzy razy, a drugą cztery. Macie możliwości jak byk zarodowy w PGR. Pewnie i tę Lewandowską dosiedliście.

– A co, zazdrości mi pan?

– Uważajcie na to, co mówicie. My mamy na was oko i jak będziemy chcieli, to będziecie siedzieć. Macie pozwolenie na to, no jak mu tam?

– Ruchanie?

– Nie, na to bazgrolenie. Macie na to pozwolenie?

– Chyba nie trzeba na to pozwolenia.

– Chyba to w Radziwiu mieszka. Macie mi szpiegować tę Lewandowską. Macie notować każde jej słowo, wszystko. Zrozumieliście?

– A jak się nie zgodzę?

– Wtedy pogadamy z wami inaczej. Będziecie mieć przesrane, jakiem Mariański. Na koniec wsadzę was do kryminału, a tam będzie samo ruchanie, ale nie ty, tylko ciebie będą ruchać, aż dupa ci spuchnie jak mn... – Zmieszał się. – Nieważne komu. Słyszeliśmy, że wciąż do Lewandowskiej chodzicie. Po co, skoro mówicie, że jej nie ruchacie?

– Maluję jej portret.

– Port... co? – zaciął się.

– No, jej podobiznę. Tak sobie zażyczyła.

– To nie może iść do fotografa? Coś knujecie! Może piszecie jakieś ulotki antypaństwowe? Jesteście malarz, to pewnie i to potraficie. Gadajcie, i to już.

– Ja jestem apolityczny. Mnie to nie obchodzi.

– Co was obchodzi, to my wiemy. Robicie ulotki. Pewnie chowacie je w tych waszych, jak je tam... Porrrr... tretach. My wszystko znajdziemy, przed nami nic się nie ukryje.

Zuza siedziała w barze mlecznym i pałaszowała wyśmienitą jajecznicę, która dziś była świetnie doprawiona. Niby proste danie, ale widać tu było rękę mistrza kuchni. Od kilku dni wszystkim zarządzał nowy kucharz, i to prosto z restauracji Petropol. Słyszała, że go stamtąd zwolnili za antypaństwowe wypowiedzi. Jemu zrobili źle, ale Zuzie i innym klientom baru wspaniale.

Kiedy skończyła, zabrała się do codziennej lektury gazety. Jak zwykle w informacjach prym wiodły czyny społeczne i wściekłe atakowanie amerykańskich imperialistów. Był spory artykuł o Kubie, który z racji sympatii do Eduarda przeczytała od deski do deski.

– Pani mecenas.

To taksówkarz, ten, co dzień wcześniej wiózł pijanego malarza do domu.

– Co tam, panie Edwardzie? Widzę, że już chyba wszyscy wiedzą, gdzie się stołuję.

– Pani mecenas, przyszedłem tu, bo musi pani o tym wiedzieć.

– To znaczy o czym? – Spojrzała na niego z zainteresowaniem.

– Ten gość od pani kazał się wieźć do Petropolu. Kiedy tam zajechałem, wysiadł i kazał na siebie czekać. Po kwadransie zjawił się z dwiema kurwami i pojechaliśmy do niego. Przez drogę im mówił, że za kilka dni będzie mieć kupę szmalu od mecenas Lewandowskiej, że maluje jej jakiś ważny obraz, że to coś więcej niż *Bitwa pod Grunwaldem*. Wciąż się na panią powoływał, a one mu uwierzyły.

– I co z tego? Co mnie obchodzą te dolarowe zdziry?

– Tak mówię na wszelki wypadek, gdyby się zjawiły u pani.

– A po co mają się u mnie pojawić? – zdumiała się.

– Jak to po co? Po pieniądze.

– Ciekawe. Mam nadzieję, że ten klient panu zapłacił za dodatkowy kurs, bo umawialiśmy się tylko na odwiezienie do domu?

– Tak, wszystko jest w należytym porządku.

Zuzie odechciało się nawet jajecznicy, tak się zdenerwowała informacją o portrecie.

Obraz ważniejszy od *Bitwy pod Grunwaldem*? Zaraz pójdzie do siebie i wypierdoli mu to płótno przez okno. Paskudny bohomaz. Teraz wiedziała, że ten pomysł z portretem był idiotyczny. Teresa miała rację.

Poderwała się z krzesła z takim impetem, że je wywróciła, i wyszła z baru.

Nawet nie odpowiedziała Jolce na powitanie, tylko wkroczyła do swojego pokoju. Ku jej zdumieniu Portalski już tam był. Stał skupiony z ołówkiem w dłoni przed sztalugą. Podeszła do niego, chwyciła płótno, po czym walnęła nim nic niespodziewającego się malarza w głowę, i to tak silnie, że materiał się rozdarł i głowa przeszła przezeń na wylot.

– A teraz wynocha! – ryknęła na niego, palcem wskazując drzwi. – Zabieraj stąd tę bitwę pod Grunwaldem i swoją dupę! I to natychmiast!

Mężczyzna patrzył na nią zupełnie zdezorientowany.

– Ależ pani Zuzo… – zaczął.

– Jeśli już, to pani mecenas. Po pierwsze, to jest jakieś paskudztwo, a po drugie, nie będziesz mi po Płocku rozgłaszał, co ci zleciłam. Cenię sobie swoją prywatność i byle malarzyna nie będzie mi tu wszystkiego rozpierdalał. Precz!

Usiadła w fotelu i zapaliła ekstra mocnego. Tymczasem Portalski w milczeniu zdjął płótno z szyi i zaczął pakować swoje manatki. Wiedział, że „dał dupy", i nawet nie próbował się bronić. Złożył sztalugi, farby spakował do torby.

– Przepraszam – bąknął na pożegnanie i otworzył drzwi z zamiarem wyjścia.

– Stój!

Zatrzymał się w progu i spojrzał na Zuzę pytająco.

– Zgodzę się na kontynuację tego przedsięwzięcia, ale na pewnych warunkach – oznajmiła mu niespodziewanie.

Na jego twarzy zagościło zadowolenie. Musiał bardzo potrzebować pieniędzy, bo na bok poszła cała jego męska duma.

– To znaczy? Na jakich?

– Po pierwsze, portret ma wyglądać tak jak tamte – wskazała ręką wiszące na ścianie – tylko ma być lepszy, nie jakiś nowoczesny bohomaz, a po drugie, jak jeszcze komuś słowo piśniesz o tym zleceniu, to wtedy naprawdę będzie koniec, a na dodatek nie zobaczysz nawet złotówki.

– Ale teraz się tak nie maluje – próbował zaprotestować.

– Dlaczego tak się nie maluje? Bo pewnie się nie umie inaczej? – spytała prowokacyjnie. – Dla mnie krowa powinna wyglądać jak krowa, a Lewandowska jak Lewandowska. Zrozumiano?

Oj, musiało go teraz zaboleć, to było widać po jego minie.

– Dobrze, będzie według życzenia. Portret wypisz wymaluj jak z pocztu królów Polski Matejki – odparł z nutką drwiny w głosie.

– Byle nie jak *Bitwa pod Grunwaldem*. – Nie pozostała mu dłużna. – Bierz się do roboty, bo dziś mam sprawę w sądzie i nie mogę się spóźnić.

Rozsiadła się wygodnie i czekała.

Zuza, wychodząc z kancelarii, na klatce schodowej natknęła się na dwie prostytutki. Znała je dobrze, to były koleżanki Pomponika, w której zakochał się młody Wierzbicki. Cały Płock wiedział, jak tragicznie zakończyła się ta historia.

– Pani mecenas, my po kasę – zaczepiła ją Lusia, wyzywająco umalowana brunetka.

– Czyżby? – Zuza uniosła brwi ze zdziwieniem. – Nie przypominam sobie, żebym wam coś była winna. Raczej nie korzystam z tego rodzaju usług.

– Nam nie, ale naszemu klientowi. Całą noc na nas jeździł, niewyżyty erotoman. Powiedział, że pani za wszystko zapłaci.

Zuza parsknęła niepohamowanym śmiechem.

– I to wy mówicie? Widzę, że kosa trafiła na kamień, a od kiedy obrabiacie krajowych klientów?

– Kryzys, wojna, a trzeba żyć – wtrąciła swoje trzy grosze druga z prostytutek, Fela, dziewczyna o twarzy anioła. – Zagraniczniaków jak na lekarstwo.

– Muszę was zmartwić, bo ja wam za jego figlowanie nie zapłacę. Gówno mnie to obchodzi, a prócz tego nic mu nie jestem winna. Jesteście takie cwane, a dałyście się zrobić w balona. Dobra rada: zawsze bierzcie kasę przed robotą, a nie po niej. Teraz mnie przepuśćcie, bo spieszę się do sądu.

Prostytutki rozsunęły się posłusznie, robiąc przejście.

– A to skurwysyn. Jak go dorwę, to mu tego kutasa urwę jak nic – odgrażała się Lusia.

– Ja tego nie słyszałam. – Zuza szeroko się uśmiechnęła. – Ale słuszna decyzja, należy mu go urwać.

Nie zdradziła im, że Portalski obecnie jest na wyciągnięcie ręki, nie chciała awantury w kancelarii, a prócz tego niech wreszcie skończy ten przeklęty portret.

W sądzie natknęła się na prokuratora Marciniaka.

– Witam szanowną koleżankę. – Sam ją zaczepił.

– Dzień dobry – odburknęła i chciała go minąć, ale złapał ją za rękaw togi.

– Może koleżanka poczekać? Mam kilka pytań, jeśli można.

– Kto pyta, nie błądzi, a kto pyta o nieodpowiednie rzeczy, kończy metr pod ziemią. Tak w każdym razie powiadają. Słucham.

Spojrzała wyczekująco na swojego rozmówcę. Nieczęsto Marciniak ją zaczepiał, ciekawe, czego chciał?

– Mam propozycję dla koleżanki. Zdradzę pani kilka szczegółów na temat zabójstwa Błaszczaka…

– A co w zamian? – weszła mu w słowo.

– Ma pani dobre układy z elementem. Potrzebuję informacji na temat pewnego człowieka.

– Milicja ma chyba swoich donosicieli w tym środowisku? Czyż nie?

– Owszem, ale oni okazali się tu zupełnie nieprzydatni.

– Bo ja wiem? – Skrzywiła się ostentacyjnie. – W sumie to ta sprawa mnie już gówno obchodzi. Mariański odzyskał wolność, mało tego, został oczyszczony z zarzutów. Sami szukajcie tego mordercy. Nie zamierzam was we wszystkim wyręczać. Bardziej interesuje mnie sprawa tego czubka, co zabija młode kobiety. Czy w tej kwestii kolega ma mi coś do zaoferowania?

– No nie bardzo. – Podrapał się po głowie, wyraźnie zakłopotany. – Sprawa utknęła w martwym punkcie.

– Jak ruszy, to proszę dać mi znać. Miłego dnia.

Minęła Marciniaka i wyszła z gmachu sądu.

Na ulicy natknęła się na Portalskiego, znów szkicował jakąś kobietę. Czemu teraz nie maluje jej obrazu i czemu nigdy nie rysuje mężczyzn? Pewnie są mniej próżni. Widząc ją, krzyknął na pół ulicy:

– Jutro przyjdę i będę kontynuował portretowanie!

– Miało być dyskretnie – mruknęła pod nosem i poszła w stronę komendy milicji, a konkretnie do biura paszportowego. Wiedziała, że i tym razem jej odmówią wydania paszportu, ale była uparta.

Dziś nawet kolejki nie było. Pewnie dlatego, że w stanie wojennym zamknięto granice i praktycznie zamrożono wyjazdy zagraniczne. Zapukała.

– Wejść! – Usłyszała dziwnie jej znajomy damski głos.

Nacisnęła klamkę i pchnęła drzwi. Jej zdumienie nie miało granic. Za biurkiem siedział nie kto inny, tylko sama Pawłowicz. A więc nie została wyrzucona z milicji, lecz jedynie skazana na banicję. No i straciła jedną gwiazdkę, znów była porucznikiem. Suka musiała mieć w Warszawie bardzo mocne poparcie. Uniosła wzrok znad papierów i natychmiast uśmiech rozlał się po jej wielkim obliczu.

– Kogo moje oczy widzą? Mecenas Lewandowska, wróg klasowy przyszedł po paszport. Jesteście niepoprawnym optymistą.

– Lepiej być niepoprawnym optymistą niż idiotą, który podrzuca kielich do biurka kochanka – odparła natychmiast Zuza z zadziorną miną.

– Musicie poczekać. Teraz mamy przerwę śniadaniową. – Pawłowicz z szuflady biurka wyjęła dwie wielkie kajzerki z salcesonem i zaczęła je ostentacyjnie jeść.

Tego było już dla Zuzy za wiele. Nie zamierzała patrzeć, jak to babsko będzie przeżuwać salceson. Rzuciła formularze na biurko tuż przed nosem milicjantki.

– Udław się tą bułą – warknęła i wyszła, na koniec trzaskając drzwiami.

Był środek nocy, miasto spało. W oddali słychać było ujadanie psów, po niebie co i raz przemykały nietoperze. Ulicą Jasną szła kobieta. Wracała z Cotexu, z pracy. Nagle jak spod ziemi wyrósł przed nią mężczyzna w kapturze na głowie i rzucił się na nią. Przewrócił ją na chodnik, zaczęli się szamotać. Napadnięta mimo zaskoczenia zażarcie się broniła. Napastnik ściskał palce na jej szyi, próbując ją udusić. Wydawało się, że osiągnął swój cel. Z ust kobiety wydobywała się piana, oczy wychodziły jej z orbit.

– Hej, co tam się dzieje? – krzyknął ktoś z daleka. – Sukinsynu, zostaw tę kobietę!

Bandyta zwolnił uścisk, zerwał się na nogi i rzucił do ucieczki, by w chwilę potem zniknąć w okolicznych krzakach.

Niedoszła ofiara usiadła na chodniku, próbując złapać powietrze. Trzymała się za gardło. Podszedł do niej mężczyzna, który przepłoszył dusiciela. Spojrzała na niego z wdzięcznością. Nie znała go, ładny. Niejednej mógł zawrócić w głowie.

– Dziękuję panu, gdyby nie pan, toby mnie zabił. Ale miałam szczęście. To pewnie ten seryjny zabójca, co grasuje w Płocku.

– Nie. – Roześmiał się. – To na pewno nie on.

Popatrzyła na niego zdziwiona.

– Skąd pan to wie? Był w kapturze…

– Ale ja znam tego prawdziwego. – Mężczyzna sięgnął ręką za siebie i zarzucił kaptur na głowę. – Teraz dobrze? To mój nieudolny naśladowca.

– Boże! – krzyknęła z przerażeniem kobieta.

– Głupia baba, Bóg ci tu nie pomoże. Masz dziś podwójnego pecha – zadrwił.

Zrobił krok w jej stronę, kobieta zaczęła się cofać.

– Nie rób mi krzywdy! Nic ci nie zrobiłam! Błagam cię! – Płakała.

Zabójca chwycił ją za gardło.

– Śmierdzisz tak jak wszystkie – szepnął jej do ucha i zaczął ją dusić.

Złapała go za ręce i próbowała się bronić, ale on ją przewrócił na ziemię i usiadł na niej okrakiem. Chwycił leżący nieopodal kamień i uderzył nim swoją ofiarę prosto w skroń. Straciła przytomność. Ponownie zacisnął dłonie na jej szyi i ją udusił. Tak jak poprzednie, wciągnął ją w pobliskie krzaki, zerwał z niej majtki, a na sam koniec włożył jej w dłoń uschniętą czerwoną różę, sam jej kwiat.

Już z samego rana Zuzę obudził okropny harmider. Zerwała się na równe nogi. Szybko ustaliła, że to za ścianą, że coś się dzieje u sublokatorów. Uchyliła drzwi i zobaczyła mężczyzn w waciakach wynoszących meble.

– Co wy robicie? Co tu się wyrabia?

– Wyprowadzamy tę panią. Miasto eksmituje ją do baraku na Cholerce, bo nie płaci czynszu.

Posłała im szeroki uśmiech.

– Nie wierzę w swoje szczęście. Nie przeszkadzajcie sobie.

Od razu poczuła się lepiej, taka świetna informacja już z samego rana. Ten dzień zapowiadał się interesująco. Włączyła radio, a tam latynoskie rytmy. Od

razu przypomniał jej się Eduardo. Trochę za nim tęskniła.

– Co to ma być?

Zuza stała przy sztalugach i patrzyła na owoc pracy Portalskiego. Wprawdzie obraz nie był skończony, ale znów źle się to zapowiadało. W każdym razie postać uwieczniona na płótnie w żaden sposób jej nie przypominała.

Jolka, słysząc krzyk, natychmiast zjawiła się w gabinecie. Stanęła za plecami pracodawczyni i nagle parsknęła śmiechem.

– Z czego się tak cieszysz? Gdybym była statystyczną Polką, to w tym momencie bym się rozpłakała, ale taką nie jestem. Niech tylko ten sukinsyn się pojawi, już ja z nim pogadam. Oj, popamięta mnie, i to na długo.

– Ale to nie pani portret.

W drzwiach stał winowajca, a właściwie ktoś, kto go jedynie z głosu przypominał, bowiem głowę miał całą obandażowaną i rękę w gipsie.

– Co to? A co ci się stało? Pewnie jakiś niezadowolony klient? – zadrwiła Zuza.

– Dorwali mnie. Chcieli mi złamać prawą rękę, ale ubłagałem ich, żeby lewą, bo muszę pracować. Muszę im oddać cztery tysiące złotych. Na tyle alfons tych panienek wycenił ich usługi. Może da mi pani coś a conto tego portretu?

Nie czekając na odpowiedź, która w tym momencie mogła być tylko jedna, podszedł do ściany i chwycił stojące tam płótno, po czym je odwrócił, a następnie podniósł.

Zuza zamilkła z wrażenia. To była ona, dumnie wypinała piersi, a co za mina? Pełna dostojeństwa. Właśnie taki portret jej się marzył. Trafił w samo sedno.

– Sukinsynu, wiesz, jak mnie podejść.

Sięgnęła po torebkę.

Zuza siedziała nieruchomo chyba z kwadrans i rozkoszowała się obrazem.

– Kowalski! Kowalski! – krzyknęła nagle w stronę drzwi.

Zjawił się błyskawicznie.

– Co się stało? – zapytał, a widząc przyjaciółkę w zdrowiu, zaraz dodał: – Nie strasz ludzi, myślałem, że ten seryjny zabójca się u ciebie zjawił.

– Masz młotek i gwóźdź?

– A co? Chcesz go komuś wbić w głowę?

– Spójrz. – Z dumą wskazała portret oparty o ścianę.

– O matko jedyna! – Kowalski aż usiadł na krześle. – No! Jestem pod wrażeniem! Daj kielicha – wyszeptał. – Trzeba to opić!

Zabrzęczało szkło i w chwilę potem wypili po lampce stocka.

– Niezłe, czy to przypadkiem nie robota tego gościa, co tu się ostatnio kręcił? Jak można się z nim skontaktować? Masz jakiś telefon do niego?

– Jak mi płótno zaraz powiesisz, to ci powiem.

– To biegnę po narzędzia.

– Jolka! – znów krzyknęła w stronę drzwi.

Aplikantka przybiegła migiem.

– Jak sprawa protokołów z sekcji tych kobiet? Masz je wreszcie? Nie mów mi, że ten sukinsyn Ludwicki wciąż jest na urlopie. No bo ile można na nim być? W ogóle to nie jest pora roku na wypoczynek.

– Jutro jestem z nim umówiona. Dzwonił do mnie, bo ściągnęli go z urlopu. Dziś w nocy zamordowano kolejną kobietę.

– Widzę, że nasz koleś nie próżnuje. My też nie będziemy. Dziś wieczorem odwiedzimy mieszkanie tego nauczyciela, którego wyniuchałaś. – Widząc zaskoczoną minę Jolki, zaraz dodała: – On jest akurat w Ciechocinku na dwudniowej wycieczce z dzieciakami. Możesz mieć rację, że to dobry trop.

– Ja też muszę iść? – Dziewczynie nie uśmiechało się włamanie do czyjegoś mieszkania.

Zuza rzuciła jej groźne spojrzenie.

– Słyszałam, że chcesz być taka jak ja? Skoro tak, to musisz nieraz zaryzykować i zrobić coś nielegalnego. Pamiętaj, działamy w dobrej wierze. Zresztą już nieraz to robiłaś. Nie bój się, weźmiemy ze sobą Nowaka, on nam otworzy drzwi. Zna się na tym, no może nie tak jak Piosik, ale wystarczająco. Przyjedziemy po ciebie około dwudziestej. Tylko nie wkładaj szpilek, bo to nie bal, a niski but przynajmniej ułatwia zwiewanie, nie ryzykujesz skręcenia kostki.

– Mój chłopak prosił mnie, żebym się do takich rzeczy nie brała, bo jak mnie złapią, to przekreślę sobie całą karierę zawodową.

Zuza, słysząc to, zmarszczyła groźnie brwi.

– Dureń! Już mi się on nie podoba, radzę ci, zerwij zaręczyny, nie wychodź za dupka. Teraz idę odwiedzić pewnego gościa. Wynalazca. Słyszałaś o Drejerze?

– To ten Niemiec. Chyba wszyscy w Płocku go znają.

– Kurwa mać, że jego dziadek był w wermachcie, to zaraz Niemiec! Co mnie to zresztą obchodzi, liczy się to, co on robi i kim się czuje.

– A to ma jakiś związek ze sprawą?

– Chce mi coś pokazać. Takie urządzenie, które podłączasz do delikwenta i do telewizora. Zadajesz mu pytania i na ekranie widzisz, czy mówi prawdę. Ponoć nie da się tego oszukać. Mogłoby się nam przydać. Bierzemy takiego sukinsynka, sadzamy w fotelu i pytamy: zabiłeś czy nie? Dobra, rozmarzyłam się. Idę.

To nie było daleko, kamienica przy zbiegu ulicy Sienkiewicza i Tumskiej, naprzeciwko sklepu spożywczego i piekarni. Pierwsze piętro. Bez trudu tam trafiła. Otworzył jej przystojny mężczyzna, ryżawy blondyn pod pięćdziesiątkę.

– Witam panią, pani mecenas. Zapraszam do środka. – Odsunął się na bok, żeby zrobić przejście.

Zuza weszła do mieszkania. Od razu zauważyła, że spore, w amfiladzie, ale i niemiłosiernie zagracone. Wszędzie pełno jakichś dziwnych, tajemniczych maszyn. Nie miała zielonego pojęcia, do czego mogą służyć. Przeszli przez dwa pokoje. Drejer z dumą wskazał jej dość spore urządzenie. Z wyglądu przypominało pianino, ale nie miało klawiszy, tylko przyciski i przełączniki. Całe ustrojstwo było podłączone grubym kablem do telewizora Belweder. To był bardzo stary odbiornik, jeden z pierwszych na rynku.

– To jest aparat, o którym pani opowiadałem – oznajmił przyciszonym głosem gospodarz, rozglądając się nerwowo.

Odruchowo sama się rozejrzała.

– Jest tu ktoś jeszcze? – spytała go.

– Nigdy nic nie wiadomo. Ściany mają uszy – szepnął jej do ucha.

Coś z nim nie tak, chyba mu się dekiel poluzował, pomyślała. No cóż, wynalazcy często są szaleni.

– Jak to coś działa?

– Niech pani usiądzie. – Wskazał jej obskurne krzesło stojące tuż przy telewizorze. Cholera, miała na sobie białą spódnicę. Trudno, wiedziała, dokąd się

wybiera. Ostrożnie spoczęła na jego krawędzi. Gospodarz schylił się, by z podłogi podnieść kilka cienkich kabli zakończonych przyssawkami.

– Teraz umocuję kable na pani głowie.

To już nie bardzo jej się podobało, bo krzesło zanadto zaczęło jej przypominać osławione elektryczne.

– Czy muszę ja? Może posadzi pan jakiegoś sąsiada, a ja tylko popatrzę?

– Spokojnie, ja wielokrotnie na sobie eksperymentowałem i proszę, nic mi nie jest.

Akurat co do tego nie była zbytnio pewna. Skoro jednak już się do niego wybrała, to podda się temu eksperymentowi.

W chwilę potem poczuła na ciele zimne końcówki kabli. Nagle Drejer chwycił jej lewą rękę i pasem przymocował ją do poręczy krzesła.

– Co pan, do cholery, wyczynia?! – krzyknęła.

– Tak trzeba – odparł spokojnym głosem i chwycił jej drugą rękę. I oto po chwili Zuza, zupełnie bezbronna, była na łasce i niełasce szalonego naukowca. Ciut wystraszona, w napięciu obserwowała jego poczynania. Podłączył następne kable do telewizora i wcisnął jakiś przycisk. Dziwne odgłosy wypełniły pomieszczenie. Przypominały huk agregatu prądotwórczego. Do cholery, chyba nie usmaży jej mózgu? Czuła coraz większy niepokój. On tymczasem wziął notatnik i usiadł naprzeciw Zuzy, co chwila zerkając na ekran.

– Pierwsze pytanie: czy jest pani mężatką?

– Nie.

– Czy jest pani osobą samotną?

– Tak i jest mi z tym dobrze.

– Czy chciałaby pani mieć dzieci?

Zawahała się.

– Nie – odparła po chwili.

– Czy była pani kiedykolwiek w Warszawie?

– Nie.

– Czy pani rodzice żyją?

– Tak.

– Czy mieszka pani w Krakowie?

– Nie.

– Czy była pani we Francji?

– Tak. – Znów z premedytacją skłamała. – Może już wystarczy tych pytań?

– Niech tak będzie.

Mężczyzna wyłączył maszynerię, po czym odwiązał Zuzę i zdjął z jej głowy przyssawki.

Odetchnęła z ulgą, znów była wolna. On tymczasem wyrwał kartkę z notatnika i jej ją podał.

– Tu ma pani wyniki. Zanotowałem, co było prawdą, a co kłamstwem. Chętnie tę maszynę pani sprzedam. Dużo za nią nie chcę. Właściwie jedynie zwrot kosztów. Będę mógł wziąć się do czegoś nowego. Mam sporo ciekawych pomysłów.

– Czemu zawdzięczam pańską hojność? – zakpiła, zerkając na kartkę.

Nagle zapomniała o wszystkim. To przez wynik, który na chybcika przejrzała.

– Nie chcę mieć dzieci! – krzyknęła. – Gówno warta jest ta maszyna! Nie kupuję jej!

Drejer był wyraźnie zaskoczony jej reakcją.

– Pani mecenas, jedna pomyłka to nic. To tylko maszyna.

– No właśnie, to tylko maszyna – odparła podniesionym głosem. – Nie kupuję tego. Zmarnowałam sporo czasu, żegnam.

Energicznym krokiem ruszyła do wyjścia. Pobiegł za nią.

– A może zainteresuje panią maszyna do pieczenia chleba?

– Nie, na cholerę mi coś takiego.

– A może maszyna do liczenia?

– Też mi wynalazek. Od dawna ich w kasach używają. Zresztą, co ma liczyć? Chyba moje lata.

– To zupełnie coś innego, moje urządzenie mnóstwo potrafi.

Zuza nagle przystanęła i spojrzała prowokacyjnie na gospodarza.

– Panie, pan jesteś pierdolonym fantastą, a ja człowiekiem twardo stąpającym po ziemi. Mam jedno pytanie. Czy ma pan maszynkę do robienia pieniędzy? Jeśli tak, to ją kupię.

– No nie mam – bąknął.

– No właśnie, zajmij się pan konkretnymi wynalazkami, a nie pytaniem mnie, czy chciałabym mieć dzieci. Jeszcze raz powtarzam, że nie!

Z furią podarła kartkę, po czym rzuciła mu ją pod nogi.

Tak oto skończyła się Zuzy wizyta u wynalazcy. Chciała być hop do przodu, ale tylko się zdenerwowała.

Wracając do kancelarii, wstąpiła do piekarni na rogu Tumskiej i Sienkiewicza. Stanęła grzecznie w kolejce i wtedy ujrzała wielkiego szczura spacerującego między bochenkami chleba. Tego to już za wiele. Niech, do cholery, ktoś zrobi z tym porządek. Opuściła sklep i poszła prosto do sanepidu. Tak była tą sytuacją poirytowana, że wchodząc do środka, nie zauważyła Zubrzyckiej, koleżanki z liceum, która akurat wieszała jakąś kartkę na tablicy ogłoszeń.

– Zuza!?

– Renata!?

Nie widziały się sporo lat, i stąd te pełne emocji okrzyki.

– Co u ciebie? – spytała Lewandowska, przyglądając się uważnie koleżance.

Tamta przez te lata sporo się zmieniła, na twarzy trudno było szukać tego młodzieńczego trądziku, który za wszelką cenę chciała ukryć. Kształty nabrały krągłości.

– Nic się nie zmieniłaś – skłamała Zuza i od razu pomyślała o piekielnej maszynie Drejera. Od razu by to wyłapała.

– Ty też. – Renata również mocno minęła się z prawdą.

– Ty tu pracujesz? Słyszałam, że ostatnio sporo się pozmieniało. Ponoć kierownik odszedł na emeryturę, ten o ksywce „głęboka kieszeń". To prawda?

– Owszem, ale to pikuś. Przyszła taka jedna suka, bez skrupułów powywalała starych pracowników i przyjęła grono swoich pociotków, znajomych. Mam przesrane, bo jednym z nich jest pedał, który na weselu koleżanki z pracy podrywał mi męża. Dostał od niego w mordę, a teraz wyżywa się na mnie. A ta idiotka wciąż rzuca papierami, w torebce nosi sznur od czajnika i wszystkim tłumaczy, że inaczej to ktoś jej go ukradnie. Świat chyli się ku upadkowi, jeśli takie badziewie dorywa się do władzy.

– Pewnie z polecenia partyjnego, jak nic działaczka PZPR, jedynej słusznej, patriotycznej partii. Nie dziw się, takich śmieci jest pełno w każdej firmie. A jak ona się nazywa? Znam w Płocku mnóstwo ludzi.

– Skowronek, i to od urodzenia, stara panna.

Zuza, słysząc nazwisko, parsknęła głośnym śmiechem.

– Czy to nie z tych Skowronków z Kwiatka? Jeśli tak, to jej ojciec zapił się na śmierć, bracia z pierdla nie wychodzą, a o matce wolę nie wspominać. Nie przejmuj się tym, jakoś to przetrwaj. Pewnie następnym razem, jak się spotkamy, to po Skowronku nie będzie już śladu. Przyjdzie inna suka lub sukinsyn i ją wypierdoli. Tak to działa. Karma zawsze wraca, jak mawiał hinduski mędrzec.

– Co cię tu sprowadza?

– Szczur biegający po piekarni. Ja tam od lat kupuję pieczywo, ale od dziś będę ich omijać szerokim łukiem.

– Podaj adres, poproszę koleżankę, to zrobi im kontrolę. Tyle mogę.

– No to będę wdzięczna. To jest piekarnia róg Tumskiej i Sienkiewicza. Lecę do roboty. Wpadnij kiedyś do mnie do kancelarii na pogaduchy. Mam też zawsze dobry koniaczek. – Mrugnęła do niej znacząco.

W kancelarii zastała milicjantów. Akurat przeszukiwali jej pokój, a dowodził nimi Mariański. Widząc Zuzę, podszedł do niej. Jego marsowa mina nie wróżyła nic dobrego. Czyżby znów jakaś prowokacja?

– Obywatelko Lewandowska, zaraz będziecie mieć problem. Zaraz pojedziemy na komendę, a później do aresztu. Tym razem się nie wywiniecie.

– Tak? – zdziwiła się. – A z jakiego paragrafu, jeśli można spytać?

– Paragraf się znajdzie, tak jak te zakazane ulotki w tym obrazie. – Ręką wskazał jej portret.

– Nie rozumiem. Widzę, że dziś mocno odlecieliście, kapitanie. Czym się tak faszerujecie? Wąchacie klej, a może coś mocniejszego?

– Zaraz zobaczycie. Pruć! – rozkazał Oparze.

Zuza złapała się za głowę, bo wreszcie pojęła, o co mu chodzi.

– Co pruć? Chyba was zupełnie pojebało? – krzyknęła. – Ostrzegam, zapłacicie za wszystkie zniszczenia, i to co do grosza.

Milicjanci zdjęli obraz ze ściany i na oczach zrozpaczonej Zuzy pocięli go na kawałki.

– Obywatelu kapitanie, melduję, że nic tam nie ma – zaraportował kapral.

– Niemożliwe! – Mariański dopadł do płótna i zaczął oglądać po kolei każdy skrawek. Zuza widziała pot cieknący mu po twarzy. Ona sama w środku aż się gotowała. Ten bezmózgowiec zniszczył jej wymarzony portret.

Kapitan znów podszedł do niej z groźną miną.

– Zdążyliście to przenieść w inne miejsce. Pytamy, gdzie to jest?

– Co, do kurwy nędzy? Czego szukacie w mojej kancelarii? Jesteście kompletnym idiotą. Ja was wyciągnęłam z kryminału, a wy mi robicie totalną demolkę. Tego wam nie zapomnę, towarzyszu kapitanie. Na drugi raz nie przyjmę zlecenia, będzie was bronił jakiś nędzny adwokacina, a w więzieniu nie dotrwacie do rozprawy.

– Drugiego razu nie będzie, obywatelko Lewandowska.

Na takie dictum szeroko się uśmiechnęła.

– Pożyjemy, zobaczymy, kilka dni temu spotkałam waszą miłość, Pawłowicz. Tęskni za wami, za waszymi wyszukanymi pieszczotami. Jak o was mówi, to ma w oczach kurwiki.

Milicjanci, słysząc to, z trudem hamowali śmiech, natomiast twarz kapitana pokryła się purpurą.

– Obywatelko, nie drażnijcie mnie, nie igrajcie ze mną. Gdzie schowaliście te ulotki?

– To wy mnie nie drażnijcie, a teraz wynocha z mojego biura! Precz!

Milicjanci bez słowa wyszli gęsiego, na końcu, sapiąc niemiłosiernie, wytoczył się Mariański. Zuza zatrzasnęła z impetem drzwi za nimi i usiadła w fotelu. Patrzyła z rozpaczą na zniszczony obraz. Tak się z niego cieszyła i wszystko chuj strzelił. W pewnym momencie oczy jej się zaszkliły i po policzkach spłynęły dwie kropelki, które natychmiast usunęła. Nikt nie mógł tego zauważyć, bo Zuza to twarda babka. Weszła Jolka z herbatą, spojrzała z przerażeniem na portret.

– Boże, co za wandalizm – wyszeptała.

Zuza zaśmiała się gorzko.

– To się nazywa inaczej: kurewstwo. Dziś ten wieprz Mariański przeszedł samego siebie.

– I co będzie, pani Zuzo? Co teraz?

– Jak to co? Sprowadź mi tu tego malarzynę, i to migiem. Musi namalować drugi obraz i basta. Nie pozwolimy, żeby komuchy były górą.

Wieczorem Zuza wraz z Nowakiem i Jolką wybrali się na ulicę Gagarina. To tu na parterze pewnej kamienicy mieszkał fizyk ze szkoły podstawowej numer jeden. Sierżant potrzebował chwili, żeby sforsować zamek, i już znaleźli się w środku. Mieszkanko było małe, jeden pokoik i kuchenka. Zuza od razu skupiła się na przeszukiwaniu biurka. Aplikantka przyświecała jej latarką. Kiedy otworzyła szufladę, aż zagwizdała z wrażenia, bo zobaczyła pełno zdjęć półnagich dziewcząt. W tle widać było jakieś szatnie.

– To tylko obrzydliwy zbok, który podgląda uczennice, kiedy się przebierają, i robi im zdjęcia.

– Myśli pani, że to on morduje?

– Jestem pewna, że nie. To nie jego robota. Spadamy stąd.

Wyszli tak jak weszli, po cichu, dyskretnie i przez nikogo niezauważeni.

Zbliżał się pierwszy listopada, kobiety wyciągały z szaf futra z nutrii, a te bogatsze z norek i karakuły. Zuza nie miała żadnego futra. Śmiała się z tych małomiasteczkowych zwyczajów. Oczywiście zamierzała udać się na cmentarz i zapalić świeczki na grobach bliskich. Dziś wybrała się, żeby grobowiec rodzinny posprzątać. Już z daleka zauważyła, że coś jest z nim nie tak. Płyta nagrobna była potrzaskana. Znów się zaczęło. Przez jakiś czas był spokój. Wtedy zadziałał Marcinkowski, znalazł winowajcę i urżnął mu dłoń. Trzeba mu przyznać, że w swoich działaniach był do bólu skuteczny. Teraz kiedy pułkownik nie żyje, sprawa odżyła. Być może to ktoś nowy, ale Zuza nie wykluczała powrotu dawnego dewastatora i zemsty po latach. Znów musiała poprosić znajomego kamieniarza o wymianę płyty. On się ucieszy, bo kiedyś była jego najlepszym klientem. Kiedy tak stała i rozmyślała nad mogiłą, tuż obok niej ktoś się zatrzymał. Zerknęła na niego, to major Kowalczyk z Wydziału Wewnętrznego Milicji Obywatelskiej, ten, któremu przydzwoniła pogrzebaczem.

– Okropne, kto to pani zrobił?

– Ktoś z waszych. Nikt inny by się w to nie bawił. Grobów nie niszczą normalni ludzie, tylko degeneraci, tacy jak wy.

– Mogę się tym zająć, sprawić, żeby tego wandala ujęto i przykładnie ukarano. Co pani na to?

– W tym świecie nie ma nic za darmo. A czego oczekuje pan w zamian? Chyba nie powtórki z pogrzebaczem w roli głównej? – zakpiła.

– Właściwie niewiele. Niech pani ustali, co się stało z resztą skarbu popa i kto zabił tego Błaszczaka. Czy major Klecki brał w tym udział? To będzie wszystko.

– Sporo tego jak na jedną słabą kobietę. Pierwszy raz wymienił pan nazwisko Klecki. Znam dobrze tego sukinsyna. Już wcześniej domyślałam się, że o niego chodzi. Coś mi tu wciąż nie gra. Wygląda na to, że ktoś trzeci zaczął w tym maczać palce. Tak jakby wykiwał wszystkich. Wiem jedno: Mariański nie ma z tym nic wspólnego. Jest na to za głupi.

Kowalczyk uśmiechnął się.

– To i ja wiem. No cóż, w milicji jest pełno takich Mariańskich. Pani już wie, kto mnie interesuje. Chcę mieć dowody, bo imitacje skradzionych przedmiotów nimi nie są. Pani mi je dostarczy, a ja dopilnuję, żeby tego skurwysyna, co zniszczył nagrobek, spotkała odpowiednia kara.

– Skąd pan wie, że to tylko kopie? Kogo podsłuchujecie, mnie czy tamtych?

Major nie odpowiedział, jedynie dziwnie się uśmiechnął. Aha, czyli podsłuchują wszystkich.

– Skoro mówimy o karze, to chciałabym zapytać, co Pawłowicz jeszcze robi w milicji?

– Powiem wprost, ma mocne plecy w Komitecie Centralnym. Jest praktycznie nie do ruszenia.

– Tak podziałały na kogoś jej wdzięki? – zakpiła. – Nie pomyślałabym.

– Nic o tym nie wiem. Może kogoś przekupiła, a może szantażuje? Wie pani, jak to jest.

– Owszem, aż za dobrze. – Westchnęła głęboko.

Wracając do domu, już z daleka zobaczyła przed kamienicą stara pod plandeką załadowanego meblami. Od razu domyśliła się, że w jej mieszkaniu właśnie

wyrasta nowy ropiejący wrzód, że wprowadzają się nowi sublokatorzy. Wchodząc do budynku, zerknęła na graty. Ich stan i jakość sugerowały, że tym razem będzie mieć do czynienia z lepszym towarzystwem. Może choć tym razem będzie mieć święty spokój, może ci nowi nie będą dewastować jej ojcowizny. Na schodach minęła kilku osiłków, pewnie to oni wnosili wszystko do środka. Wymamrotali „dzień dobry" i poszli dalej. Weszła do mieszkania i od razu zastanowiła ją kompletna cisza. Co jest, do cholery? Zaniepokoiła się.

Borysa znalazła na podłodze w salonie, nawet nie drgnął na jej widok. Zgaga leżała w progu kuchni, a Wrzód w zlewozmywaku. Ktoś otruł jej zwierzaki! Jakiś skurwysyn tu był. Jak wszedł, skoro wymieniła zamki, i czemu chciał zabić jej zwierzęta? Sięgnęła po słuchawkę, musiała szybko sprowadzić weterynarza, może da się coś jeszcze zrobić.

– Tu mecenas Lewandowska, ktoś mi otruł psa, kota i papugę. Potrzebuję pomocy, i to pilnie! – ryknęła do telefonu, jak tylko usłyszała głos weterynarza.

– A co z nimi? Proszę o szczegóły?

– Kurwa mać, jakie szczegóły? Facet, wsadź dupę do samochodu i zaraz mi tu bądź, bo jak nie, to nie ręczę za siebie. Nie opuścisz sądu przez kilkanaście lat, przeczołgam cię pod paragrafami, obiecuję ci to! – krzyczała.

– Pani mecenas, niech się pani uspokoi. Zaraz będę. Najpóźniej za dziesięć minut.

– Jak mam się uspokoić w takiej sytuacji? Czekam!

Rzuciła słuchawką i podeszła do Borysa. Uklękła przy nim, oddychał, więc może jeszcze nie było za późno. Poszła do papugi. Oczy zamknięte, ale dziób się ruszał. Wrzód też dawał znaki życia, choć chyba najsłabsze. Może tli się jeszcze dla nich jakaś nadzieja? Może nie wszystko stracone?

Usiadła na kanapie i patrzyła bezradnie na zwierzaki, co chwila nerwowo zerkając na zegarek. Ale ten czas biegnie wolno. Czemu go jeszcze nie ma? Co się tak guzdra? W końcu poderwała się na nogi i podbiegła do okna. Nagle zobaczyła zieloną syrenkę, ciągnęła się za nią biała chmura gęstego dymu. No, wreszcie. Odetchnęła z ulgą i poszła otworzyć drzwi. Konował wbiegł po schodach. Był cały zziajany, w ręku dzierżył torbę lekarską.

– Dzień dobry – bąknął i od razu wziął się do badania psa. Zastanowił go dziwny zapach dochodzący z jego pyska, ale tego nie skomentował, tylko poszedł zbadać

Zgagę. Uchylił jej dziób i wąchał. Zuza cały czas obserwowała go w wielkim napięciu. Pokręcił głową i poszedł do kuchni. Wrzoda wziął na ręce. Kot mu się przez nie przelewał. Położył go na podłodze obok psa. Dopiero teraz weterynarz spojrzał na Zuzę.

Spodziewała się najgorszego.

– Już po nich? – wydusiła przez zaciśnięte gardło.

– Nie. Za kilka godzin wszystko wróci do normy – odparł, z trudem hamując ogarniającą go wesołość.

To ją rozzłościło.

– Co pana tak bawi? Mów pan w końcu, to i ja się pośmieję. Nie trzymaj mnie pan dalej w niepewności.

– Pani zwierzaki są po prostu naćpane.

– Jak to naćpane? Co mi pan sugeruje? Panie, narkotyki to ja od zawsze omijam wielkim łukiem. Owszem, gdyby się upiły, to już inna sprawa, bo u mnie o alkohol nietrudno.

– Może najadły się jakichś makowin? Nie wiem, co pani przechowuje w domu.

– Ale ja wiem. Ktoś nieproszony tu wszedł i nieźle namieszał. Możesz ustalić, co im podano?

Weterynarz z zakłopotaniem podrapał się w głowę.

– Z tym może być problem, bo my nigdy czegoś takiego nie robiliśmy. Nawet nie wiemy, jak do tego podejść. Nie codziennie widuje się naćpane zwierzęta. Raz tylko spotkałem się z naćpaną małpą. Trzymał ją doktor Majchrowski, ten neurolog. Skąd ją wziął, nie mam pojęcia. Co ona wtedy wyrabiała! Mieszkanie po tym wszystkim wyglądało, jakby przeszło przez nie tornado. W końcu zasnęła w fotelu z cygarem w pysku.

– Tu jest na szczęście inaczej, bo w mieszkaniu panuje porządek.

– To prawda. Mogły dostać coś na bazie opium. Dawniej używano takiego specyfiku, nazywano go laudanum. To była mieszanka tego narkotyku z alkoholem lub innym płynem. Wtedy często wpadało się w stan odrętwienia, tak jak one.

Zuza zbladła.

– Powiada pan, że laudanum? Skąd by to ktoś wziął w dzisiejszych czasach? Chyba trzeba mieć sporą wiedzę, żeby coś takiego wyprodukować?

– Na pewno, ale wiele dziwnych substancji krąży na czarnym rynku. W Płocku to może nie, ale na Wybrzeżu czy w Warszawie pewnie dałoby się to kupić. Teraz proszę dać swoim pupilom odpocząć, wyspać się, a po jakimś czasie wrócą do formy.

Schylił się po torbę lekarską i ruszył do wyjścia.

– Niech pan poczeka, nie uregulowałam należności za pańską wizytę. Należy się to panu jak psu buda.

– To następnym razem. Teraz biegnę do zoo, bo się oślica źrebi, a może ośli? – Zaśmiał się sam do siebie pod nosem i wyszedł z mieszkania.

Zuza wzięła butelkę stocka, kieliszek i usiadła na kanapie. Zaczęła nalewać, kiedy jej wzrok spoczął na telewizorze.

To niemożliwe. Chyba to moja chora wyobraźnia, pomyślała.

Poderwała się i podeszła do odbiornika. Teraz widziała dokładnie. To zeschły kwiat, czerwona róża. Wzięła go w rękę i ze złością zgniotła. Jednak to był ten psychol, swoją obecnością znów skaził jej mieszkanie. Skąd miał klucz? Musiała, i to natychmiast, zmienić zamki. Poszła do sypialni, gdzie od razu zauważyła otwartą szafkę. Sukinsyn, grzebał w jej bieliźnie, zboczeniec.

Wciąż jej po głowie chodziło laudanum. Gdzieś kiedyś widziała tę nazwę, ale nie mogła sobie przypomnieć gdzie. Zajrzała do pawlacza w przedpokoju i wyjęła z niego skrzynkę z narzędziami. Tu powinien być zapasowy zamek. Kupiła dwa po ostatniej wizycie tego psychola, kiedy ukradł róże. Znalazła go na samym spodzie. Dobrą godzinę zeszło jej z wymianą, w tym czasie kilka razy zdążyła zwątpić w swoje możliwości, ale wtedy mówiła sobie: „Ślusarz to facet po zawodówce, a ja mam wyższe studia. Muszę dać radę" i to dawało jej nowe paliwo do działania.

W końcu dumna z siebie usiadła w fotelu, zapaliła ekstra mocnego, przymknęła oczy i rozkoszowała się ciszą, bo towarzystwo wciąż spało. Nagle rozległo się dudnienie do drzwi. Co znowu? Wściekła, że ktoś jej zakłóca odpoczynek, poszła otworzyć. Zdumiała się na widok roześmianej młodej kobiety i mężczyzny. W rękach trzymali bolszewicką namiastkę szampana i kieliszki.

– Przyszliśmy się przywitać – oznajmili wspólnym głosem. Wyglądali sympatycznie, ale Zuza nie miała dziś ochoty na przyjmowanie jakichkolwiek gości.

– Zuzanna Lewandowska – odparła sucho i wciąż stała w drzwiach, jedynie uchylonych.

– Piotrowscy, ja jestem Dorota, a to Janek. Wiemy, kim pani jest. Podziwiamy panią. Moja mama była kiedyś pani klientką.

– Rozwodziłam ją? – spytała na odczepnego. Tak naprawdę to miała w tyłku to, że ją podziwiają, czy że matka była klientką. W Płocku takich ludzi było na pęczki. Zuza dobrze znała swoją wartość i nie potrzebowała się dowartościowywać, słuchając tanich pochlebstw.

– Ależ skądże, dzięki pani odzyskaliśmy dom na Słonecznej.

– Skoro odzyskaliście dom, to co tu robicie?

– Z rodzicami został mój brat. Możemy wejść? Chcemy dobrze zacząć nasze sąsiedztwo.

– Proszę – mruknęła, otwierając drzwi na oścież. Sublokatorzy weszli powoli, rozglądając się ciekawie po jej mieszkaniu.

– On nas nie pogryzie? – spytała z lękiem w głosie kobieta na widok Borysa.

Zuza wzruszyła ramionami.

– Chyba nie, leży naćpany, nieprędko się obudzi.

– Naćpany? On jest… no… – Piotrowska zaczęła dukać.

– Tak, to narkoman. Siadajcie! – Wskazała kanapę.

Usiedli, ale ich entuzjazm i świetny humor już się ulotniły niczym kamfora.

– Tam jest jakiś ptak. – Mężczyzna ze zdumieniem patrzył na Zgagę leżącą na kocyku w kącie pokoju.

– To moja papuga. Ona też jest naćpana, ale nie przejmujcie się nią, jest mniej groźna od Borysa. Po jej niezliczonych pieszczotach mam tylko kilkanaście blizn i chyba z sześć szyć. Biedactwo czasem nie panuje nad siłą swojego dzioba, ale jest taka kochana.

Piotrowski rzucił żonie porozumiewawcze spojrzenie. Mieli już dość tej wizyty i z chęcią by wrócili do siebie. Zuza jednak zaczynała się rozkręcać. Powoli zaczynało jej się to podobać.

– Czego się napijecie? Poczęstowałabym was laudanum, ale akurat mi się skończyło, mam wywar z makowin. Mówcie szczerze, u mnie czym chata bogata, tym rada.

– My już sobie pójdziemy – rzekła Dorota i wstała z miejsca. – Szampana zostawimy pani, proszę sobie wypić. Przypomniało mi się, że musimy przypilnować babci, bo mama miała iść do pracy.

– No nie żartujcie! To może chociaż skręta zapalimy? To daje świetny klimat, żeby się wzajemnie poznać. Opowiecie mi o sobie.

– To może innym razem – bąknął nowy sąsiad. – Było miło panią poznać.

Chwycił żonę i pociągnął ją w stronę wyjścia.

– Naprawdę już idziecie? Szkoda.

Ostatniego słowa już chyba nie słyszeli, bo błyskawicznie zniknęli za drzwiami. Zuza chwilę stała w milczeniu, po czym parsknęła niepohamowanym śmiechem. „Sowietskoje igristoje" odstawiła na półkę, ona nie pijała gównianych sowieckich wynalazków. Swoją drogą, może tym razem to nie będzie uciążliwe sąsiedztwo.

Zerknęła na zegar, niebawem wybierała się na barkę podrzucić kielich, ale miała jeszcze godzinę, więc stwierdziła, że zdąży wypić herbatę. Udała się do kuchni wstawić wodę.

– Otwieraj szybciej! Co się tak guzdrzesz? – Zuza stała tuż za Piosikiem, rozglądała się na boki i go ponaglała.

– Ciszej, pani mecenas, bo nas ktoś usłyszy. Już kończę.

W chwilę potem kłódka była zdjęta i wejście do środka barki stało przed nimi otworem. Od razu skierowali się do miejsca, skąd wcześniej zabrali kielich. Zuza wyjęła go z torby i chciała dołożyć do pozostałych przedmiotów, ale skrzynia była pusta. Cholera, zaklęła w duchu. Zapewne zorientowano się, że tu byli wcześniej.

– Co dalej? – usłyszała nad uchem.

– Jak to co? Spieprzamy stąd, i to szybko. Nawet nie zakładaj kłódki. Szkoda na to czasu.

Zaczęli się wycofywać, ale nim doszli do drzwi, one niespodziewanie zatrzasnęły się, blokując im drogę ucieczki.

Piosik zaczął się z nimi szarpać, ale bezskutecznie.

– Kurwa mać, co tu jest grane? – mruczał pod nosem.

Zuza wiedziała dobrze, co się stało. Spełniły się jej najgorsze obawy, że ktoś się tu na nich zaczaił i teraz ten ktoś ich tu uwięził. Wpadli w pułapkę.

Mężczyzna z coraz większą furią atakował drzwi, szarpał nimi, kopał je, a one ani drgnęły. To nie miało najmniejszego sensu.

– Przestań! – ryknęła w końcu na niego. – Marnujesz energię. Musimy na spokojnie przemyśleć, co robimy dalej.

– Pani mecenas, popytałem o tę barkę tu i tam, ona jest jak forteca.

– Czyli jeśli nas ten ktoś nie uwolni, to już po nas – rzekła, jak na te okoliczności wyjątkowo spokojnym głosem. – Nigdy nie myślałam, że tak marnie mogę skończyć. No cóż, życie potrafi mnie wciąż zaskakiwać.

– Mówi pani poważnie? Mańka zapłacze się na śmierć.

– Co za Mańka? To teraz twój największy problem?

– Moja nowa kobieta. Patrzy we mnie jak w święty obraz.

– Co ty pierdolisz? Nie minie tydzień i zapomni o tobie, znajdzie sobie nowy obraz do podziwiania.

– O nie, ona mnie kocha. Pani jej nie zna.

– Na pewno nie. Zamiast opowiadać o tej Mańce, lepiej poszukaj czegoś do przykrycia, bo robi się kurewsko zimno i zanim się udusimy, to zamarzniemy na śmierć, choć tak naprawdę to gdybym mogła wybierać, ta druga wersja jest ponoć mniej przykra.

– Pani mecenas i co zrobimy? Mówiła pani komuś, że tu idzie? – wyszeptał.

– Nie. Nigdy się nikomu z takich rzeczy nie spowiadam.

– To nikt nie wie? Zginiemy tu. – Zaczął jęczeć.

– Chłopie, weź się w garść. Jeszcze nie wszystko stracone. Z każdej sytuacji jest jakieś wyjście.

– Łatwo pani mówić, ja się panicznie boję małych, ciemnych komórek.

– Masz klaustrofobię. Wszystko siedzi w głowie, musisz się przemóc.

– Pani mecenas, co mi siedzi w głowie?

– Nieważne, nie chce mi się tego tłumaczyć, szukajmy jakichś szmat, żeby się nimi przykryć, bo ja już stóp nie czuję. Czemu nie włożyłam kozaków?

– Może ktoś się domyśli, że nas tu zamknięto? Przecież śledził panią ten pałowy Opara.

– Muszę cię zmartwić, zgubiłam go, zanim się spotkaliśmy, więc nie liczyłabym na to, że nas znajdzie.

– No to co będzie?

– Nie wiem. Teraz zabezpieczmy się przed zimnem i czekajmy.

Powoli, po omacku, żeby nie marnować baterii w latarce, zaczęli przeszukiwać pomieszczenie. Zuza w pewnym momencie poczuła coś miłego pod palcami, jakby futerko, ciepłe. To coś pisnęło.

– O kurwa mać! – krzyknęła wystraszona i rzuciła się w przeciwnym kierunku, żeby być jak najdalej od tego czegoś. – Tu są szczury! Nienawidzę szczurów!

Piosik złapał jakiś drąg i zaczął walić nim na oślep.

Zuza wiedziała, że to na nic. W dzień trudno zabić tego gryzonia, a cóż dopiero po ciemku.

– Przestań! Co robisz? Po omacku to możesz się jedynie w dupsko podrapać. Ważne, że skoro szczury się tu zadomowiły, to i powietrza nam nie zabraknie.

– Nie rozumiem. O czym pani gada?

– Nie udusimy się, ale możemy umrzeć z głodu, ale się tym na razie nie kłopocz, tylko szukaj dalej tych szmacisk. W tej chwili bardziej martwi mnie to, że nie mogę zapalić, a aż mnie ssie w żołądku na ekstra mocnego.

– Może zajaramy po pół szluga?

– Popierdoliło cię?! – ryknęła na niego. – Podusimy się od dymu, i to piorunem. Nawet się nie waż wyciągać papierosa, bo inaczej nie ręczę za siebie.

W końcu znaleźli wielką stertę starych worków jutowych, pewnie po ziemniakach. Usiedli na skrzynkach po jabłkach i się nimi przykryli. Czekali. Nie wiedzieli na co, ale to było jedyne, co w tej sytuacji mogli uczynić. Godziny mijały i nic się nie działo.

– Muszę się wyszczać – oznajmił nagle Piosik. – Mogę?

– Idź w najdalszy kąt i tam sobie ulżyj. Niestety, tego nie zatrzymasz, tak jak i nurtu rzeki.

Ona miała większy problem. Będzie śmierdzieć, chyba że uda jej się załatwić do słoika. Musi tak zrobić, choć będzie to skrajnie trudne.

Geńka weszła do mieszkania i rozejrzała się po salonie. Wiedziała o włamaniu, bo Zuza podrzuciła jej nowe klucze. Na oko wszystko wyglądało dobrze, choć Borys był bardzo pobudzony, co oznaczało, że nie był za potrzebą. Zuza pewnie śpi. Po

cichu uchyliła drzwi od sypialni, ale łóżko było zasłane, poszła do kuchni dotknęła czajnika, był lodowaty. Wrzód nie miał zmienionego piasku w kuwecie. Wszystko wskazywało na to, że Lewandowska nie nocowała w domu. Zadzwonił telefon. To Nowak.

– Pani Zuzy nie ma. Sądząc po tym, co zastałam, nie nocowała w domu – oznajmiła mu suchym tonem. Nie lubiła go, co okazywała przy każdej nadarzającej się okazji.

– Jak to nie nocowała? – zdziwił się.

– Nie wiem, pani Zuza mi się nie tłumaczy.

Nie czekając na odpowiedź, odłożyła słuchawkę. Podeszła do wieszaka i sięgnęła po smycz. Trzeba psa wyprowadzić, i to szybko, bo inaczej będzie dodatkowe sprzątanie. Pracodawczyni i tak się znajdzie, zawsze tak się to kończyło.

Sierżant wszedł do kancelarii. Jolka akurat coś pisała na maszynie.

– Zuza u siebie?

– Pani mecenas jeszcze nie przyszła. Już od godziny dzwonią z sądu, bo miała dziś rozprawę i się na niej nie stawiła, a to jej się nie zdarza.

– Co się dzieje? Ponoć nie nocowała w domu. Nic nie wiesz na ten temat? Może mówiła coś o swoich planach?

Jolka poderwała się z krzesła i ruszyła do pokoju Zuzy. Przerzuciła papiery na jej biurku, ale nie znalazła żadnej wskazówki.

– Nic nie ma. Wczoraj była bardzo zajęta, sporo przebywała poza biurem i mało rozmawiałyśmy. Wiem jedynie, że gdzieś się wieczorem wybierała.

Nowak zerknął na ścianę i ze zdumieniem patrzył na coś, co jeszcze kilka dni temu było portretem Zuzy, a teraz wyglądało jak ciasto przepuszczone przez maszynkę do makaronu.

– Kto to zrobił? Przestał jej się podobać? – wydukał.

– To Mariański, szukał ulotek antypaństwowych.

– Czuję, że wiem, gdzie jest, pewnie poszła zabić tego wieprza. Sam bym go ukatrupił. Idiota to mało powiedziane. Jednak tak na poważnie, to dziwna jest ta jej nieobecność. Gdyby się pokazała, to każ jej do mnie zadzwonić, i to pilnie.

– Oczywiście. Jeszcze to sobie zapiszę na wszelki wypadek. – Jolka sięgnęła po notatnik.

– Ładnie pachną te twoje perfumy. Jak się nazywają? Może kupię swojej starej pod choinkę.

– To z Pewexu, zaraz napiszę nazwę, bo to francuskie.

– A to nie. – Sierżant z rezygnacją machnął ręką. – Jestem rencistą, i towary z Pewexu mogę tylko polizać przez witrynę. Do widzenia.

Zapadł zmrok. Geńka chodziła od okna do okna. Była zdenerwowana. Nie zdarzało się, żeby Zuza przez cały dzień nie dawała znaku życia. Jeśli nie zadzwoniła, to zostawiła kartkę z informacją. Coś się musiało stać. Zadzwonił telefon.

– Tu Nowak, chcę rozmawiać z Zuzą.

– Wciąż jej nie ma. Co mam robić? Muszę już iść do domu. – Geńka przełamała niechęć do sierżanta.

– Proszę na mnie poczekać, zaraz przyjadę. Nie mam nowych kluczy, a chcę się rozejrzeć po jej mieszkaniu.

Zjawił się kwadrans później. Geńka wyszła, a on zaczął przeszukiwać mieszkanie. Zaczął od Zuzy biurka. Łudził się, że coś go naprowadzi na jej ślad.

W kajucie zaduch był nie do wytrzymania. Powietrze ciężkie niczym ołów, a na dodatek to przenikliwe zimno.

– Ale smród, zaraz się zrzygam – odezwała się Zuza. – Mówiłam ci, żebyś srał do słoika.

– Głodny jestem, aż mnie skręca – jęczał Piosik.

– Może ktoś tu w końcu zajrzy. Nie mamy innego wyjścia, musimy czekać.

– A jeśli nikt nie przyjdzie?

– To zdechniemy tu z głodu. Lepiej poszukajmy jakiegoś jedzenia. Widziałam tu jakieś słoje. Sprawdź, co w nich jest.

– To niech pani zapali latarkę.

– Nie ma mowy. Baterię trzeba oszczędzać. Nie wiadomo, co się jeszcze może wydarzyć. Możesz pomacać po półkach. Ja się nie odważę, wystarczył mi jeden szczur.

Piosik podniósł się i ruszył na poszukiwania. Co chwila słychać było brzęk szkła, stukot przekładanych przedmiotów.

– O kurwa! Skaleczyłem się! – krzyknął naraz. – Pierdolone gwoździe.

– Nie pieść się, to w tej chwili twoje najmniejsze zmartwienie. Szukaj dalej.

– Pani to jest twarda sztuka. Pani wierzy, że nas ktoś uwolni?

– Nikomu nie mówiłam, gdzie się wybieram, więc z mojej strony nie ma szans, jedyna nadzieja, że ty się komuś wygadałeś. Może tej Loli wpatrzonej w ciebie jak w święty obraz? – zakpiła.

– To nie Lola, tylko Mańka. Nie pamiętam, czy rzuciłem jakąś nawijkę o tym. Chyba nie.

– Brzmi to mało optymistycznie. Ciekawe, ile dni wytrzymamy i kto kogo zje? – rzekła Zuza smętnym głosem.

– Jak to zje? Pani sobie ze mnie jaja robi?

– Skądże, taka jest kolej rzeczy. Teraz nawet boimy się o tym myśleć, ale z czasem ta myśl będzie powracać, i to coraz częściej, aż dojdzie do momentu, kiedy będziemy tylko to mieć w głowie. Stanie się to naszą obsesją.

– Skąd pani to wszystko wie?

– Z książek.

– Ja to w chacie mam tylko telefoniczną. Kiedyś zajebałem ją z poczty. Tam też to jest?

– Nie sądzę.

Nagle usłyszeli przeraźliwy pisk.

– Szczury się gryzą – zauważył Piosik. – Możemy na nie zapolować. Ponoć są zjadliwe.

– Nie bądź obrzydliwy! Prędzej one zapolują na nas. Tak czy owak, one są drugie w kolejce do talerza. Lepiej szukaj dalej zamiast o nich wciąż gadać.

Nowak zamknął mieszkanie Zuzy i zszedł na dół. W progu kamienicy spotkał pana Tadzia i od razu go zaczepił.

– Szukam Zuzy. Nie widział jej pan czasem? Nie ma jej ani w domu, ani w kancelarii.

– Nie, ostatnio spotkałem ją dwa dni temu, jak tankowała mercedesa. Może gdzieś wyjechała? Niech pan zajrzy na plebanię i spyta proboszcza. Jego okna wychodzą na garaż.

Nagle ktoś popchnął drzwi wejściowe, a te z impetem uderzyły sierżanta. To wina młodego zakapturzonego mężczyzny wychodzącego z budynku.

– Cholera! Jak leziesz?!

– Przepraszam – bąknął tamten niewyraźnie i ruszył w stronę ratusza.

– Kto to? – zdziwił się Nowak, rozmasowując bark. – Nie znam typa.

– To student, wynajęliśmy mu pokój. Wie pan, córka już tu nie wróci, a pieniądze się zawsze przydadzą. Jakiś taki dziwny ten chłopak, ale spokojny i, co ważne, regularnie płaci.

– To idę do fary popytać. Niepokoję się o nią, bo zwykle, kiedy tak znikała, to miała spore kłopoty.

– Ona jest jak kot, zawsze spada na cztery łapy.

– Oby i tym razem.

Proboszcz grał na bębnach, więc nawet nie usłyszał, kiedy Nowak wszedł do mieszkania. Dopiero jak go zobaczył, to odłożył pałeczki.

– Co cię, synu, sprowadza?

– Szukam naszej mecenaski. Nie widział jej ksiądz?

– Nie, ale uspokój się, złego diabli nie wezmą.

– I to mówi duchowny? – Nowak pokręcił głową z dezaprobatą.

– To oczywiście żart, ale nie wiem, gdzie może się znajdować. Samochód stoi w garażu, bo chyba godzinę temu tam zaglądałem. Chodź, napijemy się po kieliszeczku. Mam dobrą nalewkę, pigwówkę. Zuza nie lubi tego typu trunku, ale ty pewnie nie odmówisz?

– Nie, dziękuję, czy mogę od księdza zadzwonić do mecenasa Kowalskiego? Może on coś wie?

– A dzwoń. Aparat jest w pokoju obok.

Była północ, kiedy Nowak zjawił się w komendzie miejskiej milicji. Przyjechał, żeby zgłosić zaginięcie Zuzy. Jeszcze się po cichu łudził, że Opara coś wie w jej

sprawie, wszak wciąż ją śledził. Kaprala dorwał na korytarzu. Sierżant groźnie zmarszczył brwi.

– Widzieliście Lewandowską? Gadajcie, i to już. To jest cholernie ważne. Wiem, że łazicie za nią jak smród za tyłkiem. Tylko nie kręćcie.

– Nie wiem nic, słowo daję. Urwała mi się w przechodniaku między Kwiatka a Sienkiewicza. Jakiś pijak zaczął mnie szarpać i ona to wykorzystała.

– A gdzie ostatnio łaziła? Gdzie ją widzieliście? Kogo odwiedzała? Mówcie!

– Była w szkole podstawowej numer jeden, była w sądzie, u fryzjera, w spożywczym na Kwiatka.

– Przestańcie! Mówcie o konkretnych adresach, a nie sklepach czy urzędach.

– Kilka razy była na Grodzkiej u tego elementa Piosika. Tak to chyba nigdzie więcej.

– Piosika, powiadasz?

– Tak, o czymś gadali, ale byliśmy za daleko, żeby coś słyszeć.

– Tym razem to szkoda.

Cholera, zupełnie zapomniał o Piosiku. Pewnie znów coś z nim kombinowała. Musi go odnaleźć i przepytać. Ten sukinsyn powinien coś wiedzieć na temat jej zniknięcia.

Opuścił komendę i udał się na starówkę. Znał adres Piosika, więc bez problemu trafił na miejsce. Otworzyła mu jakaś wywłoka z papierosem w zębach, poczuł od niej alkohol.

– Czego?

– Szukam Piosika. Zastałem go? Muszę z nim pogadać, i to pilnie.

– Szukasz tego łajzy? Wyciął się gdzieś, pewnie znów z tą paniusią. Coś mi pierdolił, że ma coś dla niej machnąć i że za to będzie spory szmal. A tu ani kasy, ani jego. Niech tylko się pokaże, to mu wygarnę. Jak wróci bez hajsu, to go na ryj ze schodów spuszczę. – Rzuciła peta pod nogi i go przydeptała. – Poczęstuj szlugiem.

– Nie palę. Nie wiesz, dokąd mogli iść? Coś może mówił? Przypomnij sobie, a dam ci na papierosy.

– Coś pierdolił bez sensu, ale nie skumałam tego. To dawaj na te fajki.

– Ale mi nic nie powiedziałaś.

– To wypierdalaj, i to już.

Cofnęła się za próg i zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. Wyszedł na ulicę i rozejrzał się na boki. Teraz powinien iść do mieszkania Zuzy i wyprowadzić Borysa za potrzebą. Później poszuka zapasowych kluczy i wtedy te odda Gońce.

W restauracji Nowoczesna o tak wczesnej godzinie było prawie pusto, to nie była już pora śniadania i nie była jeszcze pora obiadowa. Prokurator Popławski siedział przy stoliku, na którym stały butelka wyborowej i jeden kieliszek. Akurat nalał sobie, kiedy przysiadł się do niego major.

Milicjant poprosił kelnerkę o dodatkowy kieliszek.

– Wiesz, kogo złapaliśmy w pułapkę? – spytał kumpla.

– Nie, ale to kwestia czasu. Poczekam, aż zdechnie z głodu i wtedy się dowiem.

– Ja już wiem i widzę, że sprawa się komplikuje, bo zakładaliśmy, że złapiemy złodzieja, a to nie on. To ta wścibska baba, mecenas Lewandowska. Ona nie jest tą osobą, której szukamy.

– Skąd to wiesz? – zdziwił się Popławski. – Zajrzałeś tam? Co innego uzgodniliśmy.

– Zgłoszono jej zaginięcie. Jak tylko o tym usłyszałem, to od razu powiązałem fakty. To tam utknęła Lewandowska, dam sobie głowę uciąć.

– Wątpię, ona by sobie z kłódką nie poradziła.

– Może jest z nią ten Piosik, ona często się nim wysługuje. Kazałem swoim ludziom sprawdzić, gdzie się podziewa. Kiedy wrócę na komendę, to będę już wiedział i zadzwonię do ciebie.

– Czego by tam szukała?

– Zajmowała się sprawą Mariańskiego i może przypadkowo na coś wpadła. Ona jest cwana jak mało kto. Możliwe, że to ona skubnęła nam ten kielich. Tak czy owak, trzeba ją wypuścić.

Prokurator uniósł kieliszek i wypił. Energicznym ruchem odstawił szkło na blat stołu. Jego twarz nabrała groźnego wyrazu.

– Nie! Skoro aż tu dotarła, to wie za dużo. To cholernie wścibska suka i jest okazja, żeby ją wyeliminować.

– Narobi się sporo szumu. Czy warto? I tak nic na nas nie ma. – Milicjant nie był przekonany co do takiego rozwiązania.

– Zaginęła i koniec. Trochę jej poszukają, a później zapomną. Wiesz, ile osób w roku znika bez śladu? Mnóstwo. Trupa utopimy w Wiśle, wystarczy wyrzucić ją przez burtę, a ryby zrobią z nią porządek.

– Ale to krzyżuje nasze plany, bo pułapka jest zajęta.

– Sam nie wiem, czy to był dobry pomysł z tą pułapką, no bo czemu złodziej miałby tu jeszcze wracać? Owszem, ktoś zapierdolił jeden kielich. Mogła to być Lewandowska i teraz chciała go podrzucić z powrotem.

– Ale po co? To się kupy nie trzyma.

– Jak to po co? Rusz głową! Żebyśmy się nie zorientowali. Możliwe, że dała go do ekspertyzy i wie, że to falsyfikat. Teraz pewnie głowi się, o co tu chodzi. No bo jaki jest sens trzymania podrób? Ta barka to bardziej pułapka na nas, a nie na złodzieja. Baba zaczaiłaby się gdzieś w okolicy i czekała, kto się pojawi. Dlatego musi zniknąć, i to na amen.

– A co z tym Piosikiem? On może wiedzieć więcej na temat prawdziwego złodzieja.

– Nie sądzę. Gdyby to wiedział, to nie ryzykowaliby z kielichem. Wypijmy jeszcze po setce i zabieramy się stąd. Lepiej, żeby w tych okolicznościach nikt nas nie widział razem.

Wychodząc z restauracji, Popławski zauważył mężczyznę skupionego nad blokiem papieru. Podszedł do niego i zerknął mu przez ramię. Portret kobiety.

– Niezły – pochwalił. – Masz talent, mój nieżyjący syn marzył o malowaniu, ale nie zdążył. Wpadł pod samochód. Masz może jakąś wizytówkę? Moja znajoma szukała malarza. Chciała zamówić jakiś duży obraz do salonu.

– Mam. – Portalski podał mu mały kartonik.

Jak tylko prokurator wraz z milicjantem opuścili lokal, malarz wyjął ze szkicownika inny rysunek. Ten przedstawiał nachylonych ku sobie dwóch mężczyzn, skupionych na rozmowie.

Zuza już dawno straciła poczucie czasu. Niestety, zegarek został na szafce nocnej. Siedziała na skrzynce owinięta w kilka warstw worków jutowych i trzęsła się z zimna.

– Pić mi się chce – jęknęła. – Siedzimy w jakiejś kajucie, pod nami i po bokach są miliony litrów wody, a my może zdechniemy z pragnienia. To jest jakaś paranoja.

– A mnie bardziej chce się jeść. Chyba upoluję szczura.

Na te słowa aż nią wstrząsnęło.

– Tfu! Obrzydlistwo! Nawet tego nie mów.

– Co ja poradzę, że bełcun mi napierdala z głodu. Kiedyś pani mi mówiła, że to kiedyś tam dawno to był przysmak.

– Tak, w starożytnym Rzymie, ale myślę, że je hodowali, że to nie były takie jak te, czyli te żyjące w gównach i innych odpadach.

– A co mi tam. Mięso to mięso.

– A jeśli nawet uda ci się zapolować, to co dalej? Gdzie rozpalisz ogień? Chyba nie zjesz go na surowo?

– No nie wiem. – Zawahał się. – Nie myślałem o tym.

– Ja pierdolę, co z ciebie wychodzi? Muszę się pilnować, bo i mnie zeżresz.

Zdjęła z nogi but i zaczęła obcasem uderzać w ścianę.

– I tak nikt nie usłyszy, nie warto – skomentował Piosik.

– Nie tracę nadziei – odparła i kontynuowała. Stukot rozchodził się po metalowych ścianach, ale gdzieś dalej ginął, tonął w otaczającym ich nurcie wody.

Nowak był coraz bardziej zaniepokojony. Zawiadomił Kowalskiego i teraz razem szukali przyjaciółki. Co dziwne, nikt Zuzy ani Piosika nie widział, tak jakby zapadli się pod ziemię. Na jedyny ślad natrafiła Jolka, ale był bardzo mało wiarygodny. Ktoś ponoć widział osobę podobną do jej pryncypałki, jak jechała przez miasto na rowerze w towarzystwie jakiegoś mężczyzny.

Zuza Lewandowska jadąca na rowerze to była czysta abstrakcja. Podejrzewali, że ona nawet nie umie na nim jeździć, a cóż dopiero mknąć na nim przez miasto. To był na pewno fałszywy trop. Aplikantka została zobowiązana do opieki nad zwierzyńcem Zuzy, sierżant pojechał do komendy, żeby w końcu zmusić milicję do wszczęcia poszukiwań, a proboszcz zobowiązał się do wygłaszania komunikatu o zaginięciu po każdej mszy. Kowalski tymczasem ruszył w miasto, po knajpach i pijackich melinach zasięgnąć języka. Może czegoś się dowie. Z godziny na godzinę atmosfera robiła się coraz bardziej gorąca. Borys co chwila wył, co mu się dotąd nie zdarzało. Geńka twierdziła, że to pewnie znak, że Zuza nie żyje. Zgaga wciąż rozgłaszała swoją miłość do właścicielki, co też nie było normalne.

– Zuuuza! Kooocham cię! Kuuurwa maaać! Zuuuza! Kocham ciiię! – krzyczała, klepiąc przy tym okropnie dziobem.

Jedynie Wrzód, jak to Wrzód, zachowywał się normalnie, wygrzewał się przy piecu, najwyraźniej miał to wszystko w nosie. Czwartego dnia ktoś zgłosił na milicję, że ukradziono mu ze stajenki dwa rowery. Może to by uszło ich uwadze, ale akurat sierżant odwiedził oficera dyżurnego, żeby go podpytać o postępy w poszukiwaniach. Natychmiast przypomniała mu się opowieść o Zuzie mknącej na rowerze. Czyżby to była prawda? Rozpoczęli poszukiwania jednośladów. Były charakterystyczne, pomalowane w tęczowe kolory. Kto tak maluje rowery? – dziwili się milicjanci. Niestety, to też nie przyniosło jakichkolwiek rezultatów. One również zniknęły jak kamfora.

Rozległ się okropny pisk.

– Mam go! – krzyknął uradowany Piosik. – Dorwałem go!

– I co dalej? – wyszeptała Zuza, po czym zaniosła się okropnym kaszlem.

– Musimy go zjeść. W mamrze jeden kumpel mi mówił, że trzeba odciąć ogon, że tam są te wszystkie syfy, bo jak zjesz ogon, to jesteś ugotowany.

– Ja go nie tknę, nie ma mowy, brzydzę się. Chyba prędzej zjem własne palce.

– Pani mecenas, jeden to i tak za mało. Musimy upolować jeszcze kilka. Tu się nie ma czym dzielić. Ma pani może nóż? Trzeba go wypatroszyć.

– Mam nożyczki do obcinania paznokci.

Zaczęła po omacku przeszukiwać torebkę. W końcu je znalazła i mu podała.

Ich sytuacja stała się beznadziejna. Stracili rachubę, ile czasu tu przebywają. Było zimno, wilgotno, głodno, no i to pragnienie – okropnie im się chciało pić. Smród fekaliów już im aż tak nie doskwierał, przyzwyczaili się do niego. Zuza od pierwszego dnia co jakiś czas uderzała obcasem w ścianę, łudząc się, że ktoś ich w końcu usłyszy. Jednak powoli zaczęła tracić nadzieję, poddawała się losowi. Mało tego, jakiś czas temu przyplątała się do niej gorączka, czuła się bardzo źle.

– Pan mecenas, udało mi się odciąć ogon i go oskórować. Chce pani kawałek?

Słysząc to, Zuza dostała silnych torsji.

Piosik zaraz dodał:

– To może jak złapię następnego.

I zaczął jeść, głośno przy tym mlaskając.

To spowodowało u Zuzy nawrót wymiotów.

Dochodziła godzina dwudziesta. W telewizji kończył się dziennik telewizyjny. Płock wyglądał jak opuszczony. Jedynie pojedynczy przechodnie przemykali opłotkami. Z poczty przy ulicy Bielskiej wyszła kobieta, przed chwilą odebrała telegram, zmierzała do domu. Mieszkała ulicę dalej, bo przy Sienkiewicza. W połowie trasy drogę jej zagrodził mężczyzna. Ubrany był w grubą kurtkę z kapturem, w którego cieniu skrywał twarz.

– Czego chcesz? Nie mam pieniędzy! – krzyknęła wystraszona.

– Nie chcę pieniędzy, chcę ciebie – odparł lodowatym głosem, chwycił ją za rękę i siłą wciągnął do pobliskiej bramy.

Kwadrans później patrol milicji przejeżdżający ulicą Bielską zauważył półnagą kobietę idącą chodnikiem. Chwiała się na nogach, co chwila przytrzymywała ścian mijanych akurat kamienic. Zatrzymali się tuż przy niej. Kobieta, widząc ich, chciała coś powiedzieć, ale nim udało jej się coś z siebie wydusić, bez przytomności osunęła się na trotuar.

Nowak wpadł niczym bomba do kancelarii.

– Znaleźli następną ofiarę tego seryjnego zabójcy.

– Biedaczka – skomentowała krótko Jolka.

– Nie tym razem. Ona żyje. Uciekła sukinsynowi, mało tego, zraniła go w rękę. Może teraz w końcu go złapią.

– Teraz ważniejsze, żeby się pani mecenas odnalazła. Nic nowego pan nie wie w tej sprawie?

– Niestety, nie, ale przecież Zuza od jakiegoś czasu zaczęła szukać tego popaprańca. Może jej zaginięcie to jego robota? Jeśli dorwą jego, to jest jakaś nadzieja.

– Myśli pan, że jeszcze żyje?

– Dokąd nie ma ciała, to jest nadzieja. Musisz pamiętać, że zniknął również Piosik. A co tam się dzieje z jej zwierzyńcem? Dajesz radę?

– Wczoraj niechcący wypuściłam papugę. Dwie godziny ją łapałam. Latała przy suficie i wrzeszczała: „Suuuka! Suuuka! Suuuka!”. Dopiero skusił ją kieliszek

stocka. Przypomniało mi się, że kiedyś pani mecenas wspominała, że papuga też go lubi. Walnęła pięćdziesiątkę, po czym przewróciła się na grzbiet, wyciągając pazury do góry. Cudaczny widok, mało tego, wciąż kłapała dziobem. Przy okazji dwa razy potknęłam się o tego kota. Wciąż mi lazł pod nogi i wywinęłam orła. Mam teraz guza z tyłu głowy i rozbite kolano. Sporo jak na jeden dzień.

Zaskrzypiały otwierane drzwi. W progu stanął malarz. W jednej ręce trzymał ramę z naciągniętym na nią płótnem, w drugiej siatkę z przyborami. W oczy rzucał się bandaż na prawej ręce.

Jolka z sierżantem wymienili znaczące spojrzenia.

– A co się panu stało? – spytała aplikantka.

– Byłem w domu klientki, malowałem jej portret i nagle rzucił się na mnie jej pies, bokser. Zanim go odciągnęła, zdążył mnie ugryźć. Dobrze, że szczepiony, bo zastrzyki przeciw wściekliźnie są bardzo bolesne. Mój przyjaciel przeszedł taką kurację i mi opowiadał.

Sierżant patrzył na niego z niedowierzaniem, bo opowieść wydała mu się mocno naiwna.

– A co pan robił wczoraj wieczorem, tak zaraz po dzienniku?

– Wieczorem? – zdziwił się. – Patrzyłem na telewizję. Włączyłem na pogodę, a później był Teatr Telewizji. Oglądał pan?

– Ja oglądałam – wtrąciła się Jolka do rozmowy. – Łomnicki był świetny. Według mnie to jego rola życia.

– Tak, też tak uważam – podchwycił Portalski. – Przyszedłem namalować nowy portret, ale słyszałem, że pani Lewandowska zaginęła. Co mam w takim razie robić, bo obraz już jest w połowie?

– No jak to co? – obruszyła się dziewczyna. – Proszę kończyć.

– A kto mi za to zapłaci?

– Pani Lewandowska, a jeśli nie ona, to ja.

– To w takim razie idę malować.

Portalski poszedł do pokoju Zuzy, a kiedy tylko zniknął za drzwiami, Jolka szepnęła do Nowaka:

– Łomnicki nie grał w tej sztuce.

– Sprytna jesteś. A to sukinsyn – zaklął Nowak. – Dobre posunięcie. Czyżby to on? Trzeba mu się dokładniej przyjrzeć.

W kancelarii zjawił się Kowalski. Był bardzo czymś podekscytowany.

– Mam nowe informacje. Kilka osób widziało Zuzę, jak jechała rowerem ulicą Kościuszki. Może by nie zwrócili na nią uwagi, ale tęczowy kolor roweru aż kłuł ich w oczy.

– Sama jechała?

– Nie, w towarzystwie jakiegoś mężczyzny, z rysopisu wynika, że to mógł być Piosik.

– Do cholery, gdzie się wybierali i czemu nie samochodem? – zastanawiał się sierżant. – Chciała coś zrobić dyskretnie, ale chyba coś poszło nie tak, a na dodatek jechała kradzionym rowerem.

– Trzeba by pójść na Kościuszki i popytać okolicznych lumpów, może ktoś jeszcze ich widział? Zuza wspominała o jakimś kielichu. Co to była za sprawa? Może to ma związek z jej zniknięciem? – dopytywał Kowalski.

– Przepraszam, ale czy mógłbym prosić o herbatę? – rzucił Portalski. Stał w progu pokoju Zuzy i uśmiechał się do Jolki. Tak byli pochłonięci rozmową, że nie zauważyli jego obecności.

Nowak nagle z marsową miną ruszył w jego stronę.

– Można, ale najpierw, kolego, powiedz nam, jak się nazywa ta klientka, co ma agresywnego boksera. Nazwisko, adres, i to szybko!

Malarz zbladł, cofnął się o krok.

– Przykro mi, ale obiecałem tej pani dyskrecję.

– Pan kłamie! – krzyknęła Jolka. – Pan nie oglądał teatru! Pan wciąż kłamie!

– Jak to nie oglądałem?

Portalski cofnął się jeszcze krok.

– Łomnicki w nim nie grał!

– Możliwe, nie znam nazwisk aktorów. W ogóle nie mam pamięci do nazwisk.

Sierżant chwycił go za sweter tuż przy gardle i przyciągnął do siebie.

– Nazwisko tej kobiety, i to już, bo za siebie nie ręczę! – wyszeptał tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Nie powiem. Nie ma mowy. – Malarz wciąż się stawiał, choć widać było strach w jego oczach.

– Zaraz się przekonamy.

Nowak wepchnął go do pokoju Zuzy, po czym wszedł za nim, na koniec zatrzaskując drzwi.

Jolka z Kowalskim spojrzeli po sobie. Nigdy wcześniej nie widzieli sierżanta tak zdenerwowanego. To było aż do niego niepodobne. Zaległa cisza. Podeszli bliżej, żeby coś podsłuchać. Nagle usłyszeli potworny huk i krzyk Portalskiego.

Adwokat nie wytrzymał i zajrzał do środka. Dwa krzesła były wywrócone, a na podłodze zobaczył malarza, na którym siedział okrakiem sierżant, okładając go pięściami. Twarz Portalskiego spływała krwią, ale to nie powstrzymywało Nowaka. Wciąż go bił, i to bez opamiętania. Kowalski podbiegł od tyłu i chwycił go za ramiona, starając się go odciągnąć od ofiary. Jolka przyszła mu w sukurs. Wspólnymi siłami w końcu im się to udało.

– Co ty wyprawisz? Chcesz go zabić?

Ten w ogóle nie słuchał.

– Tak! Zabiję skurwysyna! Tak! Zabiję skurwysyna! – powtarzał w kółko jak mantrę i wciąż starał się doskoczyć do Portalskiego.

Na szczęście malarz szybko jako tako się pozbierał i wybiegł z kancelarii. Dopiero teraz puścili sierżanta.

Ten zaś poprawił ubranie i bez słowa pożegnania wyszedł.

– Pójdę za nim, może dowiem się, o co w tym wszystkim chodzi – rzekł Kowalski, zarzucając kurtkę na siebie.

– A ja co mam robić? – Jolka poczuła się w tym wszystkim zagubiona.

– Nie wiem, ułóż pasjansa albo idź do wróżki.

Zuza z trudem podniosła się ze skrzynki. Podeszła do ściany i przyłożyła do niej ucho. Gdzieś w oddali słychać było coś jak przerzucanie blach. To pewnie dochodziło od strony stoczni.

– Jak myślisz, który to już dzień? Ja się w tym pogubiłam. Zresztą każdemu by się wszystko pokręciło, bo tu wciąż mamy noc. Jak ja tęsknię za światłem.

– Cholera wie, pani mecenas. Wciąż myślę o swojej kobiecie.

– Nie myśl wciąż o niej. Pewnie już nie twoja – zakpiła. – A poza tym, czy to teraz ważne? I tak tu zdechniemy.

Nagle usłyszeli jakieś dziwne odgłosy, ewidentnie dochodziły z barki. Ktoś był na pokładzie.

Zuza chwyciła but i zaczęła jak szalona walić w ścianę. Piosik złapał kawał deski i jej wtórował.

– Pomocy! Jesteśmy uwięzieni! – zaczęli krzyczeć, ile mieli sił w gardłach. Wszystko na nic. Ten ktoś albo ich nie słyszał, albo tylko udawał. Być może to on ich tu uwięził. Co go tu sprowadziło?

– Cholera, czuję następne kłopoty – rzekła Zuza, próbując założyć but z powrotem na stopę, ale opuchnięte nogi jej to uniemożliwiły. – Niebawem się przekonamy, czy mam rację.

Wciąż słyszeli jakiś hałas. To było bardzo blisko. Ten ktoś wciąż działał. Nagle wszystko ucichło, a po chwili usłyszeli charakterystyczny odgłos lejącej się wody.

– Sukinsyn! Już po nas! – krzyknęła Zuza. – On chce zatopić barkę!

– Ja nie umiem pływać. – Piosik coraz bardziej panikował. – To znaczy, że się utopimy?

– Zgadza się, całkiem dobrze główkujesz, ale w tej sytuacji umiejętność pływania nie pomoże. Przynajmniej nie zjemy się nawzajem, a za to wcześniej napijemy się do syta. Jeszcze pół godziny temu wszystko bym dała za szklankę wody, a teraz wszystko bym dała za coś zupełnie odwrotnego. Jeszcze miesiąc temu myślałam, że zdechnę na raka, a ja się zwyczajnie utopię.

Zaśmiała się gorzko.

Prokurator Popławski siedział w salonie i popijał koniak. Nagle odstawił kieliszek i sięgnął po słuchawkę. Wykręcił znany sobie numer. Po chwili po drugiej stronie odezwał się jakiś głos.

– Słucham?

– Postanowiłem definitywnie zakończyć sprawę i przebiłem burtę barki. Woda zniszczy wszelkie ślady.

– Kurwa mać, nie uzgadnialiśmy tego. To było zupełnie niepotrzebne. – Rozmówca nie krył podenerwowania. – Nie tak miało być.

– Już za późno, uznałem, że Lewandowska za dużo wie, i ją uciszyłem.

Odłożył słuchawkę na widełki i ponownie wziął kieliszek w rękę.

Dochodziła godzina dwudziesta, w lokalu Pod Strzechą było jeszcze sporo klientów. Jeden ze stolików okupowali Kowalski i Nowak. Mieli już dobrze wlane, obejmowali się czule i poklepywali.

– Kurwa mać, o co tu, do cholery, chodzi? Nie powiesz mi? Chyba jesteśmy kumplami? – bełkotał adwokat.

Obaj trzymali w dłoniach kieliszki, przed nimi na stoliku stały dwie butelki po wódce.

– Nie, nikomu tego nie powiem. To kurwa jedna.

– Kto kurwa? O kim ty mówisz? No wal. Ulży ci.

– Nic mi nie ulży, a tego chuja z pędzlami to ukatrupię. Nie ukryje się przede mną. Znajdę go, choćby do Chin wypierdolił. Pojadę tam za nim.

– Co ty pierdolisz? Lepiej pomyśl o Zuzie. Jak możemy jej pomóc?

– Ona to już pod kreską. Zajebali ją. Ostrzegałem, ale mnie nie słuchała. Nie można wciąż prowokować losu. Doigrała się i basta.

– A co z tym Portalskim? Co ci powiedział? Gadaj, bo to może być on. Ja go podejrzewam.

– Ja ci powiem jedno: on jest gorszy od tego psychola. Ja tego chuja własnoręcznie ukatrupię. Ty wiesz, co on zrobił?

– No właśnie tego nie wiem. Wyrzuć to z siebie w końcu.

Nowak, kiwając się na wszystkie strony, mętnymi oczyma spojrzał na Kowalskiego.

– O! – Podniósł pustą butelkę. – Zawołaj kelnerkę, bo wódka się skończyła.

Adwokat złapał za rękę dziewczynę w fartuszku przechodzącą koło stolika.

– Jeszcze jedną flaszkę proszę.

Spojrzała na niego z kpiną.

– A nie wystarczy wam?

– Nie wystarczy. A co? Reglamentacja?

– Zaraz przyniosę. – Wzruszyła ramionami i poszła.

– No, mów. – Kowalski wrócił do rozmowy. – Co wiesz o tym malarzynie od siedmiu boleści?

– A nie powiesz nikomu? Dajesz słowo?

– Jasne, słowo. Przecież mnie znasz. Gadaj!

– Ten chuj… – Sierżant przerwał w pół słowa.

– No mów – ponaglał go prawnik.

– No, ten chuj namalował moją babę. Sukinsyn jeden!

– No i co z tego? On ładnie maluje.

– Ale skurwiel namalował ją nago. Zachciało jej się aktu. Pojebało ją na stare lata. Pogryzł go nie żaden bokser, tylko mój jamnik. On się nawet nie zna na psach.

Kowalski, słysząc to, parsknął niepohamowanym śmiechem.

– Z czego się, kurwa, śmiejesz? – spytał zadziornie Nowak, zanosząc się okropnym kaszlem.

– Oczyma wyobraźni widziałem ten obraz u ciebie na ścianie nad stołem zamiast *Ostatniej wieczerzy*.

Piosik ocknął się raptownie. Poczuł w nogach coś zimnego. Cholera, to przecież woda. Tkwił w niej aż po kolana. Nie wiadomo, którędy dostawała się do kajuty. Od razu też zauważył, że podłoga się jakoś dziwnie przechyliła.

Ręką, po omacku, zaczął szukać Zuzy. Szarpnął ją za ramię.

– Pani mecenas, toniemy! Pani mecenas, topimy się!

Długo nie reagowała, z trudem ją w końcu dobudził.

– Co? Co ty mówisz? – wybełkotała, ledwie przytomna.

– Łajba się przechyla. Woda wlewa się do kabiny.

– Woda? Daj mi się napić.

Nagle poruszyła się raptownie. Teraz i ona to poczuła.

– Woda? Muszę się napić.

Schyliła się, zaczęła dłońmi ją chwytać i pić.

– Pani mecenas, co robimy?

– Nic, czekamy – wyszeptała.

Kowalski, idąc ulicą Jerozolimską, zobaczył chłopaka jadącego rowerem. Nigdy nie zwracał uwagi na rowerzystów, ale nie tym razem. Pojazd aż kłuł w oczy tęczowym kolorem ramy. Podobno na takim właśnie widziano Zuzę tuż przed jej zniknięciem. Adwokat wyszedł na jezdnię, zablokował młodemu drogę i chwycił rower za kierownicę.

– Skąd masz ten rower? – spytał, mierząc chłopaka groźnym spojrzeniem. – Tylko mi tu kitu nie wciskaj, że twój, bo wiem, że jest kradziony. Gadaj, i to już!

– Ja nic nie wiem. To kolegi…

– Nie ściemniaj mi tu, że to kolegi. Jak mi nie powiesz, skąd go masz, to zaraz zawołam milicję. Widzę patrol idący od ulicy Kwiatka. Dobrze ci radzę, mów szybko, bo inaczej będziesz się tłumaczyć na komisariacie, a zanim tam trafisz, to ci pałkami zrobią taki masaż dupy, że przez tydzień na niej nie usiądziesz.

Chłopak był bardzo wystraszony.

– Proszę pana, mam go od kolegi, a on skąd go ma, to nie wiem. Słowo – rzekł, co chwila nerwowo zerkając na milicjantów.

– Dawaj adres tego kolegi, i to galopem.

– Ale on mnie zabije.

– No to wołam patrol.

Kowalski zaczął machać ręką w stronę milicjantów.

– Niech pan poczeka. To Antek Rowicki, mieszka przy Wieczorka osiem, na parterze.

– No widzisz, jak wizja pałowania cudownie przywróciła ci pamięć. A teraz spadaj!

Kowalski puścił ramę i chłopak pośpiesznie odjechał.

Na Wieczorka nie było daleko, wystarczyło kawałek się wrócić i przeciąć na ukos stary rynek.

Zajęło mu to kilka minut. Bez trudu znalazł mieszkanie. Drzwi obskurne, ściany korytarza obdrapane, zapach moczu okropnie drażnił nozdrza. Przycisk dzwonka urwany i wiszący jedynie na kablu, ale o dziwo działał. Otworzył mu mężczyzna w sile wieku, pewnie ojciec Antka. Twarz znajoma, no tak, to przecież jego klient, że też wcześniej po nazwisku nie skojarzył.

– Pan mecenas? Do mnie? Co potrzeba? – Rowicki nie krył zdziwienia jego niespodziewaną wizytą.

– Szukam Antka. Jest w domu?

– A co przeskrobał? – Mężczyzna groźnie zmarszczył brwi.

– Nic poważnego, muszę pilnie wiedzieć, skąd ma ten nowy rower. To jest bardzo ważne.

– Ja mu go dałem, a co? Nie ukradłem go. – Ostatnie zdanie powiedział podniesionym głosem.

– W porządku, nie chodzi mi o to, czyja to własność, ale skąd go pan ma? Od kogo?

– Od nikogo, znalazłem go i jeszcze jeden taki sam. Byłem z kumplem, to mu ten drugi dałem.

Kowalski czuł, jak mu ciśnienie rośnie. Być może to był klucz do odnalezienia Zuzy.

– Ale gdzie pan znalazł te rowery? – Wbił natarczywe spojrzenie w rozmówcę.

– Na Radziwiu, leżały w krzakach. Jakby ktoś je porzucił. Na to wyglądało.

– Gdzie na Radziwiu? Konkretnie? Tuż za mostem czy dalej?

– Bo ja wiem? – Mężczyzna zaczął się plątać. – Gdzieś przy Wiśle. Ciemno było. Nie pamiętam.

– I po ciemku znalazł pan te rowery w krzakach? Chłopie, przestań mi tu kit wciskać. Komu je zabrałeś? Mów!

– Takim dwóm gnojkom. Gadali, że je znaleźli.

– Ale na Radziwiu?

– Nie pytałem. Na Radziwiu im zabrałem.

– Czyli mogli je znaleźć i po tej stronie Wisły? Tak?

– No, mogli. Nie wiem, mogę je oddać, nie chcę kłopotów.

– Mnie nie chodzi o te przeklęte rowery. Chcę wiedzieć, gdzie je znaleziono. A te gnojki? Znał ich pan?

– Gęby może i znajome, ale nie pamiętam.

Kowalski nie krył rozczarowania. Przez chwilę wydawało się, że wpadł na trop Zuzy, ale teraz wszystko się raptownie rozmyło.

– A gdzie na Radziwiu spotkaliście tych chłopaków? Blisko jakiego miejsca?

– Gdzieś blisko portu.

Port, adwokatowi zapaliło się w głowie światełko ostrzegawcze. Coś kiedyś mimochodem słyszał o jakiejś barce. Może to jest ten trop? Musi podpytać Nowaka, on powinien wiedzieć więcej.

Wyszedł na ulicę, głęboko odetchnął świeżym powietrzem, po czym szybkim krokiem udał się do kancelarii. Stamtąd postanowił zadzwonić do sierżanta.

– Pani mecenas, wody coraz więcej, pomogę pani wyżej ustawić skrzynki.

– Nie wiem, czy warto – odparła Zuza cichym głosem. Wyraźnie słabła. Głód i zimno zaczynały pokonywać jej organizm, no i jeszcze ta ogarniająca ich beznadzieja.

– Coś pływa koło mnie. Co to? – spytała nagle, wyraźnie ożywiona.

– To pewnie ten ostatni szczur, na którego polowałem. Chce uciec.

– No tak, ucieka z tonącego okrętu. Już mi i one są obojętne. Muszę cię przeprosić. W sumie to moja wina, że się tu znalazłeś. Namówiłam cię na tę eskapadę.

– Pani mecenas, nich się pani nie wini. Tak widocznie musiało być. I tak żyłem dłużej od swojego starego. Pani też mi kilka razy dupę uratowała, więc jesteśmy kwita.

– A nie żal ci tej twojej Loli czy jak jej tam?

– Poradzi sobie, znajdzie sobie nowego. Ustawię te skrzynki jak obiecałem, bo woda już do pasa, a jest lodowata.

– Dobrze, mam okropne dreszcze z zimna. Już nóg nie czuję.

Kowalski wpadł do kancelarii niczym bomba.

– Co wiesz o jakiejś barce? – zwrócił się do Jolki.

Spojrzała na niego zdziwiona.

– O co chodzi? Co za barka? Nie rozumiem.

– Zuza wspominała mi kiedyś o jakieś barce. Coś mi wpadło w ucho, ale nie pamiętam szczegółów. Przypomnij sobie, i to szybko.

– To dotyczyło sprawy Mariańskiego. Pani mecenas dostała cynk, że na jednej z wiślanych barek może być coś ukryte. Wzięła Piosika i tam się włamali.

– To tam znaleźli ten kielich?

– W rzeczy samej. Jednak po co mieliby się tam włamywać powtórnie? To nie ma sensu. Nawet o tym rozmawialiśmy z sierżantem. Też uważał, że to na pewno ślepy trop.

– Chyba jednak źle to oceniliście. Znalazły się te przeklęte rowery i zgadniesz gdzie? W Radziwiu, i to blisko portu. Wiesz, która to barka?

– Nie mam zielonego pojęcia.

– W takim razie trzeba sprawdzić wszystkie. Dzwoń po Nowaka, czas nagli. Ja idę po samochód, będę tu za kwadrans.

Niedługo potem mknęli mostem na drugą stronę Wisły.

– Słyszałeś najnowsze wieści z komendy? – zagadał nagle sierżant.

– Masz na myśli te o nowej ofierze tego psychola? Że mu uciekła? Pewnie ją przesłuchali?

– Nie, to coś ze smaczkiem. Coś o zapachu bułki z salcesonem.

– Domyślam się, że chodzi o Pawłowicz.

– Owszem, kochanica Mariańskiego zniknęła. Wszelki ślad po niej zaginął.

– Jak to? Co ty pierdolisz? Nie mów, że jest następną ofiarą tego psychopaty. To byłoby nie tragiczne, ale wręcz śmieszne.

– To coś innego. Weszli do jej mieszkania, bo myśleli, że coś się jej przytrafiło, a tam wszystko z szaf powywalane, zaś po niej nie znaleźli najmniejszego śladu.

– Myślisz, że to zemsta Mariańskiego? Że dorwał tę kurwę i ją ukatrupił?

– Tego nie wiem, ale myślę, że będzie musiał się gęsto tłumaczyć.

Kowalski zaparkował peugeota zaraz za mostem i dalej poszli pieszo. To było najlepsze rozwiązanie, bo po wielkiej powodzi z początku stanu wojennego trudno było dalej podjechać. Od razu rzuciła im się w oczy zatopiona barka, której spod wody wystawał jedynie czerwony dach nadbudówki. Jak się dowiedzieli od robotników stoczniowych, ponoć dziś w nocy niespodziewanie zatonęła. To wzbudziło ich niepokój, ten zaś, gdy obeszli wszystkie pozostałe i nie znaleźli najmniejszego śladu obecności Zuzy, przerodził się w przerażenie. Czuli, że się

spóźnili, bo na ratunek było za późno. Tym razem Zuza nie miała tyle szczęścia co zwykle.

Z ciężkim sercem udali się w drogę powrotną. Kowalski zawiózł Nowaka na ulicę Kredytową. Tam mieszkał znany płocki nurek Gajewski. Należało jak najszybciej wydobyć ciało, nie chcieli, żeby ryby napoczęły ich przyjaciółkę. Zasłużyła na godny pogrzeb.

Jolka dowiedziała się wszystkiego dopiero późnym wieczorem od Nowaka, który zjawił się u niej w domu z tą hiobową nowiną. Nawet go do końca nie wysłuchała, tylko zaniosła się głośnym płaczem.

Był środek nocy, kiedy psychopata znów zaatakował. Tym razem jego ofiarą padła pielęgniarka ze szpitala wojewódzkiego, wracająca ze schadzki z ordynatorem oddziału kardiologicznego, notabene szczęśliwie żonatego z lekarką z oddziału wewnętrznego, na którym pracowała ofiara. Jednym słowem kochaś miał obie damy swojego serca na wyciągnięcie ręki i na kilkunastosekundową podróż windą. Wszystko trwało chwilę. Zabójca wyskoczył z zarośli, udusił kobietę, a następnie wciągnął nieboszczkę w krzaki. Najpierw pozbawił ją majtek, a potem ułożył ciało w pozycji embrionalnej. Zgarnął ofierze włosy na boki, odsłaniając twarz. Wyglądała jak pogrążona we śnie. Chwilę jej się w skupieniu przypatrywał. Z kieszeni kurtki wyjął zeschnięty kwiat róży, włożył go jej w dłoń, po czym zacisnął na niej palce nieboszczki. Rozejrzał się uważnie po okolicy i nie widząc nikogo, pospiesznie się oddalił.

Mniej więcej w tym samym czasie Mariański siedział w sali przesłuchań komendy wojewódzkiej, tym razem nie jako przesłuchujący, ale znów jako przesłuchiwany. Skierowano w jego oczy silny strumień światła i zasypano go mnóstwem pytań. Wszystkie dotyczyły Pawłowicz, tak jakby była najważniejszą osobą w kraju. Zainteresowanie zwierzchników jej zniknięciem było zastanawiające.

– Nie wiemy. Nie widzieliśmy. Nic jej nie zrobiliśmy. Mamy alibi. Owszem, nie cierpimy jej, ale to nie znaczy, że z tego powodu mielibyśmy ją zabić.

To były tylko przykładowe z licznych odpowiedzi. Kapitan już był tym zmęczony. Pocił się niemiłosiernie, bo w pokoju było bardzo ciepło. W końcu zadano mu ostatnie pytanie.

– Czy wiecie, kto zabił Stańczaka?

Zaskoczyło go zupełnie. O mało się nie przyznał. W ostatniej chwili wydukał:

– Jeszcze nie wiemy. Właśnie zaczęliśmy dochodzenie w tej sprawie.

– Meldować o postępach.

Na tym się skończyło, mógł wracać na służbę do komendy miejskiej.

Na ulicy minął zakapturzonego mężczyznę. Normalnie by go zatrzymał i wylegitymował, bo nie cierpiał, kiedy ktoś ukrywał twarz, ale tym razem odpuścił. Miał co innego na głowie. Zabójcy znów dopisało szczęście. Przemknął starówką w cieniu kamienic i zszedł do piwnic jednej z nich. W ostatniej po lewej stronie, za drzwiami uzbrojonymi w stalowy skobel i wielką kłódkę, stała skrzynia, w której skwapliwie gromadził fanty zabrane swoim ofiarom. Tak jak zawsze, zanim figi w niej zniknęły, najpierw zatopił w nich nos i chwilę się w nie wwąchiwał, by zaraz z wyraźnym obrzydzeniem tego zaprzestać.

Kapitan Mariański dostał pilne wezwanie do szpitala. Wraz z kapralem Oparą z piskiem opon zajechali milicyjną nysą przed wejście główne. Tam już czekał na nich lekarz dyżurny z oddziału wewnętrznego.

– Panowie milicjanci, mamy kłopot. Dziś rano kierowca PKS przywiózł nam dwoje bezdomnych w okropnym stanie, są nieprzytomni. Nie wiemy, czy w ogóle przeżyją. Nie wiemy też, kim są, bo nie mieli przy sobie żadnych papierów.

– Jak to przywiózł? Skąd ich wziął? – zdziwił się Mariański. – Macie spisane jego personalia?

– Pewnie tak, a znalazł ich gdzieś na szosie. Leżeli na środku drogi. Niedużo brakowało, a byłby ich rozjechał. W ostatniej chwili zahamował.

– Powiadacie, że bezdomnych? W naszym kraju nie ma bezdomnych, bezdomnych to mają tylko w kapitalizmie. Prowadźcie do nich, rzucimy na nich okiem i przesłuchamy na tę okoliczność.

– Przesłuchać się nie da, oni są nieprzytomni.

– Sprawdzimy, może udają, może to jakieś typy od tego całego Reagana, a może, co gorsza, to jacyś z Solidarności. Wszystko sprawdzimy, prowadźcie!

Lekarz chciał coś jeszcze powiedzieć, ale rozmyślił się, jedynie delikatny uśmiech przemknął przez jego twarz. Odwrócił się i ruszył przodem.

W sali były ustawione cztery łóżka, dwa zajęte, panował półmrok.

– Co tu tak ciemno? Muszę zobaczyć ich gęby. Zapalcie światło – zwrócił się kapitan do pielęgniarki. Spojrzała pytająco na lekarza. Ten skinął głową. W chwilę potem zabłysły przy suficie jarzeniówki. Mariański podszedł do pierwszego łóżka, następnie do drugiego.

– Nie znamy ich. Dajcie mi ich dowody osobiste.

– Mówiłem już, że nie mają żadnych dokumentów.

– A co mają?

– Nic.

– Może to dywersanci? Sprawdziliście, czy nie mają broni, a może ulotek?

Lekarz, słysząc to, zdumiał się niezmiernie. Ci ludzie są na granicy życia i śmierci, a ten imbecyl wciąż zadaje durne pytania.

– Nie mieli, ale może je zjedli – zakpił z funkcjonariusza.

– Macie rację, mogli je zjeść. Przepłuczcie im żołądki i wydobądźcie je. To jest dowód. Bierzcie się do roboty, towarzyszu lekarzu.

– To był żart. Jeśli im teraz zrobię płukanie żołądka, to mogą tego nie przeżyć, tak są wycieńczeni. Zresztą papier się rozpuszcza od soków i nie będzie po nim śladu – zaoponował.

– Jakich soków? Karmiliście ich sokami? – Oczy Mariańskiego miotały błyskawice, twarz pokryła intensywna purpura. – Współdziałacie z nimi? Chcecie być oskarżeni o zdradę? Wiecie, co za to jest w stanie wojennym? Czapa! – Ostatnie słowo wykrzyknął.

– Nikt ich nie karmił żadnymi sokami. Miałem na myśli soki, które każdy ma w żołądku.

– Co wy pierdolicie, chyba wiemy, co mamy w żołądku. Mamy to, co zjemy. Pójdziecie siedzieć za współudział.

– Współudział w czym?

– Nie wiemy w czym, ale to ustalimy. Pakujcie się, pojedziecie z nami na komisariat. Tam będziecie inaczej śpiewać. Już my mamy swoje sposoby.

– Ale ja jestem na dyżurze. Stanowczo odmawiam! – Medyk próbował protestować.

– Ta was zastąpi! – Mariański wskazał palcem pielęgniarkę.

– Ale ona nie jest lekarzem.

– I co z tego? Skoro tu pracuje, to się zna. Idziemy!

Już od rana nad Wisłą pracowali nurkowie wynajęci przez Kowalskiego. On sam wraz z Nowakiem stali na nabrzeżu i z niepokojem się temu przyglądali. Czuli, że za chwilę zostaną wydobyte zwłoki Zuzy i Piosika. Czas biegł, ale nurkowie wciąż nic nie znaleźli. Dopiero po godzinnej penetracji wraku wydobyto damską torebkę. Nowak natychmiast poznał, że to własność Zuzy. W środku były dokumenty i wiele innych drobiazgów. Według nurków ciała porwał nurt rzeki i pewnie wypłyną dopiero w okolicach tamy we Włocławku, ale dopiero za kilka dni. Postanowiono wykonać jeszcze jedno zanurzenie i zakończyć akcję, ale tym razem na zewnątrz barki. Po kwadransie nerwowego wyczekiwania nurkowie się wynurzyli. Kowalski i Nowak z przerażeniem zobaczyli, że wydobywają z nurtu Wisły ciało.

– O kurwa. Tylko nie to – jęknął sierżant. A więc najgorsze przypuszczenia się sprawdziły. To były zwłoki mężczyzny, twarz miał tak pokiereszowaną, że nie dało się rozpoznać, kim on był. Z postury wyglądał na Piosika. Topielca ułożono na ziemi i nurkowie ponownie się zanurzyli. Teraz szukali Zuzy. Nadjechała taksówka. Wysiadła z niej Jolka. Kowalski natychmiast ruszył do niej, chcąc oszczędzić jej widoku zwłok. Zagrodził jej drogę. Mimo to zobaczyła ciało. Zbladła i gdyby jej nie podtrzymał, to pewnie runęłaby na ziemię.

– To nie Zuza, spokojnie – szeptał jej do ucha. – Jej nie znaleziono, więc może żyje – rzekł, choć sam w to nie wierzył.

Był wieczór, kiedy milicyjna nyska odwiozła lekarza dyżurnego na końcówkę jego dyżuru. W wejściu zderzył się z jakimś mężczyzną w kurtce z kapturem. Chciał mu zwrócić uwagę, ale tamten już rozpłynął się w mroku. Ruszył na swój oddział, był pełen niepokoju o stan zdrowia tych dwojga bezimiennych walczących o życie. Zdjął płaszcz, po drodze uchylił drzwi do pokoju lekarskiego i rzucił go na krzesło.

– Panie doktorze! – usłyszał zza pleców. To pielęgniarka. Biegła korytarzem w jego stronę.

– Co tam, siostro?

– Mieliśmy intruza na oddziale. Był na sali, gdzie leżą ci bezdomni. Jak mnie zobaczył, to uciekł.

– Coś ukradł?

– Od razu wszystko sprawdziłam, niczego nie brakuje. Tylko na stoliku stojącym przy łóżku tej kobiety położył różę, a właściwie jej zeschły kwiat. Czy to nie dziwne?

– Faktycznie, bardzo dziwne.

– Dobrze, że pan wrócił. Wszyscy się denerwowaliśmy, że te sukinsyny pana zamkną.

– Może chcieli, ale nie mieli za co. Teraz pójdę zajrzeć do pacjentów. Wciąż są nieprzytomni?

– Niestety tak, choć kobieta się poruszyła i coś niewyraźnie wyszeptała, ale tego nie zrozumiałam. Pewnie majaczyła.

Faktycznie, stan ich zdrowia w ogóle się nie polepszył. Pozostawało tylko czekać i być dobrej myśli.

Notatka operacyjna kapitana Mariańskiego

Dziś zatszymaliźmy nijakiego obywatela lekaża Mariana Skoniecznego pot zażutem wspułudziału z wywrotowym elementem. Pszełuchaliźmy go na tom okolicznoźć, ale się nie przysnał. Podejżewamy, że sokami rzolontkowymi zniszczył ulotki. Opara chciał mu dadź w pysk, ale nie zgociliśmy się, Nie mamy na niego chakuw.

Major Klecki miotał się po swoim gabinecie. Od wczoraj wydzwaniał do Popławskiego i nikt nie odbierał. W pracy też prokuratora nie było i nikt nie wiedział, gdzie się podział. To było nad wyraz niepokojące. Czyżby to on przywłaszczył sobie złoto i teraz zniknął? Może wystrychnął go na dudka. Jeśli tak, to się bardzo przeliczył. Wcześniej czy później znajdzie go. Znów sięgnął po słuchawkę. I dalej nic. Co tu się, do kurwy nędzy, dzieje? Najpierw zniknęła Pawłowicz, a teraz Popławski. Zadzwonił telefon. Może to on.

– Słucham!

– Tu kapitan Gawłowski z Pragi Północ. Czy służy u was niejaka Pawłowicz?

– Owszem, a o co chodzi?

– Podajcie nam jej rysopis. Czy to niewysoka szatynka przy kości?

– Z wyglądu się zgadza, ale o co chodzi, do cholery? Znaleźliście ją?

– My jej szukamy, i to pilnie, bo ona to nieprawdziwa Pawłowicz.

– Co wy pierdolicie? – Klecki się zdenerwował. – Mówcie, do cholery, jaśniej, bo nic nie rozumiemy.

– Ta wasza Pawłowicz podszywa się pod prawdziwą. Musicie ją koniecznie zatrzymać.

– Łatwo mówić, kilka dni temu zniknęła. A o co konkretnie chodzi? – zapytał po raz trzeci.

– Dziś znaleźliśmy Pawłowicz.

– No to dobrze. Sądzę, że tym razem beknie za te numery i nikt z komitetu jej nie pomoże.

– Ale ona nie żyje od kilku miesięcy. Znaleźliśmy ją w jednym z mieszkań na Targówku, w zamrażarce.

– W czym?

– W zamrażarce, głusi jesteście?

– Jak to nie żyje od kilku miesięcy? Przecież służyła w Płocku, wielokrotnie widzieliśmy ją i z nią rozmawialiśmy.

– To nie była ona. Ktoś się pod nią podszył.

Klecki aż usiadł z wrażenia.

– A po cholerę miałaby się podszywać? Nic z tego nie rozumiem.

– My też. Dochodzenie trwa. Aha, jeszcze jedno. Może to was na coś naprowadzi. Nieopodal bazaru Różyckiego w jednym z warsztatów rzemieślniczych jakiś czas temu dokonano zabójstwa. Na miejscu zbrodni znaleziono odciski palców takie same jak w tym mieszkaniu na Targówku. Być może to jej. Zdejmijcie skądś jej odciski i prześlijcie nam do porównania.

– To możemy zrobić – wydukał major, wciąż nie mogąc dojść do siebie. Nagle poczuł niepokój. – Co to za warsztat? Co tam robili?

– Nie jestem pewien, ale o ile pamiętam, to wyroby liturgiczne i takie tam rzeczy.

Klecki raptownie zbladł.

– Kurwa mać – bluznął i odłożył słuchawkę. Teraz wszystko stało się jasne. Pawłowicz, czy jak jej tam naprawdę było, najzwyczajniej ich wydymała. To ona stała za tym wszystkim. Tylko ona mogła go podsłuchać, wszak wciąż się tu kręciła. Ale gdzie ta suka mogła się podziać?

Nagle złapał się za głowę.

– Ja pierdolę! – wykrzyknął i wybiegł z pokoju.

Mimo usilnych poszukiwań Zuzy nie odnaleziono. Odnośnie do wydobytych zwłok na razie przyjęto, że to Piosik. Patolog Ludwicki miał przeprowadzić sekcję i ustalić przyczynę śmierci. Jolka, Kowalski i Nowak spotkali się w kancelarii. Byli zdruzgotani. Kowalski nie mógł sobie darować, że tak późno natknął się na rower, a Nowak – że zlekceważyli radziwski ślad. Spóźnili się najwyżej kilkanaście godzin. Nagle usłyszeli odgłos otwieranych drzwi. Z nadzieją w sercach poderwali

się z krzeseł. A może to Zuza? W progu stał Eduardo z bukietem kwiatów. Spojrzał po twarzach, szukając Zuzy.

– A moja siostra? Ja pytać was, gdzie moja siostra? – rzucił z niepokojem w głosie.

– Zaginęła – oznajmił Kowalski.

– Moja siostra zaginąć? Co wy gadać? A wy pytać w szpitalach? A wy być na policja?

– Zawiadomiliśmy milicję, oni mieli sprawdzić szpitale.

Kubańczyk z niedowierzaniem kręcił głową.

– Ja jechać do szpital. Ja czuć, że siostra tam być. Moja babcia być szamanka, ja po niej odziedziczyć moc. Siostra w nocy mi przyśnić, że ona chora, że potrzebować mojej pomocy i ja od razu przyjechać.

– No to jedziemy. – Jolka od razu to podchwyciła. Nowak wzruszył ramionami, w ten sposób demonstrując, co myśli o czarnej i białej magii. Kowalski jedynie uśmiechnął się pod wąsem, ale sięgnął po kurtkę.

W kwadrans dotarli na Winiary. Zaparkowali peugeota i stanęli przed wejściem głównym do szpitala.

– No i co dalej? Gdzie szamanka kazała się udać? – spytał adwokat z drwiną w głosie.

Eduardo spojrzał na niego z pretensją.

– Ty kpić ze mnie? Ty nie wierzyć? Ja ci powiedzieć, że ci… – szepnął mu coś do ucha, aż Kowalski zbladł. – Ty nie wierzyć? Ty się przekonać, i to niedługo.

Kubańczyk wszedł pierwszy. Od razu skierował się do windy, oni posłusznie szli za nim. Na oddziale wewnętrznym były akurat godziny odwiedzin. Eduardo mijał pacjentów i ich krewnych z wprawą slalomisty. W końcu zatrzymał się przed drzwiami do jakiejś sali i spojrzał na nich wyczekująco.

– Tu być moja siostra, tak mi mówić moje serce. Wy wejść i się przekonać.

– Ja wierzę – rzekła Jolka i jako pierwsza zajrzała na salę. Od razu skierowała się w stronę łóżka, na którym leżała kobieta, i nachyliła się nad nią. Twarz mizerna, rysy wyostrzone, oczy i policzki zapadnięte, cera ziemista. Dłuższą chwilę jej się przyglądała, jakby chciała się upewnić.

– O mój Boże! To pani mecenas! Żyje! – wykrzyknęła nagle na całą salę. Nowak i Kowalski natychmiast podeszli do niej.

– Zuza? – wydukał Nowak. Wciąż nie dowierzał.

– To niemożliwe – wyszeptał Kowalski i z nieskrywaną trwogą spojrzał na Eduarda.

– Wy nie wierzyć w szamana i wy widzieć, że to wasz błąd. Moja siostra być tu, wszystko być dobrze.

Zuza usłyszała znajome głosy. Jak to możliwe? Powoli otworzyła oczy. Teraz widziała wyraźnie zatroskane twarze przyjaciół nachylone nad nią.

– To koszmarny sen czy to naprawdę wy? – wyszeptała.

– Tak, to Zuza, teraz wierzę. Tylko z jej ust może kapać tyle jadu. Nikt inny tego nie potrafi. – skomentował Nowak, ale w jego głosie próżno było szukać pretensji.

– Co z Piosikiem? – wydukała. – Żyje?

Spojrzeli na sąsiednie łóżko. Kowalski nachylił się nad mężczyzną leżącym na nim.

– Chyba to on, jest trochę podobny. Żyje.

Teraz dopiero Eduardo dopchnął się do łóżka. Objął Zuzę czule i pocałował ją w czoło.

– Siostra, ja wiedzieć, że ty żyć. Duchy nasza babka czuwać nad tobą. One nie pozwolić zrobić ci krzywda.

Zuza poczuła, jak pojedyncze łzy spływają jej po policzkach. Zrobiła ruch dłonią, żeby je zetrzeć, ale ręka Kubańczyka była szybsza, bo w lot zrozumiał jej intencję.

– A państwo co tu robią? – Usłyszeli zdenerwowany głos pielęgniarki. – Tu nie wolno wchodzić.

Eduardo natychmiast podszedł do niej. Szeroko się uśmiechnął.

– Ty taka piękna kobieta, ty się nie złościć. To moja siostra. Ona żyć i ja się cieszyć. Ja ją zabrać do domu, ja się nią opiekować. Ty taka śliczna kobieta, że ja i tobą mogę opiekować. Ty powiedzieć tylko słowo.

– Dobra, nic nie widziałam. – Machnęła ręką i wyszła.

W świetnych nastrojach wracali ze szpitala. Kowalski prowadził samochód, obok niego siedział Eduardo.

Nagle adwokat zerknął niespokojnie na Kubańczyka.

– Czy to, co mi powiedziałeś na ucho, to się sprawdzi?

Ten parsknął śmiechem.

– A co? Ty się bać? Ty spokojny, nie odpaść ci no… banan.

Jolka i sierżant parsknęli śmiechem. Kowalski rzucił Eduardowi wściekłe spojrzenie. Mógł tego głośno nie mówić.

– A twoja babka to jeszcze żyje? Czy wciąż gotuje różne wywary i uprawia magię?

– Nie, babka być spalona za czary. Głupi ludzia.

W samochodzie zaległa grobowa cisza.

Eduardo uśmiechnął się pod nosem.

– Ja żartować.

Zuza po tygodniu opuściła szpital. Eduardo cały ten czas opiekował się jej zwierzyńcem i codziennie dowoził jej obiady. Przy okazji i Piosik się odżywił. Kiedy w końcu pojawiła się w progu, zwierzaki wpadły w szał radości. Borys biegał w kółko po pokoju, jakby się najadł szaleju. Wrzód wciąż ocierał się o jej nogi, przeraźliwie miaucząc, zaś Zgaga wydarła się na całe mieszkanie:

– Zuuuza! Kuuurwa maaać kooocham ciiię! Zuuuuza! Kuuurwa maaać kooocham ciiię!

Eduardo przygotował prawdziwą ucztę. Czego tam nie było? Bażant pieczony, wędliny z Pewexu, ananasy z puszki i nawet banany, a to tylko kilka z wielu smakołyków. Aż dziw brał, jakim cudem udało mu się to zdobyć.

– Skąd ty to wszystko wytrzasnąłeś? – wyrzuciła z siebie Zuza, nie kryjąc zaskoczenia.

Szeroko się uśmiechnął, pokazując garnitur śnieżnobiałych zębów.

– Siostra, ja być taki biznesman. Ja w Warszawa kupić różna rzeczy i ja je tu sprzedać za spora pieniądze. Ja umieć grać w trzy kubka. – Puścił do niej oko.

– No nie, jeszcze cię za to do kryminału zamkną. To przecież przestępstwo.

– Siostra, ja być uważny, ja zapłacić taki policjant, nazywać się Obaro.

– Opara?

– Tak, tak, Opara. Ja dać mu dziesięć dolara i on uważać na inna policja.

Zuza podeszła do barku i wyjęła z niego stocka, a widząc zdziwioną minę Kubańczyka, rzekła:

– Tak dawno go nie piłam, że zapomniałam smaku. Twój trunek też jest dobry, ale chyba się na niego nie przerzucę.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Otworzysz? – poprosiła.

– Jasne, siostra. Ty wypoczywać.

To sierżant. Widząc stół uginający się od jadła i napitku, błogo się uśmiechnął.

– Właź i siadaj. Poczekamy na pozostałych.

Zuza wskazała mu kanapę i postawiła przed nim kieliszek. Wypili po jednym. Zuza zapaliła ekstra mocnego.

– Dobrze jest wrócić do życia – odezwała się po dłuższej chwili. – Nie myślałam, że to kiedykolwiek będzie mieć miejsce. Nigdy wcześniej nie przeżyłam czegoś tak strasznego. Wszędzie dokoła była woda, a ja myślałam, że umrę z pragnienia, ale przetrwałam, w odróżnieniu od Breżniewa, bo słyszałam, że chuj go strzelił.

– A głód wam nie doskwierał? – spytał Nowak.

– Doskwierał – odburknęła z niechęcią. – Kiedy oni przyjdą? – zmieniła temat.

– Ale co jedliście?

– Przestań, nie chcę o tym rozmawiać – ucięła, nie kryjąc zdenerwowania.

– Wybacz, ale jestem ciekawy, w jaki sposób przeżyliście. Kto was tam przetrzymywał?

– Nie mam pojęcia. Poszliśmy podrzucić na powrót ten przeklęty kielich i kiedy to robiliśmy, ktoś z zewnątrz zatrzasnął drzwi. Sukinsyn musiał się na nas zaczaić.

– A jak się wam udało wydostać na zewnątrz?

– To jest największa zagadka. Ten, co nas uwięził, zaczął zatapiać barkę, woda była już po szyję, kiedy ktoś otworzył drzwi. Uciekliśmy w ostatnim momencie. Chwilę później łajba poszła pod wodę. Na brzegu znaleźliśmy jakieś zwłoki. Nie wiem czyje, bo trup miał twarz okropnie zmasakrowaną. Piosik spanikował i zaciągnął je do Wisły. Było kurewsko zimno, pamiętam jeszcze, że zaczął padać śnieg. Nie mieliśmy butów, szliśmy na bosaka. Straciliśmy orientację. Pamiętam, że wyszliśmy na ulicę i później film mi się urwał.

– Kiedyś czytałem książkę, w której opisano podobny przypadek. Ponoć z głodu szczury jedli.

Zuza nagle zatkała usta, poderwała się z miejsca i pobiegła do kuchni. Po chwili stamtąd doszły do nich odgłosy wymiotów. Wróciła po kilku minutach, słaniała się na nogach.

– Wynoś się! – ryknęła na sierżanta. – Wynocha z mojego domu! Dajcie mi wszyscy święty spokój!

Poszła do sypialni, trzaskając drzwiami na koniec. Rzuciła się na łóżko, głowę wtuliła w poduszkę, z trudem hamowała łzy.

Było już dawno po północy, kiedy Zuza opuściła sypialnię. Wzięła butelkę stocka, kieliszek i położyła się na kanapie. Nakryła się kocem. Nalała sobie, wypiła. Po chwili powtórzyła, ale na tym spasowała. Alkohol nie pomagał kasować wspomnień. Mało tego, one wracały jeszcze szybciej i atakowały jeszcze agresywniej. Najgorsze były te dwa ostatnie dni. Głód stał się nie do wytrzymania. Tak jak wcześniej powiedziała Piosikowi, spróbowała odgryzać sobie palce, ale ból był przy tym tak potworny, że musiała w końcu odpuścić. On w tym czasie złapał następnego szczura. Znów zaproponował, że się z nią podzieli, i znów mu odmówiła. Następnego dnia złapał kolejnego i ponowił propozycję. Tym razem było inaczej. Po pierwszym kęsie zwymiotowała. Sama nie wie czym, bo nie jadła od wielu dni. Drugi kęs poszedł łatwiej. Następne też. Zjadła całego.

Notatka operacyjna kapitana Mariańskiego

Znaleźliźmy zaginętą nijaką Zuzannę Lewandoską razem s elementem Piośkiem. Podejżewamy ze spiskują i drukują wspulmnie ulodki antypaństfowe. Mogom mieć konrzachty z obywatelem lekarzem Marjanem Skoniecznym. Doniesiono nam, że Lewandoska ma konrzachty z obywatelem o koloże czarnym. Doniesiono nam tagże, że Opara ma konrzachty z tym samym czarnym. To jakiź spisek.

Zuza wstała wcześnie rano. Postanowiła zjeść śniadanie w domu. Otworzyła lodówkę, a tam na wierzchu półmisek z wędlinami. Na jego widok poczuła, jak zawartość żołądka mknie w górę, i to w ekspresowym tempie. Z hukiem zatrzasnęła drzwi lodówki i ledwie zdążyła dojść do zlewozmywaka. Wszystko zje, byle to nie miało związku z mięsem. Nie odważyła się ponownie zaglądać do lodówki, zarzuciła płaszcz na siebie i poszła do baru mlecznego.

Kancelaria była jak wymarła. Zuza spojrzała na zegarek. No tak, nigdy nie przychodziła o tej porze. Weszła do swojego pokoju i rozsiadła się za biurkiem. Były momenty, gdy już zwątpiła, że kiedykolwiek tu powróci. To były bardzo ciężkie momenty. Zapaliła papierosa, jej wzrok spoczął na portretach. Zdumiała się, bo obok podobizny Ambrożego Lewandowskiego była też jej. Identyczna jak ta, którą Mariański w jakimś niezrozumiałym szale pociął na kawałki. Jakim cudem, przecież to był jedynie stos skrawków płótna? Pewnie malarz od nowa ją namalował. To było miłe. Musi się z nim skontaktować i wynagrodzić go za jego pracę, przecież chłopak nie może odpowiadać za czyny pierdolniętego Mariańskiego.

Drzwi się uchyliły i do pokoju zajrzała Jolka.

– Pani mecenas już w pracy? – Nie kryła zdziwienia.

– Owszem, wchodź i zreferuj mi wszystko, bądź co bądź mam sporą lukę czasową.

– To może najpierw zaparzę herbatę?

– Świetny pomysł. Ja tymczasem zerknę na harmonogram rozpraw w sądzie. Mam nadzieję, że zbytnio nie nawaliłam.

– Tylko dwie rozprawy i zostały odroczone na przyszły rok.

Aplikantka wyszła, a Zuza chwyciła za słuchawkę. Musiała zadzwonić do Nowaka, i to pilnie. Wczoraj zupełnie niepotrzebnie ją poniosło. Odebrał natychmiast, tak jakby czekał na jej telefon.

– Przepraszam, niepotrzebnie się – dukała – uniosłam. Wybacz, ale to było dla mnie za dużo. Muszę sama jakoś dojść do siebie. Nie jestem przygotowana na przyjmowanie gości.

– Nie ma sprawy, zdrowiej.

– Na to nie mam czasu. Jestem już w kancelarii, mam sporo zaległej pracy. A skoro już zadzwoniłam, to co nowego w sprawie tych zabójstw?

– Zwolnij, odpoczywaj.

– Ostatnio tak zwolniłam, że cud, że jeszcze żyję. A więc co nowego w sprawie tego psychola?

– Właściwie nic, poza tym, że zabił następną kobietę, ale mam dla ciebie coś ciekawego. Coś ekstra!

– No to wal.

– Pawłowicz zaginęła. Mało tego, ponoć kryminalni z Warszawy bardzo się nią interesują. Nie wiem, ile w tym prawdy, ale podobno nasza Pawłowicz to nie ta Pawłowicz.

– Co takiego? Do cholery, mów ciut jaśniej.

– Zastrzegam, że to tylko plotka, ale powiadają, że w jakimś mieszkaniu w Warszawie w zamrażarce znaleziono prawdziwą Pawłowicz. Ta tutejsza się pod nią podszyła.

– O kurwa mać, jak mogłam tak się dać wyprowadzić w krzaki srać? Nie wierzę. Ona była taka prawdziwa, i to aż do bólu. Ale po co to wszystko? – zastanawiała się. – To przecież nie ma sensu, chyba że chodziło o Mariańskiego. Może to miała być jakaś zemsta po latach? Z jego przeszłością nic mnie nie zdziwi. Ciekawe, jak się naprawdę nazywa? Dowiedz się tego. Masz chyba w tamtejszej kryminalnej jakiegoś kolegę. Podpytaj go, może wiedzą o niej coś więcej?

– Dobrze, zadzwonię do niego i jeśli czegoś się dowiem, dam ci znać.

Zuza odłożyła powoli słuchawkę na widełki. Wciąż myślała o kobiecie, która podszyła się pod porucznik milicji. W jej czynach widać było desperację. Ale czy

w takim razie też miała coś wspólnego ze zniknięciem skarbu? A może i to była jej sprawka? Jej pokój w komendzie sąsiadował z pokojem majora Kleckiego. Może przypadkowo coś podsłuchała? Zemsta zemstą, ale nadarzyła się okazja do dobrego zarobku. Trudno byłoby nim pogardzić. Wszystko zaczynało się powoli zazębiać. Załóżmy, że ukradła te złote przedmioty, to co dalej z nimi zrobiła? W końcu jest stan wojenny. Zaraz, zaraz, przecież ostatnio spotkała Pawłowicz w biurze paszportowym, gdzie ją karnie przeniesiono. A może to wszystko było ukartowane? Może właśnie o to jej chodziło? Nie ma innego miejsca, gdzie byłby łatwiejszy dostęp do paszportu. Skoro mogła podszyć się pod porucznik milicji, to tak samo mogła wyjechać na czyimś paszporcie, najlepiej jakiegoś obcokrajowca, który przyszedł z zamiarem przedłużenia wizy. Jeśli ma rację, to lada dzień znajdą zwłoki kobiety innej narodowości, pracownicy zagranicznej firmy działającej na terenie Petrochemii. Da sobie głowę uciąć, że ta suka jest już po drugiej stronie żelaznej kurtyny i śmieje się z nich do rozpuku w przerwie, kiedy nie wcina tych swoich bułek z salcesonem. Wyrolowała milicję i wyrolowała ją. Jedyne, co jej się nie udało, to zemsta na Mariańskim. Na szczęście w tym udało się jej przeszkodzić, a może niestety?

Zjawiła się Jolka z herbatą na tacy.

– Masz dla mnie to, o co cię prosiłam? – spytała Zuza.

– Chodzi pani o raporty z sekcji zwłok tych kobiet?

– A o co innego? Masz je? Czy wreszcie dorwałaś tego sukinsyna Ludwickiego, czy wciąż nie udało ci się tego zrobić?

– Oczywiście, zaraz je przyniosę.

– No to dawaj je, i to migiem.

W chwilę potem opasła teczka znalazła się na biurku Zuzy, która nalała sobie kielicha i ją otworzyła.

– Przeglądałam to wszystko, ale tam nie ma nic ciekawego – wtrąciła aplikantka.

Zuza uniosła zdziwione spojrzenie znad papierów.

– Jesteś tego pewna? A wiesz, czego szukam?

– No nie bardzo.

– No właśnie.

Jolka wyszła speszona z pokoju, a ona ponownie wzięła się do studiowania raportów, co chwila robiąc sobie przerwę na łyk koniaku.

Nic ciekawego w tych papierach nie znalazła, ale jedna myśl wciąż nie dawała jej spokoju. Chwyciła słuchawkę i wykręciła do Teresy do jej pracy, do szpitala psychiatrycznego w Gostyninie. Miała szczęście, bo akurat Teresa odebrała połączenie.

– Cześć, tu Zuza, muszę znów widzieć się z Gutkowską, i to pilnie.

– Dobrze, że cię słyszę. Wiem, co przeszłaś, ale z odwiedzinami będzie problem, bo dziś jest ordynator, a on cię nie cierpi. Nie chcę mu znów podpaść. Przyjedź jutro.

– Jutro będzie za późno. Zaraz wsiadam do samochodu. Musisz coś wymyślić, to bardzo pilne, powiem więcej, gardłowe.

Zakończyła połączenie, chwyciła płaszcz i wybiegła z pokoju.

– Zadzwoń do Nowaka, niech czeka na mnie przed blokiem. Potrzebuję go, i to na gwałt – rzuciła w stronę Jolki.

– A jak go nie będzie?

– Takiej sytuacji nie biorę pod uwagę. Dzwoń i go umawiaj. Powiedz, że być może mamy nowy ślad.

– Jaki ślad?

– Teraz nie ma czasu na tłumaczenie, dzwoń do niego.

Zuza, wychodząc z kamienicy, dosłownie wpadła na Oparę.

– O, dobrze, że kaprala widzę. Potrzebuję pomocy. Pojedziemy do Gostynina.

Zmieszał się, kompletnie zaskoczony propozycją.

– Ja mam rozkazy, nie mogę nigdzie z obywatelką jechać.

– Rusz kiepełą, przecież masz mnie śledzić. Łatwiej ci będzie, jak pojedziesz ze mną.

Zrobił głupią minę i wydukał:

– No niby tak.

– No właśnie. Chodźmy po samochód.

Ruszyła szybkim krokiem w stronę fary. Opara rad nierad podążył krok za nią. Nowak czekał przed domem, a kiedy zobaczył kaprala w samochodzie, rzucił Zuzie pytające spojrzenie.

– Nie wiedziałam, czy będziesz – wyjaśniła mu na szybko.

– A co się takiego dzieje? Czemu jedziemy do domu wariatów?

– Jego wieziemy. – Zuza spojrzała wymownie na Oparę i puściła oko do sierżanta. – A tak poważnie, muszę przesłuchać Gutkowską. Jeszcze nie wiem jak, ale muszę tę sukę zmusić do mówienia.

– Do mówienia o czym? – Zaniósł się kaszlem. – Jaśniej, proszę.

– Powiem krótko, ta suka zna zabójcę. Ona dobrze wie, kto zabija te kobiety. Was potrzebuję, gdyby były kłopoty z widzeniem. W razie czego macie spacyfikować ordynatora. Nieważne jak, byle mi nie utrudniał tej rozmowy.

– Obywatelka nie może łamać prawa – wtrącił się milicjant.

– Słuchaj, kapralu, jeśli pomożesz nam ująć tego świra, to awansujesz. Może nawet zostaniesz oficerem. Nie chcesz być porucznikiem?

Opara zamilkł. No cóż, to były mocne argumenty, bo on nawet nie śmiał marzyć o takiej szarży.

Zabranie kaprala było strzałem w dziesiątkę. Milicyjna legitymacja w stanie wojennym otwierała wszystkie drzwi i tak w ten oto sposób bez trudu znaleźli się w środku szpitala. Oby z wyjściem również nie było kłopotów, pomyślała Zuza, wkraczając do pokoju lekarskiego. Ordynator siedział przy biurku i wypełniał jakieś papiery, pewnie przepisywał pacjentom kolorowe pastylki. Teresa czytała gazetę. Na ich widok odłożyła ją i podniosła się z krzesła.

– Rozmawiałam już na ten temat, ale szef nie zgadza się na odwiedziny – zakomunikowała.

– Owszem – wtrącił się tamten, patrząc zaczepnie na Zuzę. – To może zakłócić terapię.

Nie zamierzała z nim polemizować, spojrzała wymownie na Oparę, teraz na niego kolej. Ten, o dziwo, w lot zrozumiał, w czym rzecz, bez słowa podszedł do psychiatry, wywlókł go zza biurka, po czym rzucił go jak szmatę na podłogę i zakuł w kajdanki.

– Słyszeliśmy, że knujecie przeciwko władzy ludowej. Czy to prawda? – szepnął mu złowrogo do ucha.

– Ja? Słowo daję, że nic nie spiskuję. Należę do PZPR, i to od lat.

Zuza i Nowak spojrzeli znacząco po sobie. Takiej postawy po Oparze się nie spodziewali. Myśl o możliwym awansie najwyraźniej rozjaśniła mu jego komórki

mózgowe niczym Gwiazda Betlejemska niebo nad Palestyną prawie dwa tysiące lat temu.

– Chodźcie! – Teresa pociągnęła Zuzę za rękaw i poprowadziła ich w głąb szpitala.

Gutkowska tak jak poprzednio siedziała na rancie pryczy i bezmyślnie patrzyła przez okno. W ogóle nie zareagowała na odgłos otwieranych drzwi, a tym bardziej na wejście Zuzy. Nawet na nią nie zerknęła. Schudła od ich ostatniego spotkania.

– Mecenas Lewandowska – odezwała się niespodziewanie, wciąż wpatrzona w jeden punkt gdzieś w oddali. – Zostaw mnie, idź do diabła!

– Potrzebuję informacji. Od jakiegoś czasu coś mi nie daje spokoju.

– Mnie wiele rzeczy nie daje spokoju. Zabiliście mojego brata, zabiliście męża. To przez ciebie! Dlaczego mam ci pomagać?

– Ty też powinnaś skończyć jak oni, ale ci się udało.

– Mów, czego chcesz, i wynoś się!

– Długo analizowałam te wszystkie zdarzenia, rozpisywałam to czasowo i coś mi tu nie gra – kontynuowała Zuza.

– Co ci, suko, nie gra?

– Pewne sprawy mi się czasowo nie zgadzają. Dwa razy twój brat przemknął niezauważony mimo rogatek milicyjnych. Dokładnie sprawdziłam ich raporty i nigdzie nie odnotowano numeru rejestracyjnego jego nysy. Tak jakby… – Zuza się zawahała.

Gutkowska przestała bezmyślnie patrzeć przez okno, zwróciła się w jej stronę. Te oczy nie były szalone, raczej ziało z nich nieskrywaną nienawiścią.

– Tak jakby? Co? Co, suko, chcesz powiedzieć?

– Tak jakby wam ktoś pomagał. Był jeszcze ktoś?

Zuza wbiła w Gutkowską świdrujące spojrzenie, bacznie obserwując jej reakcję.

Tamta jedynie roześmiała się w głos.

– Bredzisz. Kto mógłby nam pomagać? Nie znasz milicji? To są barany i nieuki, a prócz tego mają w papierach niezły burdel. Mój mąż mi wciąż opowiadał o niejakim Mariańskim, to było lepsze od kawałów o milicjantach. – Gutkowska zarechotała.

Zuza była zawiedziona. Wprawdzie nie liczyła na to, że psychopatka go wyda, ale łudziła się, że jeśli to prawda, to zdradzi się swoim zachowaniem. Nic takiego jednak nie miało miejsca.

Ruszyła do drzwi.

– Widzę, że nie próżnowałaś – usłyszała nagle zza pleców. Odwróciła się i spojrzała na Gutkowską.

– Owszem. Jestem pewna, że mieliście pomocnika. Od jakiegoś czasu daje znać o sobie. Nieraz się zastanawiam, kto jest bardziej pojebany: ty czy on?

– Co cię w tym utwierdziło? Nie mów, że go złapaliście, w to nie uwierzę, bobyś tu nie przyszła. On jest sprytny, dużo sprytniejszy od ciebie. On się nie da złapać, a kiedyś przyjdzie po mnie.

– Na to nie licz. – Zuza się roześmiała. – W najlepszym razie skończy w pokoju obok, ale nie wykluczam, że będzie wisiał. Pytałaś, co mnie utwierdziło w tym, że wtedy wam pomagał?

Nie wierzę w cuda. To jest prawie niemożliwe, żeby zaraz po jednych psychopatach pojawił się nowy. Psychole to nie grzyby, nie rosną po deszczu.

– Odczep się. Gówno wiesz! – wyszeptała Gutkowska.

– To jest w tej chwili nieistotne. Jak mogę cię skłonić do wyjawienia, kim on jest? Czego chcesz w zamian?

Widziała drwinę w jej oczach.

– A co mi możesz dać? Kpisz sobie? Przecież mnie nie wypuszczą, a tylko to mnie interesuje.

Zresztą powiem ci coś: kto jak kto, ale akurat ty nie powinnaś go ścigać. Ty nie masz do tego prawa. Dużo mu zawdzięczasz, bardzo dużo. – Ostatnie słowa podzieliła na sylaby.

Zuzę zdumiała jej wypowiedź.

– Chyba sobie kpisz? Nie rozumiem, o czym mówisz. Bredzisz!

– Nic na to nie poradzę, a teraz wynoś się! Precz!!

To był koniec odwiedzin.

Zuza, przyjeżdżając tutaj, chyba liczyła na cud. Wszystko wzięło w łeb, ta eskapada okazała się totalną porażką. W kiepskich nastrojach wracali do Płocka. Opara też nie krył zawodu. Pewnie oczyma wyobraźni widział już dwie gwiazdki

na pagonach, a tu klapa. Dojechali do miasta, ale Zuza nie zamierzała wysadzić pasażerów, tylko od razu pojechała pod prosektorium.

– Poczekajcie tu na mnie – rzuciła, wysiadając z mercedesa.

Ludwicki bardzo się zdziwił na jej widok. Odłożył skalpel, którym akurat ciął jakiegoś nieboszczyka.

– Myślałem, że już nigdy do mnie nie zajrzysz, że będziesz się wysługiwać Jolką, a tu taka niespodzianka. Jednak serce nie sługa. – Zaśmiał się.

– Nie łudź się, sukinsynu. Wtedy to był tylko wypadek przy pracy.

– Czyżby? Ja swoje wiem.

– Zostawmy to wszystko – rzekła pojednawczym tonem. – Przyjechałam, bo chcę zerknąć na protokół z sekcji zwłok jednego faceta.

– Domyślam się, że tego, co sobie roztrzaskał gębę, wskakując do wody? Musiała być twarda niczym beton. A co konkretnie cię interesuje? Pewnie przyczyna zgonu?

– Owszem. Trafiłeś w sedno sprawy.

– Jeśli ci powiem, to co będę z tego miał? Odwiedzisz mnie w moim mieszkaniu?

– Ty niewyżyty erotomanie, pamiętaj, że teczka sekretarza Wiśniewskiego wciąż jest w moim posiadaniu. Chwilami odnoszę wrażenie, że o tym zapominasz.

Wyraz twarzy Ludwickiego natychmiast się zmienił, nabrał surowości, w oczach pojawiły się wściekłe ogniki.

– Tylko spróbuj to wykorzystać, to nie ręczę za siebie. Mamy umowę.

– Grozisz mi? – Parsknęła śmiechem. – Za dobrze mnie znasz, żeby myśleć, że się przerażę. Pytam po raz ostatni: jak zginął?

– Został uduszony i dopiero później ktoś mu gębę zmasakrował, a teraz wynoś się!

W ręku Ludwickiego nie wiadomo kiedy pojawił się skalpel. Zaczął nim wymachiwać bez opamiętania. Idiota, jeszcze ją nim skaleczy.

Wolała się wycofać. Tym bardziej że osiągnęła to, po co tu się zjawiła.

– Wracamy – oznajmiła, wsiadając do samochodu.

– Ale co się stało? – Nowak nie krył zdziwienia.

– Kiedy leżałam w szpitalu, na stoliku przy łóżku pojawił się zeschnięty kwiat róży. Jeden z tych, co zniknęły z mojego mieszkania. Zabójca mnie odwiedził i to

wtedy, kiedy jeszcze nikt mnie nie rozpoznał. Skąd wiedział, że to ja?

– Jaki to ma związek z tym, że wracamy do Gostynina?

– To znaczy, że on nas uwolnił, że jemu zawdzięczam to, że tu dziś jestem. Czemu to zrobił? Nie mam zielonego pojęcia, ale wiem jedno. Gutkowska w jakiś sposób się z nim kontaktowała, bo o tym wiedziała. Wracamy, żeby ustalić, w jaki sposób to zrobiła. Może ją odwiedził. Jeśli tak, to powinni mieć to zarejestrowane.

– Czyli nie wszystko stracone? – wtrącił się Opara.

– Nie wszystko, wciąż jest szansa na te gwiazdki, tylko musicie mi pomóc.

– A co na to kapitan Mariański? Co napiszę w raporcie?

– Przecież, kapralu, wciąż macie na mnie oko, więc wykonujecie rozkazy.

Podrapał się po głowie.

– No, niby tak.

Teresa, widząc ich ponownie, zdumiała się niezmiernie, a ordynator uciekł na oddział.

– Co wy tu znów robicie? Niepotrzebnie przyjechaliście, bo Gutkowska akurat dostała swoje pastylki i ciężko będzie nawiązać z nią jakikolwiek kontakt.

– To nieistotne. Chcę wiedzieć, kto ją odwiedzał i kiedy – rzekła Zuza.

– Zmartwię cię, ale nikt jej nie odwiedzał. Dziś rano zajrzałam do rejestrów odwiedzin.

– To niemożliwe. Wiem, że miała lub ma kontakt z seryjnym zabójcą. Może on tu pracuje? Trzeba będzie sprawdzić alibi wszystkich pielęgniarzy i lekarzy.

Teresa, słysząc to, zaśmiała się.

– Mnie też podejrzewasz? Myślisz, że po dyżurze jadę do domu i oglądam kolekcję damskich fig?

– Jasne, że nie, ale szukam kogoś, kto widział się z tą psychopatką albo w jakiś sposób przekazał jej pewne informacje.

Nagle wzrok Zuzy spoczął na obrazie wiszącym na ścianie. Zaintrygowana podeszła do niego i odczytała podpis: Portalski.

– Ładny, skąd go macie?

– To prezent. Ten malarz kiedyś zgłosił się do ordynatora i zaproponował zajęcia dla pacjentów, taką nowoczesną terapię. Musiał bardzo potrzebować

pieniędzy, żeby coś takiego zaproponować w szpitalu psychiatrycznym.

– Czy ona się odbyła?

– Owszem, i to, o ile wiem, cała seria. Ja wtedy byłam chora, długie zwolnienie, no wiesz, sprawy kobiece. Dwa dni temu dopiero wróciłam do pracy.

– Czy Gutkowska w nich uczestniczyła?

– Nie mam pojęcia. Być może. Zajęcia podobno odbywały się w głównej sali. Prace teraz ozdabiają tamtejsze ściany.

– A czy wśród nich są też namalowane przez tego malarza?

– Być może, nie interesowałam się tym. Jeśli to ważne, to możemy tam pójść i zobaczyć.

– Świetnie, ale najpierw chcę rzucić okiem na ten.

Zuza zdjęła płótno ze ściany i odwróciła je, po czym z triumfującą miną pokazała sierżantowi.

– Ja pierdolę! – wyrwało mu się.

Trudno było nie dojrzeć na płótnie jakichś napisów później niezdarnie zamalowanych szarą farbą. To była cyrylica, tyle dało się zauważyć.

Teraz prawie wszystkie tropy prowadziły do Portalskiego. Prócz znajomości rosyjskiego alfabetu, Zuza dobrze pamiętała, co mówił jej na temat jego stosunku do tego języka. A tak, wszystko w tej układance pasowało i w jakiś sposób wyjaśniało, dlaczego ją uratował. Podczas ich kontaktów było widać, że ją polubił, a przecież nawet najgorszym psycholom zdarzało się mieć ludzkie odruchy. Widocznie tak było i tym razem.

– Nie musimy już ich oglądać. Mamy to, czego szukaliśmy – rzekła do Teresy.

Pożegnali się i ruszyli w drogę powrotną. Teraz należało tylko zaplanować, jak ująć Portalskiego. Dobrze się składało, bo dziś miał się odbyć wernisaż jego prac.

Opara wciąż wiercił się niespokojnie na siedzeniu samochodu, czuł, że to jego szansa, ale przy tym obawiał się, że Mariański znów go ubiegnie i jak zwykle zgarnie całą chwałę. Musiał coś wymyślić, żeby mu to uniemożliwić.

Zuza wysadziła go nieopodal komendy i umówiła się na akcję pojmania psychopaty na godzinę siedemnastą. Kazała mu przyprowadzić ze sobą jeszcze kilku funkcjonariuszy. Mariański miał o niczym nie wiedzieć. Taki był plan, ale życie szybko go zweryfikowało, bo ktoś dał cynk kapitanowi. Ten wściekł się na

Oparę i postanowił go przykładnie ukarać. Wezwał go pilnie do swojego pokoju. I tak kapral, trzęsąc się cały ze strachu, stawił się przed obliczem zwierzchnika. Spodziewał się najgorszego, włącznie ze zwolnieniem ze służby. Nim jednak Mariański cokolwiek mu oświadczył, chwycił się za brzuch i pobiegł do ubikacji. Ta na drugim piętrze była nieczynna, więc musiał udać się piętro wyżej. Tam mieścił się wydział gospodarczy, świetlica i archiwum, gdzie po południu nikt nigdy nie zaglądał. To był ten moment, który zdarza się raz w życiu, szansa jedyna w swoim rodzaju. Opara nawet się nie zastanawiał, tylko pobiegł za Mariańskim, a kiedy tamten usadowił się na sedesie, kapral wyrwał klamkę z drzwi do jego kabiny i tym samym uwięził kapitana.

– Kto tam jest? Co robisz? Wypuść mnie! Jak wyjdę, to cię załatwię! – krzyczał rozjuszony Mariański, waląc w nie pięścią.

Mógł tak wrzeszczeć, wołać, zdzierać sobie gardło aż do samego rana i tak nikt go by nie usłyszał. Opara wyeliminował zwierzchnika i tym samym mógł dalej realizować swój plan.

Punkt siedemnasta Zuza z Nowakiem wkroczyli do Domu Kultury. Wchodząc, zauważyli kilku milicjantów po cywilnemu obstawiających obiekt, a zatem kapral wywiązał się ze swojej misji. Kto wie, może faktycznie dochrapie się tego porucznika. Obrazy wisiały jeden przy drugim, w dwóch równych rzędach. Sporo było zwiedzających, w tym trochę znajomych twarzy. Zuza nerwowo rozejrzała się w poszukiwaniu artysty, ale nigdzie go nie dojrzała.

– Widzisz go? – szepnęła do sierżanta.

– Nie, może zaraz przyjdzie.

– Albo akurat morduje następną osobę.

Podeszła do pierwszego portretu, twarz wydawała się jej znajoma. Spojrzała na następny, tę kobietę też znała. Nagle poczuła zimny dreszcz w kręgosłupie. Nie, to niemożliwe. Podeszła do trzeciego, to samo. To były portrety jego ofiar, nawet umieszczone w dobrej kolejności, tak jak je mordował. Mnóstwo twarzy, kilku nie znała, ale to pewnie ofiary z ostatnich dni i dlatego. Sukinsyn, trzeba powiedzieć, że miał fantazję.

Nowak szarpnął ją za ramię.

– Może jest w drugiej sali?

Wskazał palcem wejście, gdzie zmierzało sporo zwiedzających. Ruszyli niezwłocznie w tamtym kierunku. Ta sala była mniejsza. Większość gości skupiła się przy jednym z dzieł, już z daleka wyróżniało się wymiarami, było imponujących rozmiarów. Podeszli bliżej i nagle Zuza stanęła jak wryta przed obrazem przedstawiającym nagą kobietę obfitych kształtów o… jej twarzy. Trudno byłoby się pomylić, bo podobieństwo było uderzające. Zza pleców słyszała chichoty, paliły ją jak stężony kwas.

– Uszczypnij mnie, bo nie wierzę własnym oczom – szepnęła do Nowaka. – Tego to już za dużo. Kurwa mać, jak go dorwę, to obedrę go ze skóry, i to na żywca. Gwarantuję, że nie zdąży zawisnąć.

Rozwścieczona rozejrzała się po sali, jej spojrzenie padło na zabytkową szablę na ścianie. Długo się nie zastanawiała, chwyciła ją, podeszła do obrazu i z dziką furią zaczęła niszczyć płótno. Przerażeni ludzie z krzykiem rozpierzchli się w popłochu. Sierżant chciał Zuzę powstrzymać, ale odepchnęła go tak silnie, że aż się zatoczył na ścianę. Ona tymczasem z jeszcze większą pasją cięła obraz, i to na drobne skrawki. Cały czas krzyczała:

– Portalski, ty sukinsynu, zabiję cię, niech tylko cię dorwę!

W końcu przestała, była okropnie zmęczona. Oparła się o ścianę, ciężko dysząc, i wtedy wszedł na salę Portalski. W jednym momencie Zuzie wróciły siły i z szablą w dłoni rzuciła się w jego kierunku. Przyświecała jej jedna myśl – ukatrupić tego skurczybyka, i to za wszelką cenę. Tylko refleksowi sierżanta malarz uniknął niechybnej śmierci.

– Opanuj się, chcesz skończyć w kryminale? – ryknął, wyrywając jej broń z ręki, Nowak.

Malarz, śmiertelnie blady, wciąż stał w progu. Był wyraźnie zaskoczony jej reakcją.

– Przepraszam, to był głupi żart – bąknął.

– Żart? Ty cholerny psychopato, nim cię powieszą, ja cię ukatrupię! – krzyknęła, próbując się wyszarpnąć Nowakowi.

W tym momencie w sali zjawili się milicjanci, a przewodził im Opara. Dwóch z nich chwyciło Portalskiego pod pachy.

– Obywatelu malarzu, jesteście aresztowani.

– Ja? Za co? – dukał zdziwiony. – Przeprosiłem przecież panią mecenas.

– Jesteście obrzydliwym zwyrodnialcem, zabiliście dwanaście kobiet. Zadyndacie jak nic. Wasze dni są policzone, bo władza ludowa nie cacka się z takimi zabójcami.

Malarz wybuchnął płaczem.

– Ja? Ja miałbym zabić te kobiety? Dlaczego myślicie, że to ja? Ja ich nie zabiłem! Nigdy nikomu nie zrobiłem krzywdy.

Zuza w tym czasie zdołała ciut ochłonąć. Emocje opadły, wróciło jej racjonalne myślenie.

– Wszystkie kobiety, które są na tych obrazach, nie żyją. Sukinsynu, jak to wytłumaczysz? Przypadek? Nigdy w to nie uwierzę. Nie wywiniesz się z tego.

– Powtarzam: ja nigdy nikogo nie zabiłem, nawet kury! Nigdy! To nie ma sensu, liczyłem, że one dziś przyjdą i kupią swoje portrety. Ja z tego żyję.

– Nie martwcie się o to, i tak długo już nie pożyjecie – zadrwił z niego Opara.

Zuza chciała mu przytaknąć, ale zawahała się, bo słowa malarza brzmiały dość przekonywająco. Spojrzała ponownie na ścianę i dopiero teraz na ostatnim z portretów zobaczyła Jolkę.

– Malowałeś moją aplikantkę?! – krzyknęła z przerażeniem.

– No tak, wtedy, kiedy pani zaginęła. O mój Boże, ona też?

Zobaczyła w jego oczach panikę. To nie on, to nie było udawane, to był znów ślepy trop. Cholera, Jolce groziło śmiertelne niebezpieczeństwo. Musiała ją pilnie ostrzec. Spojrzała na Nowaka, ten w mig zorientował się, w czym rzecz.

– Jadę do jej domu – oznajmił. – Może jeszcze nie jest za późno. Wezmę ze sobą kilku milicjantów.

– Spiesz się. Obyś zdążył.

Opara cały czas stał przy nich i widać było, że wyraźnie nie nadąża za ich tokiem myślenia.

– To co? On czy nie on? Aresztujemy go? – spytał Zuzę.

– Jeszcze chwila, kapralu. Uzbrójcie się w cierpliwość, a nie pożałujecie.

Podeszła na krok do Portalskiego, wbiła w niego przeszywające spojrzenie.

– Słuchaj, ty sobie chyba nie zdajesz sprawy, jak poważna jest sytuacja. Jeśli nie ty jesteś tym zwyrodnialcem, to kto? Zastanów się, kto mógł widzieć twoje portrety?

– Wiele osób podczas przygotowywania wystawy – bąknął.

– Nie, tu chodzi o kogoś, kto widział je od razu po namalowaniu. Gdzie je trzymałeś?

– No jak to, gdzie? W mieszkaniu.

– Mieszkasz sam?

– Tak.

– Kto ciebie odwiedzał? Kto się nimi interesował? Może podpytywał o te kobiety? Do cholery, przypomnij sobie, tu chodzi nie tylko o twoje życie. Moja aplikantka jest w niebezpieczeństwie. Rusz makówką, i to pilnie.

– No jeszcze Michał – wydukał.

– Co za Michał? Kim on jest dla ciebie?

Zaczerwienił się. Zuza w mig zgadła, że to jego kochaś. No tak, niejednokrotnie słyszała, że co drugi artysta to homoseksualista.

Odciągnęła go na bok, żeby ich nikt nie słyszał.

– Mów! – rozkazała.

– Michał, mój przyjaciel. Miał pretensje, że je wciąż maluję. Był o to chorobliwie zazdrosny. Wciąż mnie pytał, czy wolę te kobiety czy jego. Co mnie w nich pociąga? Może zapach, bo one inaczej pachną. W ogóle miał obsesję na punkcie zapachów. Wiele razy się o to wszystko pokłóciliśmy. Ale to nie może być on. On nigdy by nikomu krzywdy nie zrobił. To niemożliwe!

– Nawet nie wiesz, do czego może doprowadzić chorobliwa zazdrość. Co cię łączy z Gutkowską?

– Nie znam żadnej Gutkowskiej? Kim ona jest?

– Na obrazie, który wisi w gostynińskim domu wariatów, w gabinecie ordynatora, na jego tylnej stronie był napis po rosyjsku.

– A, to Michał coś wypisał dla żartu. Nawet nie wiem co. Śmiał się, że czubki będą miały zagadkę.

Teraz wszystko już było jasne.

– Nazwisko i adres tego Michasia. Gdzie on mieszka? Mów! I to szybko!

– Michał Sieradzki, mieszka w tej samej kamienicy co pani, na trzecim piętrze.

W Zuzę jakby piorun strzelił. Nieraz go mijała na klatce schodowej, to student, który wynajmował pokój u pana Tadzia. Cały czas był na wyciągnięcie ręki.

– Pani Zuzo, pani Zuzo! – usłyszała gdzieś z sali.

To pan Tadzio właśnie. A skąd on się tu wziął? Nie przypuszczała, że jest koneserem sztuki.

Dopadł ją i chwycił za rękę. Był cały roztrzęsiony. Takiego to go jeszcze nie widziała.

– Pani Zuzo, dobrze, że panią złapałem, ale pamiętałem, że mi pani mówiła coś o wystawie w Domu Kultury. Dziś poszedłem do piwnicy, często tam nie zaglądam, bo i nie ma po co. Patrzę, a kłódka zmieniona, więc wziąłem łom i się jej pozbyłem. W środku zastałem ślady czyjejś obecności i skrzynię. Pierwszy raz ją widziałem, wcześniej jej tam nie było. Otworzyłem ją, a tam mnóstwo kobiecych gaci. Od razu pomyślałem o tym psycholu, co po Płocku grasuje.

Zuza spojrzała wymownie na Oparę.

– Kapralu to nie ten. Jedziemy na Zduńską, tam mieszka nasz delikwent.

Mariański siedział na kiblu już ponad godzinę. Dłonie go bolały od uderzeń w ściany kabiny, a gardło od krzyku. Wszystko na próżno. Mało tego, kiedy się szarpał w swojej pułapce, proteza mu się poluzowała i wpadła prosto do sedesu. Rad nierad wyjął ją stamtąd i włożył na powrót do ust. Niech tylko dorwie tego skurwysyna, co go tu uwięził. Wcześniej podejrzewałby Pawłowicz, ale kto go teraz tak urządził? Opara? On się trzęsie ze strachu na jego widok, bałby się. Może chorąży Marchewka? Rok temu zablokował tamtemu awans. Miał do niego złość, ale to nie on, bo dziś wypadało mu wolne. Nie ma zielonego pojęcia, kim był ten dowcipniś, ale się dowie, to tylko kwestia czasu. Wtedy tamten zrozumie, że z nim się nie zadziera. Mariański spojrzał na zegarek. Długo już tu siedział. Z trudem udawało mu się w kabinie obrócić. Z głodu aż ssało go w żołądku. Zrezygnowany, co chwila zerkał na rolkę papieru toaletowego wiszącą na haku. Kiedyś gdzieś słyszał, że żucie papieru toaletowego eliminuje uczucie głodu. Nie było rady, musiał to sprawdzić.

Zuza z panem Tadziem i z Oparą wsiedli do milicyjnej nyski i na „wariatach” ruszyli w stronę starówki.

– A gdzie wasz dowódca? – spytała nagle kaprala.

– Kibluje – odparł krótko.

– Jest w areszcie? – zainteresowała się. – Czym znów podpadł?

– To nie to. Siedzi w kiblu i próbuje się z niego wydostać. Wyrwałem z drzwi klamkę.

– Co proszę? – zdumiała się. No tak, nie matura, lecz chęć szczera zrobi z ciebie oficera. Tu, jak widać, chęci aż kipią.

Radiowóz zatrzymał się z piskiem opon przed kamienicą. Milicjanci z pistoletami w dłoniach pobiegli schodami na górę. Zuza z sąsiadem tymczasem zeszli na dół. Na wszelki wypadek wzięli ze sobą łyżkę do zmiany opon, tak dla samoobrony. Zakradli się do piwnicy, ale nikogo tam nie było. Skrzynia była otwarta, majtki porozrzucane wokół niej w nieładzie.

– Tak pan to zostawił? – spytała. – To pana robota?

Zawahał się.

– Nie jestem pewien, ale chyba tak.

Zuza zamknęła skrzynię i usiadła na jej wieku.

– Niech pan idzie do siebie i przyśle do mnie kaprala, bo podejrzewam, że i w mieszkaniu tego skurwysyna nie ma. Poszedł na nocne łowy, aż się boję, żeby nie upolował Jolki. Szkoda by było, bo się dobrze zapowiada. Skąd wezmę drugą tak inteligentną aplikantkę?

Wybiła północ, miasto było puste, jakby wymarłe. Zduńską szedł mężczyzna w kapturze na głowie, kulał, prawą ręką trzymał się za podbrzusze. Co chwila przystawał i się rozglądał. Dotarł do kamienicy, w której mieszkała Zuza, i zniknął w niej. Zszedł po schodach. Otworzył kłódkę i wszedł do piwnicy. Zapalił świeczkę i stanął zdumiony. W kącie pomieszczenia na starej skrzynce po jabłkach siedziała Zuza.

– To już koniec. Sukinsynu, dość tego zabijania – rzekła spokojnym głosem.

Ruszył powoli w jej kierunku. Zobaczyła, że krwawi, i to mocno. W dłoni trzymał nóż. Nietypowe zachowanie jak na niego, bo dotąd wszystkie swoje ofiary dusił. Poderwała się na nogi i cofnęła o krok.

– Zatrzymaj się! Nie masz żadnych szans. Budynek jest otoczony przez milicję. Odłóż ten nóż.

Nie zareagował. Wtedy z ukrycia wyszli milicjanci, było ich dwóch. Chcieli go ująć, ale coś poszło nie tak. Zabójca dźgnął jednego z nich w ramię, a drugiego

pchnął tak silnie, że tamten się przewrócił na posadzkę. Wtedy Sieradzki wykorzystał całe zamieszanie i rzucił się do ucieczki. Zuza z łyżką w dłoni natychmiast ruszyła za nim. Mężczyzna wybiegł z kamienicy i rozległy się strzały, dwa strzały. Zabójca zachwiał się, po czym bezwładnie osunął się na chodnik.

Cholera. Czemu strzelali? Co za debile. Nie zdążyła się dowiedzieć, czemu ją uratował. Zuza była wściekła. Podeszła do Sieradzkiego i nachyliła się nad nim. Nie żył. Przeszukała mu kieszenie, w jednej były damskie majtki. Z uwagą im się przyjrzała.

Nagle zjawił się Nowak z dwoma funkcjonariuszami.

– Uciekł nam, mimo że go postrzeliliśmy. Natrafiliśmy na niego na Górkach. Niestety nie wiem, czy zdążył Jolkę zabić. W krzakach jej nie znaleźliśmy. Obawiam się, że tak, bo nie ma jej w domu i nikt nie wie, gdzie jest.

– Spokojnie, ona żyje.

Spojrzał na nią zdziwiony.

– Skąd ty to wiesz? Przecież ciebie tam nie było?

Wyciągnęła rękę przed siebie.

– Widzisz te majtki?

– Majtki jak majtki – bąknął, wyraźnie zaskoczony pytaniem.

– O nie, kochany, te są koronkowe, wyzywające, takie seksowne. Zupełnie nie pasują do Jolki. Ona by takich nie nosiła. Jest na to za bardzo pruderyjna. Prędzej będzie biegać bez majtek, niż się odważy takie włożyć.

Nie wyglądał na przekonanego.

– No nie wiem, czy masz rację – mruknął.

Zuza wcześnie rano zerwała się z łóżka i to tylko dzięki budzikowi, bo inaczej pewnie spałaby do południa. Tyle wczoraj było wrażeń, że pół nocy nie mogła zasnąć. Spieszyła się, niechcący potrąciła duży wazon z suszonymi kwiatami stojący na podłodze i go wywróciła. To była pamiątka rodzinna, na szczęście się nie stłukł. Ustawiła go na powrót i pobiegła do łazienki zrobić poranną toaletę. Wprawdzie wczoraj przekonywała sierżanta do swojej teorii o majtkach, a jednak nie do końca była jej pewna i dlatego musiała jak najszybciej zjawić się w pracy i sama się przekonać. Tak też uczyniła i bez śniadania poszła do kancelarii. Już

w progu odetchnęła z ulgą. Jolka siedziała przy swoim biurku z nosem w papierach.

Aplikantka na jej widok bardzo się zdziwiła.

– Pani mecenas już w pracy? Co się stało?

– Mam sporo roboty. Skocz mi do piekarni po bułkę i jakiś serek topiony, a jak wrócisz, to zaparz mi herbatę.

– Już biegnę, ale się ostatnio dzieje, słyszała pani najnowsze wiadomości?

– Nie, ledwie mnie rano budzik obudził. Nic nie wiem.

– Dzwonił sierżant Nowak z informacją, że ten Sieradzki był kuzynem Gutkowskiej.

Zuza pokiwała ze zrozumieniem głową.

– No tak. Choroba dziedziczna, teraz już wszystko jasne.

– Jeszcze jedno, pani mecenas, zaginął kapitan Mariański. Milicja od świtu przetrząsa cały Płock. Niektórzy podejrzewają, że współdziałał z Pawłowicz i razem zbiegli za granicę.

Zuza, słysząc to, roześmiała się w głos. Dobrze pamiętała sprytny wybieg Opary.

– Nie sądzę, prędzej utknął w jakimś gównie – skomentowała.

Weszła do swojego pokoju, a tam Eduardo. Siedział w jej fotelu i szczerzył do niej zęby w wielkim uśmiechu.

– Witaj, siostra! Ja cię dziś zabrać na obiad do restauracja. Ja ci pokazać moja nowa narzeczona. Ja ją kochać jak nikogo. Ona jest taka bóstwo. Ty sama zobaczyć.

– Następna blondynka? Która to już?

– Blondynka to na Kuba atrakcja, jak tu Muzina. Aha, ja mieć dla ciebie prezenta. Ty być szczęśliwa. Ty się zaraz przekonać.

Wyjął zza pazuchy jakieś papiery i wcisnął je Zuzie w dłoń.

– Ty czytać.

Spojrzała na nie, to były bilety na samolot na Kubę.

– Miły gest, ale ja nie mam paszportu i nie mogę jechać.

– Siostra, ja wszystko załatwić. Mojej ciotka kuzyn jest nowy ambasador Kuby w Polsce. Kuba to nie zgniła Zachód. Tam można jechać. On załatwić paszport i ty

jechać, bo ja żenić z dziewczyna z Polski. Ty być moja rodzina i ty być na mój ślub. Ty być mój świadek!

Zaskrzypiały zawiasy drzwi. Do pokoju wpadł Nowak, cały podekscytowany.

– Przepraszam, że wam przeszkadzam, ale mam bardzo ważną nowinę.

Zuza spojrzała na niego z niepokojem. Czyżby to nie Sieradzki okazał się zabójcą? Jeśli nie on, to kto? Innych podejrzanych nie miała.

– Co się stało? Mów!

– Mariański wziął z depozytu stary poniemiecki granatnik pancerfaust i odpalił go w swoim pokoju. Ponoć myślał, że to radio. Budynek komendy legł w gruzach.

– Co proszę? – wydukała Zuza i parsknęła niepohamowanym śmiechem.

KONIEC